

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



KAROL MAY

# U STÓP SFINKSA

Tytuł oryginału: **Und Friede auf Erden I**  
Tłumaczenie: Ewa Kowynia

**Tower Press 2000**

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## FANATYK

– Jestem Sejjid Omar.

Jak dumnie to brzmiało i jak jednoznaczna była poza, którą zazwyczaj przyjmował wymawiając te słowa!

– Jestem Sejjid Omar – co to miało znaczyć: – Ja, pan Omar, jestem uczonym, znającym się na rzeczy potomkiem proroka, ulubieńca Allacha. Moje imię wraz z moimi osobistymi zasługami zostało zapisane w świętym spisie imion w Mekce. Z tego powodu mam prawo nosić zielony strój i zielony turban. Gdy umrę, kopuła mego grobowca zostanie pomalowana na zielono i natychmiast otworzą się przede mną bramy najwyższego nieba. Okazujcie mi więc szacunek!

Kim jednak właściwie był ów Sejjid Omar? Zwykłym poganiaczem osłów! Miał swoje stanowisko przy Esbekije w Kairze, naprzeciwko hotelu „Continental”, w którym mieszkałem. Młody, dobrze zbudowany, liczący niewiele ponad dwadzieścia lat, zwrócił moją uwagę swą niewzruszoną powagą i wrodzoną godnością ruchów. Chętnie patrzyłem na niego z mojego balkonu, a gdy piłem kawę na wspólnym dziedzińcu hotelowym, mogłem go także słyszeć. Na jego twarzy malowała się wprawdzie przebiegłość właściwa wszystkim poganiaczom osłów, lecz nie była ona tak natarczywa jak u innych i nadawała jego pracy taki charakter, że każdy kto posłużył się jego osłami musiał odczuć, iż lepiej nie mógł trafić. Najrzadziej, jak tylko mógł, zadawał się ze swymi towarzyszami pracy, a gdy ci usiłowali wyprowadzić go z równowagi szyderstwami i kpinami, nie byli w stanie osiągnąć niczego ponad pogardliwe: – Jestem Sejjid Omar!

Gdy ktoś obcy zamierzał się z nim targować lub gdy żądano od niego czegoś, co było sprzeczne z jego wymogami honoru, odwracał się na pięcie z wyniosłym: – Jestem Sejjid Omar! A ten, któremu się to przytrafiło nie usłyszał już od niego ani jednego słowa więcej.

Wszystko to spowodowało, że zwróciłem na niego szczególną uwagę, chociaż nie miałem żadnej okazji po temu, aby to zademonstrować wynajmując go bądź zatrudniając w inny sposób. Lecz wiadomo, że spojrzenie ma moc przyciągającą. Zauważyłem, że i on często spogląda w moją stronę. Wyglądał na zaniepokojonego, kiedy nie pokazywałem się po obiedzie i kolacji w ogródku hotelowym na kawie, a gdy tylko wychodząc, przechodziłem koło niego cofał się o krok do tyłu i chociaż nie zwracałem na niego uwagi, składał obie ręce na piersi w geście pozdrowienia.

W tymże hotelu obok wielkiej sali jadalnej stało pod arkadami kilka mniejszych stolików dla gości, którym nie sprawiało przyjemności ciśnienie się przy wspólnym stole. Jeden z tych stolików zarezerwowałem wyłącznie dla siebie. Stolik po lewej był jeszcze wolny, przy tym po prawej siedzieli od wczoraj jacyś dwaj obcy, o egzotycznym wyglądzie ludzie, wzbudzający ogólne zainteresowanie, w tym także i moje, chociaż ja obserwowałem ich dyskretniej niż pozostali.

Byli to dwaj Chińczycy: ojciec i syn. Odgadłem to na pierwszy rzut oka, ponieważ byli do siebie bardzo podobni, a poza tym wywnioskowałem to z ich rozmowy – ich stół stał bowiem tak blisko mojego, że bez wysiłku mogłem słyszeć każde ich słowo. Ubrani byli nie w swe egzotyczne stroje, przeciwnie, mieli na sobie europejskie ubrania skrojone na francuską modłę. Warkoczyki ukryli pod tropikalnymi hełmami, które ściągali tylko przy stole.

Wczoraj, gdy tylko przekroczyli próg jadalni, od razu rzucił mi się w oczy nie udawany i głęboki szacunek, jakim syn obdarzał ojca. Objawiał się on we wzruszającej gotowości do służenia;

wydawało się, że syn chce uprzedzić kelnera, aby okazać ojcu swe przywiązanie, wdzięczność i miłość synowską. Nie było w tym nic sztucznego ani wyreżyserowanego, lecz spontanicznie i naturalnie wydobywało się z najgłębszego wnętrza młodzieńca. Ojciec nosił okulary w ciężkich, złotych oprawkach, syn okularów nie nosił. Jedli w całkiem europejski sposób i to tak elegancko i swobodnie, że niejednen z pozostałych gości mógłby brać z nich przykład. Kelner, który mnie obsługiwał, szepnął mi w zaufaniu, w nadziei na szczególny napiwek:

– To *monsieur* Fu i *monsieur* Tsi z Chin. Przyjechali z Paryża. Najprawdopodobniej są spokrewnieni.

– Sami się tak wpisali do książki hotelowej? – usiłowałem się dowiedzieć czegoś bliższego.

– Nie, ale tak powiedzieli portierowi.

Nie wymawiał prawidłowo słów *Fu* i *Tsi*, ale i tak było dla mnie jasne, że *Fu* to ojciec, a *Tsi* to syn. W języku chińskim mianowicie te same wyrazy mogą mieć różne znaczenie. Obydwaj goście nie wymienili swoich nazwisk podając się po prostu za ojca i syna. Ponieważ nikt tutaj nie władał ich językiem, wpisano ich więc do książki po prostu jako *monsieur* „Ojciec” i *monsieur* „Syn” i jeszcze wszyscy uważali się za szczególnie bystrych, uważając ich za spokrewnionych. A im bardzo się to spodobało, że stopień ich pokrewieństwa brano za nazwiska. Do służby hotelowej zwracali się po francusku i to tak znakomicie, że z pewnością mieli za sobą długie lata praktyki w tym języku.

Ich twarze nie miały typowo wschodniego wyglądu. U chłopaka mogło to być skutkiem młodego wieku, u ojca był to jednak zdecydowany efekt duchowej pracy i tylko w prawdziwie chiński sposób zadbana broda zdradzała, że jest synem Państwa Środka. Wcale nie trzeba było wykazywać się wyjątkową znajomością ludzi, aby dostrzec, że tego człowieka zajmują jedynie kwestie duchowe.

Już po posiłku, w holu na zewnątrz, stwierdzono w trakcie luźnej pogawędki, że obaj Chińczycy pochodzą po pierwsze z Kantonu, po drugie są wujem i bratankiem, a po trzecie przyjechali właśnie z Paryża, gdzie otwarli sklep z chińskimi towarami, którym ma kierować bratanek. Odwiozł właśnie wuja do Egiptu, aby jeszcze móc się nacieszyć i przedłużyć moment rozstania, lecz tu się pożegnają i on wróci do Paryża. Nie interesowało mnie, kto poczynił te odkrycia. Nie mogłem sobie wyobrazić, żeby ten osobliwy, chciałoby się rzec tajemniczy, na tak uduchowionego wyglądający „*monsieur* Fu” był zwykłym kupcem, którego celem miało być jedynie handlowanie tanimi chińskimi wyrobami udającymi w Paryżu starożytne wazy i puzderka.

Los okazał się dla mnie na tyle łaskaw, że już następnego dnia uchylił przede mną rąbek tajemnicy. Mieszkałem na drugim piętrze, aby mieć jak najwięcej powietrza oraz światła i właśnie siedziałem na balkonie pisząc listy, gdy w drzwiach hotelowych pojawili się obaj Chińczycy i ruszyli w stronę Sejjida Omara. Ten postarał się o drugiego osła, na którym wraz z nimi odjechał. Wtem pode mną usłyszałem trzepanie i szcztokowanie. Zaczęło mi to w końcu przeszkadzać. Przechyliłem się przez balustradę i spojrzałem w dół.

Nie była to, jak przypuszczałem, pokojówka, lecz chiński służący, który z kufra wyciągał rzeczy, aby je odświeżyć i wyczyścić. Tak więc chińczycy mieszkali dokładnie pode mną, na pierwszym piętrze. Pozwoliłem „zbrodniarzowi” dalej sprzątać.

Po jakimś czasie zapanował spokój, lecz po chwili powtarzające się chrząknięcia zdradziły mi, że służący jest tam jeszcze. Znowu przechyliłem się przez balustradę. Pochylony był teraz nad jakimś mniejszym kufrem, w którym układał przeróżne przedmioty z taką pieczołowitością, że odgadłem od razu ich niezwykajne przeznaczenie. Od czasu do czasu rzucał badawcze spojrzenie na sąsiednie balkony, aby sprawdzić czy nie jest obserwowany. Kufer ten musiał zatem zawierać rzeczy, o których nie każdy powinien wiedzieć. Teraz na przykład trzymał w ręku jakiś

pasek, z przyczepioną do niego złotą, wysadzaną rubinami klamrą. Ten rodzaj klamer mogli nosić wyłącznie mandaryni pierwszej i drugiej rangi.

Następnie ujrzałem *putsu*, czyli wyszywany puklerz noszony na piersiach i plecach, z wyhaftowanym nań bocianem. Po złożonym z okrągłych ogniów łańcuchu, pawim piórze i innych rozmaitych przedmiotach, których nie mogłem zbyt dobrze rozpoznać, światło dzienne ujrzał jeden z tych kapeluszy, jakie noszone są tylko w lecie i z tego powodu nazywane „ciepłymi” kapelusza-  
mi. Zdobił go jeden czerwony, bez żadnych wzorów koralowy guz. Łańcuchy mogli nosić wokół szyi jedynie mandaryni od pierwszej do piątej rangi. Pawie pióra stanowią specjalne wyróżnienie, ale koralowy guz jest zarezerwowany wyłącznie dla mandarynów pierwszej rangi, cywilnych albo wojskowych. Pierwsi muszą nosić *putsu* z bocianem, drudzy natomiast podobny puklerz lecz z nosorożcem. Cywilni urzędnicy cieszą się większym szacunkiem niż wojskowi. Tak więc dowiedziałem się, że *monsieur* Fu, ponieważ tylko do niego mogły należeć te odznaczenia, był cywilnym mandarynem najwyższej rangi. Dalsze obserwacje uniemożliwiło pewne zajście. Podchodząc do balustrady wsadziłem ołówek za ucho. Gdy się pochylałem, wyślizgnął się i spadł na balustradę piętro niżej, dokładnie przed nosem służącego. Chińczyk wydał okrzyk przerażenia, w jednym momencie pozbierał wszystkie rzeczy i w następnej chwili zniknął.

Jego przerażenie stanowiło oczywisty dowód, że jego panowie nie życzyli sobie, by ktokolwiek odgadł ich stanowisko.

Była to pora roku bezpośrednio poprzedzająca nadejście lata, a więc czas, kiedy khamsin przez pięćdziesiąt dni w roku jest niemiłe widzianym gościem w Egipcie. Ten gorący, suchy wiatr z południowego zachodu gnający pustynny pył, gdy powieje silniej wywołuje takie znużenie, że zarówno tubylec jak i cudzoziemiec stara się unikać wszystkiego, co wiąże się z jakimkolwiek wysiłkiem fizycznym. Dzień po opowiedzianym wyżej odkryciu wiał szczególnie silnie z kierunku Gizeh i Aryah. Na ulicach było pusto, a zwykle tak chętnie odwiedzane miejsca przed kawiarniami były wolne jeszcze w czasie *asr*, południowej modlitwy. Postanowiłem udać się konno do Dżebel Mokattan. Już od dawna khamsin nie robił na mnie żadnego wrażenia. Nie męczył mnie, za to innych ludzi trzymał z dala od moich ulubionych miejsc i pozwalał mi rozkoszować się nimi w samotności.

Widok z Mokattamu i Dżebel Gijuszi jest nieprawdopodobnie piękny, a dla mnie podwójnie cenny, gdy światło zachodzącego słońca przesiane przez pył khamsinu oświetla w niemal baśniowy sposób miasto i okolice. Wszelka kanciastość i ostrość obrazu zostaje złagodzona i wszystko nabiera niecodziennego koloru.

Miałem właśnie ruszyć w drogę, gdy przed hotel zajęchały powozy wypełnione przybyłymi ostatnim pociągiem podróżnymi. Nie miałem żadnego szczególnego powodu, aby zwracać na nich uwagę, lecz przechodząca koło mnie młoda, skryta za niebieskim woalem dama przyciągnęła mój wzrok. Ubrana była w prosty, popielaty kostium i praktycznie boso. Przemówiła po angielsku do wysiadającego z nią mężczyzny. Rzadko słyszałem tak głęboki i miły głos.

Wkrótce znalazłem się na górze i rozkoszowałem się ciszą, a także samotnością. Moje ulubione miejsce stanowiło skalne siedzisko w pobliżu starego, zrujnowanego meczetu Gijuszi. Słońce było na wpół skryte za migoczącą, pomarańczową mgłą. Grobowce Mameluków leżały u mych stóp jak niedokończona modlitwa. Od Meczetu Alabastrowego aż do niegdysiejszego Ez-Zahir wznosiło się do tronu Allaha tysiąc wież minaretów wykutych w kamieniu. Przez Masr el-Atika, dawny Fostat, a obecnie stary Kair sunął pod górę do Heluanu buchający parą pociąg – profanacja dla nieziemskiego widoku, a za drzewami stojącymi przy Dakrur i zieleni z przykanałowych pól leżały na skraju pustyni piramidy – skamieniałe ze strachu przed wiecznością. Śmierć i życie, przeszłość i teraźniejszość przenikające się wzajemnie i jednoczące ze sobą, przewiane pustyn-

nym wiatrem, a mimo to tak młodzieńczo piękne i ciepłe, rozciągały się przed moimi oczami, a u mych stóp leżała zwycięska Masr el-Kahira, najbardziej przeze mnie ukochane miasto Orientu.

Stamtąd aż tu na górę, od królewskich grobowców z naprzeciwka i z Sini na wschodzie napływały ku mnie myśli, których nie chciałem zapomnieć. Wyciągnąłem więc papier i ołówek. Pracowałem wówczas nad moimi „Niebieskimi myślami”, książka ta stanowiła jeden z powodów mojej podróży na Wschód.

Kto zamierza pisać wiersze o starych, dziecinnych marzeniach gatunku ludzkiego, o marzeniach, które zapłodniły także świat Zachodu i przez tysiące lat znajdowały swój wyraz w cudownie uduchowionych dziełach artystów, ten musi udać się do kolebki owych marzeń, do Orientu.

Tam, gdzie nagie kamienie świętego kraju stawały się niegdyś chlebem, gdzie kolosy Memmona nie przemawiają cicho, lecz wyraźnie mówią, gdzie między Pison, Gihon, Phrat i Hidekel drzemie uskrzydłona idea raj, tam musi się być, musi się widzieć i słuchać świata zewnętrznego i wewnętrznego. I wtedy, gdy podczas cichej nocy księżycowej słysząc ten sam szmer wód Nuli jak nad Tygrysem i gdy wokół minaretów szeleści ten sam łagodny wietrzyk, który słyszał niegdyś Eliasza na Karmelu, wtedy wreszcie dla duszy ludzkiej staje się jasne to, o czym śpiewają stare strofy układane przed wiekami na wschodzie, które potem podchwycił Zachód i dokończył hymnem do wiecznej miłości.

Czułem nieprzepartą ochotę ubrać te myśli w słowa. Lecz tym razem nie udało się to, ponieważ mi przeszkodziło. Od strony skalnej ścieżki rozległ się energiczny tętent małych, oślich kopyt. Oglądając się ujrzałem wspomnianą już, popielatą odzianą damę wraz z mężczyzną, do którego zwróciła się przed hotelem po angielsku. Towarzyszył im trzeci jeździec —jeden z tych (chrześcijańskich bądź żydowskich Lewantyńczyków), którzy każde obcojęzyczne słowo, nawet całkiem niezrozumiałe, przechowują troskliwie w pamięci jako niepotrzebny śmieć, aby potem, gdy sami nie mogą sobie z tym śmieciem poradzić udać się do tłumacza i następnie sprzedać je za możliwie najwyższą cenę. Ci władający językami przewodnicy stanowią plagę, przed którą podróżni nie są w stanie się obronić, ponieważ nie posiadają wystarczająco dużo doświadczenia, ani koniecznej wiedzy. Gdy raz się przyssają, rzadko puszczają z powrotem, a ten, który właśnie nadciągał był pijawką najgorszego gatunku. Przed paroma dniami zasadził się także na mnie, lecz gdy zawiodły wszystkie inne metody został przegnany jednym machnięciem pejsza.

Uczciwy, honorowy Arab ma owych Lewantyńczyków w głębokiej pogardzie, a ponieważ są oni najczęściej chrześcijanami, a Beduin z kolei dzięki swemu osobistemu doświadczeniu dobrze wie, jak wielki wpływ na morale człowieka ma wiara jest więc skłonny rozciągać swą pogardę na całe chrześcijaństwo.

Czwartą osobą był Sejjid Omar, poganiacz osłów, który kroczył obok pozostałych z taką powagą, jakby był najważniejszą personą małej karawany.

Gdy tłumacz mnie dostrzegł, bez wahania podjechał bliżej, zsiadł i rozłożył koło mnie przywiezioną ze sobą derkę. Ofiarowując swe usługi zagadał do mnie po francusku. Dlaczego, tego nie wiedziałem, ale zaraz wszystko się wyjaśniło, bo odwracając się zawołał do Sejjida Omara:

– Ten facet siedzi akurat na najlepszym miejscu! To Francuz, bo pod dolną wargą ma małą bródkę. Chodź tutaj i przegoń go!

– Lepiej uważaj! – ostrzegł go poganiacz osłów. – Jeśli umie mówić po arabsku, zrozumie każde twoje słowo!

– Ten? Mówić po arabsku? Czyżbyś nie widział, że głupota patrzy mu z oczu? Nie mówi dobrze nawet w swoim ojczystym języku. Wiem, bo rozmawiałem z nim po francusku. Chciał mnie nająć za tłumacza, ale nie dałem się w to wciągnąć, bo widać po nim od razu, że nie śmierdzi groszem i do tego jest skąpy. Przegoń go stąd! Potrzebujemy tego miejsca dla naszych ludzi.

W odpowiedzi na to Sejjid uczynił jeden z tych swoich niepowtarzalnych, a wiele mówiących ruchów ręką i rzekł:

– Nie jestem twoim służącym, a Allah i mój zawód zabraniają mi być nieuprzejmym. Jeśli tobie jako chrześcijaninowi i Grekowi wolno być gruboskórnym, to już nie moja sprawa. Nazywam się Sejjid Omar, zapamiętaj to sobie!

Być może Lewantyńczyk mogąc liczyć na wsparcie poganiacza odważyłby się zdrzeć ze mną. Lecz aby zrobić to bez pomocy był, tak jak zresztą wszyscy jemu podobni, zbyt tchórzliwy. Jedyne na co się zdobył, aby mnie podrażnić, to zainstalował się wraz z obcymi bardzo blisko mnie, chociaż poza mną nie było nikogo na olbrzymiej platformie dżebel Gijuszi, gdzie wystarczyłoby miejsca dla wielu tysięcy. Ja jednak zachowywałem się tak, jakby jego chamstwo nie robiło na mnie żadnego wrażenia.

*Hammar*, czyli poganiacz osłów pomógł podróżnym zsiąść. Następnie usiedli na rozpostartym pledzie nie witając się ze mną i nie zaszczycając mnie ani jednym spojrzeniem. To także nie zrobiło na mnie żadnego wrażenia. Wiedziałem przecież dobrze, że zwłaszcza po tej stronie kanału i Oceanu Atlantyckiego ludzi traktuje się jak powietrze. Ja oczywiście także nie cieszyłem się wcale z ich obecności i dalej paliłem spokojnie cygaro, mimo że widziałem dokładnie, iż dym leci prosto na damę, siedziała bowiem blisko mnie.

Tłumacz przyjąwszy uprzednio wstydliwą pozę rozpoczął objaśnianie rozciągającej się u naszych stóp panoramy. Czynił to taką angielszczyzną, że chłop mógłby z jej pomocą wyciągać z ziemi korzenie bez szpadla. Po jego słuchaczach widać było wyraźnie, że nie byli zbudowani tym, czego musieli wysłuchiwać. Przez jakiś czas nie wyrzekli ani słowa. Potem jednak dama nakazała gadule ciszę, wyciągnęła z torby czerwono oprawną książkę i odezwała się do towarzyszącego jej mężczyzny czystą niemiecką, co mnie niepomernie zdziwiło.

– Rozumiesz go ojcze? Bo ja nie. Poczytajmy lepiej przewodnik, dowiemy się więcej niż od tego Araba. I mówmy po niemiecku, to nas nie zrozumie.

Przewodnik, wzięty fałszywie za Araba, wycofał się obrażony. Właśnie tacy niedouczeni ludzie czują się nadzwyczaj urażeni, gdy nie okazuje się im należnego podziwu, dla ich domniemanego wiedzy. Sejjid Omar wsparłszy się łokciami o grzbiet swojego osła stał jak posąg. Długi, obszerny płaszcz jaki miał na sobie, nie był w stanie skryć mocno zbudowanej sylwetki.

Dowiedziałem się zatem, że ci dwoje to ojciec i córka. A potem dowiedziałem się jeszcze więcej. Nie spodziewając się bowiem, że znam niemiecki rozmawiali ze sobą tak swobodnie, jakby mnie tam w ogóle nie było.

Ojciec był wysokim, chudym panem o gładko wygolonej, trochę zbyt długiej twarzy. Wysoki kołnierzyk jego surduta pasował doskonale do pełnego namaszczenia, a przy tym ostrego i prędkiego sposobu mówienia. Ściągnął jedną z rękawiczek, co dało mi sposobność przyjrzenia się jego wypiełgnowanej dłoni. Niemile wrażenie robił bezwzględny, skrzypiący głos, jakim zaczynał przemawiać chcąc wygłosić jakieś zdecydowane stanowisko. Nie mam zwyczaju osądzania ludzi po pierwszym spotkaniu, lecz tym razem byłem skłonny uznać, że ten człowiek niełatwo rezygnuje z raz przyjętego, chociażby nawet i fałszywego, stanowiska.

Poza tym był z pewnością wspaniałym człowiekiem, lecz zrobił na mnie wrażenie osoby uważającej się za nieomylną, a z takimi ludźmi obcowanie jest trudne.

Do córki zwracał się Mary. Odrzuciła welon, aby mieć lepszy widok. Nie chciałem, aby uważali, że ich obserwuję, ale wystarczyło jedno krótkie spojrzenie i już wiedziałem, że dziewczyna ma miłą, lekko zaróżowioną twarz, na której błyszczały jasne, rozumne oczy. We wszystko co mówiła wkładała całą duszę. Brzmiało to tak, jakby z jej ust nie mogło wyjść ani jedno okrutne słowo. Z pewnością nie odziedziczyła tego po ojcu. Mógł to być jedynie dar, jaki otrzymała od obdarzonej wielkim sercem matki.



Ojciec był Amerykaninem, wybierającym się do Chin i córka, towarzyszyła mu w podróży. Matka, chyba Niemka, nie żyła już. Przez Londyn, Kolonię, Wiedeń i Triest przybyli do Egiptu i postanowili spędzić tu trochę czasu, a następnie obejrzeć sobie Indie. Nie wyglądali na ludzi, którym się śpieszy.

Nie znali jeszcze działania khamsinu i wybrali się zaraz po przyjeździe tu na górę, ponieważ Mary życzyła sobie obejrzeć Kair z lotu ptaka. Wrażenie jakie na niej zrobił ten wspaniały widok było tak wielkie, że w ogóle nie sprawiała wrażenia, aby wiatr ją choć trochę zmęczył.

Rozłożyła na kolanach mapę, lecz z początku nie szukała jakiegoś określonego punktu. Przede wszystkim chciała wyrobić sobie ogólne pojęcie. Robiła przy tym od czasu do czasu od niechcenia jakieś spostrzeżenie, które zwracało całą jej uwagę.

Robiła wrażenie osoby o wyjątkowym, bogatym życiu wewnętrznym. Raz prawie bym się zdradził, że słucham jej uważnie. Wymieniła bowiem moje nazwisko.

– Wiesz ojcze, o kim teraz myślę? – powiedziała. – O Karolu Mayu. Czytałam jego trzy tomy powieści „W kraju Mahdiego” i...

– Nie czytaj tych głupich rzeczy! – ojciec przerwał jej szorstko. – Ten pisarz tylko fantazjuje i sama wiesz, że jego zniewieściała pobożność jest dla mnie obrzydliwa. Skąd ci przyszło do głowy myśleć akurat o nim?

– Nazywa Kair *Bauwaabe el bilad schark*, „Bramą Orientu” i mówi, że brama ta jest słaba ze starości i ledwie jest w stanie przeciwstawić się wpływowi Zachodu. Trudno mi w to uwierzyć. Nie znam jeszcze Orientu, lecz już go pokochałam i chciałabym, aby okazał się silniejszy niż sądzisz ty ojcze i jeszcze wielu innych. Jest on dla mnie jak uspiony książę w jednej zachowanej sali zrujnowanego, wschodniego pałacu. Jego przeznaczeniem jest zostać przebudzonym przez dziewczycę z Zachodu. Gdyby doszło do zjednoczenia Wschodu z Zachodem poprzez bezinteresowną miłość, narody ziemi żyłyby szczęśliwie.

– Jesteś taką sama marzycielką, jak twoja matka. Ale rzeczywistość wygląda inaczej. Wschód pozbawił nas raju. Ukrzyżował Zbawiciela i aż do dzisiaj nie dowiedział się, co dałby mu pokój. A teraz przychodzimy my, posłańcy niebios, niosąc mu go w darze. Gdy go przyjmie, będzie go miał. Jeśli jednak go odrzuci, to mimo całej naszej pomocy nie będzie ratunku. Spójrz w dół i przyjrzyj się, co leży u twoich stóp! Wszystko, co ma pochodzenie orientalne zmierza ku upadkowi. Wszystko nowe, praktyczne i dobre pochodzi z Zachodu. Ten twój Karol May, o którym poza tym nic więcej nie chcę słyszeć, w tym jedynym wypadku wyjątkowo miał rację. Jeśli Orient jest owym księciem z bajki, o którym wspomniałaś, to nam wysłańcom dana jest możliwość obudzenia go ze snu. Tylko my jesteśmy w stanie go wyzwolić. Naszą bazą jest rzeczywistość. Twoja zachodnia dziewczyna należy do fantazji.

– Fantazji! Być może jest to właściwe słowo – uśmiechnęła się. – Są ludzie, którzy twierdzą, że fantazja ma bystrzejsze oczy niż zgrzybiały rozsądek.

– Zamierzasz mnie pouczać?

– Nie. Na to jesteś dla mnie zbyt uczony. Ale wiesz przecież, że dzisiaj oboje pukamy do bram Wschodu, a gdy się gdziekolwiek puka, to nie pytają nas tylko „Czego chcesz?”, lecz także „Co z sobą przynosisz?”. Ponieważ to, co chce się osiągnąć zależy od tego, co się ze sobą przynosi. A każdy musi coś ze sobą przynieść, nawet jeśli miałaby to być tylko jego osobowość. Zadajmy więc sobie dzisiaj, pukając do tych bram pytanie, co przynosimy tym, którzy za nimi mieszkają!

– *Well*, moje dziecko! Przynoszę im moją wiarę. To więcej niż wszystko inne.

– A ja niosę im moją miłość, absolutną miłość! Czy to wystarczy, nie wiem. Ale nie mam nic innego, co mogłabym im dać. A miłość oddaję im tak chętnie. Jakie ja miałam pragnienia! Jak ja marzyłam, bujałam w obłokach! Jaką miałam nadzieję! Moje serce było tu przede mną. Wydaje mi się, jakby moje dotychczasowe życie było przepowiednią, która zaczyna się sprawdzać. Orient

jest przecież kolebką ludzkości. Czy nie odczuwasz także tego, co to znaczy stać u bram ojczyzny? Na Wschodzie wschodzi słońce świata. Czyżby tylko twoja wiara sprowadziła cię tutaj? Czy nie niesiesz ze sobą nic poza tym?

– Banialuki! – powiedział zastanawiając się nad czymś. – To właśnie są skutki mojej słabości, która nie pozwoliła mi na surowszą kontrolę twoich lektur. W twojej głowie przesuwają się jak widma postacie z „Tysiąca i jednej nocy” i innych książek. Jesteś jeszcze dzieckiem, ale ja jestem mężczyzną. Mnie nie wolno marzyć tak jak tobie, bo mam do spełnienia ważne zadanie. Pomyśl o moim zakładzie z Reverendem Burnsem w Londynie, że w ciągu pierwszego roku nawrócę pięćdziesięciu dorosłych Chińczyków i przedłożę mu na to dowody!

– Ojczy, tak chciałabym żebyś nie poczynił tego zakładu! Mam przeświadczenie, że to świętokradztwo czynić przedmiotem zakładu duszę innego człowieka.

– Nie zakładaliśmy się o niczyją duszę, moje dziecko, lecz o moje powodzenie. I wygram, ponieważ Bóg obdarzył mnie darem przekonywania. Nie mogę tego pojąć, jak można wierzyć w coś innego niż ja, przecież moja wiara jest jedyną właściwą, jedyną prawdziwą. Nasze wielowiekowe tradycje są tego dowodem. Przypatrz się temu chłopakowi od osłów! Jego Allah jest fałszywym bogiem, a jego Mohamed kłamcą. Tyle ile wież w dole sterczy ku niebu, w tyle meczetów pragnę wstąpić, aby głośno wykrzyknąć, że nie ma innej drogi do zbawienia niż nasza. Dlaczego tak mało pogan zostało nawróconych? Ponieważ brakuje nam odwagi. Nie przekroczę w Chinach progu ani jednej świątyni, bez jasnego postawienia sprawy i powiedzenia tym niewierzącym, że są poganami, na których będzie ciążyć wieczne przekleństwo, jeśli się nie nawrócą. Ja... ale spójrz! Co ten człowiek wyprawia?

Było to przemówienie fanatyka, który ze swej chrześcijańskiej wiary uczynił karykaturę.

Urwał w połowie zdania i wskazał na Sejjida Omara. Poganiacz osłów szykował się właśnie do odprawienia swej mahometańskiej modlitwy. Nie był to wprawdzie odpowiedni czas na modlitwę, ponieważ *asr* już minął, a *moghreb* powinien być odprawiany dopiero przy zachodzie słońca. Ale ponieważ czas jednej modlitwy rozciąga się aż do początku następnej można więc, jeśli przeszkodzono nam w spełnieniu nakazanego obowiązku, nadrobić to przed rozpoczęciem kolejnej pory modłów.

Sejjid Omar z jakiegoś powodu nie mógł spełnić *asr*, a ponieważ tu na górze nadarzyła się okazja do wypełnienia w spokoju religijnych zobowiązań, uczynił to nie troszcząc się o wiarę i zdanie obecnych. Ściągnął swój szeroki pas, rozłożył go i rozciągnął na ziemi jak dywanik do modłów. Z twarzą zwróconą na wschód, w kierunku Mekki uniósł otwarte dłonie po obu stronach głowy i koniuszkami kciuków dotknął małżowin usznych mówiąc:

– *Allah akbar!* Bóg jest wielki!

Ten okrzyk właśnie zwrócił uwagę Amerykanina. Następnie muzułmanin opuścił ręce, skierował wzrok w to miejsce na dywaniku, na którym niedługo miała spocząć jego głowa przy biciu pokłonów i rzekł:

– Cześć i chwała Bogu, panu świata, Bogu najlitościwшему, który wyda sąd w dniu Sądu Ostatecznego! Tobie chcemy służyć, do Ciebie zanosimy modły, abys prowadził nas właściwą drogą, drogą, na której obdarzysz nas swoją łaską, a nie drogą, na której spotka nas Twój gniew i która jest drogą błędzących!

Była to święta *Fatiha*, pierwszy rozdział Koranu poprzedzający każdą modlitwę. Potem nastąpił krótki rozdział, który brzmi:

*Mów: Bóg jest jedynym i wiecznym Bogiem! Nie płodzi i nie jest spłodzony i żadna istota nie jest mu równa!*

Następnie Omar złożył ręce na kolanach, pochylił głowę, skłonił się trzy razy i powiedział:

– *Allah akbar!* Oddaję cześć doskonałości mojego pana, wszechmocnego. Boże wysłuchaj tego, który się do ciebie modli! Chwała ci o panie!

Wyprostowawszy się ukląkł, położył dłonie na ziemi przed kolanami i pochylił się dotykając nosem i czołem miejsca między dłońmi. Następnie wstał znowu nie odrywając kolan od ziemi i opadł do tyłu na pięty, kładąc dłonie na udach. Wykonując te ściśle określone ruchy nie przestawał się modlić:

– *Allah akbar!* Oddaję cześć doskonałości mojego pana, który jest ponad wszystkim. Bóg jest wielki.

Po czym wrócił do pozycji stojącej, aby nadal odprawiać modlitwę, ale nie było mu to dane, bo Amerykanin rzucił się ku niemu i chwyciwszy za ramię ściągnął z dywanika. Zawołał do tłumacza:

– Czy ten człowiek modli się po muzułmańsku?

– Tak.

– Proszę mu powiedzieć, że tego nie zniosę! Proszę mu powiedzieć, że jestem chrześcijaninem, misjonarzem udającym się do pogańskiego kraju, aby go nawrócić! Nie jestem w stanie ścierpieć, aby w mojej obecności modlono się inaczej niż po chrześcijańsku. Niech natychmiast przestanie, natychmiast!

Dla mahometan już samo zbliżenie się do modlącego uchodzi za grzech, a przerywanie mu modlitwy jest w ogóle nie do pomyślenia. Zaś przeszkodzenie mu w sposób w jaki uczynił to ten Jankes, przypisano by szaleńcowi lub śmiertelnemu wrogowi, który zrobił to celowo. Taką obrazę można zmyć jedynie krwią. Nieważne jest przy tym, jakiego stanu jest modlący się. W meczecie, a także w czasie modlitwy poza nim najniższy jest całkowicie równy najwyższemu.

Sejjid Omar z początku aż zeszywniał ze zdumienia, potem jednak jego oczy rozblęły. Spytał tłumacza, co powiedział ten obcy. Lewantyńczyk opowiedział mu z grubiańską dokładnością. Wtedy Omar uniósł ramiona chcąc rzucić się na obrazoburcę, lecz prędko się opanował, opuścił je i cofnął się o krok. Mierząc Amerykanina na wpół pogardliwym, na wpół współczującym spojrzeniem machnął ręką, co jest oznaką najwyższego lekceważenia i zwrócił się do tłumacza:

– Zamierzałem zrzucić go z tych skał i jego opór byłby niczym wobec siły moich ramion, ale jestem Sejjid Omar i nie będę się kałał dotknięciem takiego brudu. Każdy poganin ma więcej rozsądku niż ten *nasrani*, chrześcijanin; powiedz mu to! Biada temu, kto tak nie bacząc na nic gardzi obyczajami i przeszkadza innym w wierze. Nie chcę mieć nic więcej z nim do czynienia. Daruję mu pieniądze za mojego osła. Nie chcę ich nawet tknąć.

Podniósł dywanik, wskoczył na swego wierzchowca i klusem odjechał wymachując pasem w wiele mówiący sposób. Lewantyńczykowi sprawiło nie lada przyjemność przetłumaczenie słów Omara w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości. Mary usłyszawszy to wstała i z wyrzutem krzyknęła do ojca:

– Coś ty narobił! Chciałam cię powstrzymać, ale byłeś szybszy. Ten Arab tak mi się podobał. Był poważny, cichy i skromny. Jego modlitwa bardzo mnie poruszyła. Rzeczywiście czułeś się w obowiązku, aby ją przerywać?

– Oczywiście! – odpowiedział. – *Nie będziesz miał innych bogów przede mną!* Tak nakazuje Pismo Święte. Eliasz zbił kapłana Baala. Jego gorliwość powinna stanowić wzór dla każdego wysłańca wiary udającego się do pogan.

– A nie sądzisz, że nasz Bóg i Allah to jedno?

– Kto ma inną wiarę, ma także innego boga! A mieć innych bogów jest zakazane. Słyszałaś przecież.

– Ale miłość, o której masz wygłaszać kazania, nakazuje przecież...

– Bądź cicho i nie mów nic o miłości, z której nic nie rozumiesz! – przerwał jej szorstko. – Najpierw wierzę, potem Kocham. Musimy udać się w świat i nawrócić wszystkie narody. A słowo, które niesiemy ma być jak młot kruszący skały – tak mówi Biblia. Jedynie pokazując siłę tego słowa możemy przeciągnąć pogan na swoją stronę. Dopiero potem, gdy będą już nasi, podarujemy im naszą miłość. Dojrzelismy, jak daleko można dojść samą tylko miłością. Zostało doowiedzione, że w obecnych czasach islam robi więcej postępów niż chrześcijaństwo. Świat pogański będzie należał do tego, kto zmusi go do posłuszeństwa.

Zabrzmiało to tak twardo i zdecydowanie, że Mary wolała zachować milczenie. Usiadła i najprawdopodobniej chciała wrócić do poprzedniego nastroju, ale daremnie. To, co ją przedtem zachwycało stało się obojętne, a ponieważ ojciec także stracił dobry humor i stał się małomówny, poprosiła w końcu, aby wracali.

– Bardzo chętnie – zgodził się. – Tu na górze jest potwornie gorąco, a jak ty dałaś radę wytrzymać obok dymiącego cygara tego grubiańskiego człowieka nie wiem tego wytłumaczyć.

– Naturalnie nie znoszę zapachu tytoniu; lecz dla niego zdaje się jest to rozkosz. Nie zwracałam więc na to uwagi.

Ten objaw dobroci i samozaparcia spowodował, że zacząłem żałować iż nie zachowałem się delikatniej. Później znalazłem okazję, aby żywo wspomnieć jej obecne słowa.

Odjechali tak, jak przybyli, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi.

Lewantyńczyk był zmuszony iść piechotą, ponieważ zostały tylko te dwa osiołki, o które on się postarał.

Było mi smutno ze względu na dziewczynę, że nie zostali dłużej, bo słońce chyliło się już nad horyzontem i serdecznie życzyłbym tej uroczej istocie obejrzenie dzisiejszego zachodu.

Przyjechałem tu, na górę właśnie ze względu na zachód słońca, cieszyłem się na to, lecz gdy już nastąpił stwierdziłem, że nie jestem już zdolny do pełnego, jak niegdyś, nad nim zachwyty. Wstrętne scena, której byłem świadkiem, położyła się cieniem na mojej duszy. Amerykanin poczynił pewne uwagi, których dźwięk starałem się stłumić lub przewyciężyć, bez skutku.

Tak często, jak znajdowałem się tu na górze, widziałem rozciągające się przede mną dwa światy, które jednak przez dwie zależności od siebie tworzyły jeden. Tak samo widziałem dwa czasy rozdzielone pozornie przez tysiąclecia, a które łączyły się ze sobą w cudownej, wzruszającej jedności. Teraźniejszość ma swe korzenie w przeszłości i określa także naszą przyszłość. Kto to pojmie, nie potrzebuje badać wnętrza piramid i trwożyć się zagadkami Sfinksa, bo ich jasne i wyraźne rozwiązanie znajduje. Ludzkość jest jak czas. I jedno i drugie kroczy niepowstrzymanie naprzód i tak jak żadna pojedyncza godzina nie jest lepsza od innej, tak żaden człowiek, żadna klasa, żaden naród nie mogą się chlępić szczególnym wyróżnieniem przez Boga, bez jednoczesnego podjęcia obowiązku służenia innym. Tak jak jakiś znamienity odcinek czasu jest jedynie wynikiem czasów minionych, tak w rozwoju ludzkości nie ma duchowego kierunku czy czynu, który wyniknąłby sam z siebie i nie musiałby przeszłości okazać wdzięczności. Historia świata, którą nazywamy powszechną, kończyła dotąd każdy rozdział buńczucznego zadufania karzącym wnioskiem i ten akt sprawiedliwości przekazywała późniejszym pokoleniom w jednoznacznym języku ruin. I te mówiące, wygłaszające kazania ruiny udzielają nam lekcji, że to co w Oriencie umarło dla nas, ma zmartwychwstać na Zachodzie.

Była to ta sama refleksja, której córka Amerykanina nadała tylko inny wyraz mówiąc o śpiącym księciu, który czeka na przebudzenie przez dziewczę z Zachodu. A jak było mi bliskie jej pytanie: „Co przynoszę ze sobą”? Jeśli chcemy być uczciwi musimy przyznać: każdy, kto przybywa na Wschód, ten najczęściej nie chce mu służyć, tylko coraz więcej chce z niego uzyskać. Wschód już dawał tak długo i tak dużo. A teraz, gdy popadł w biedę, może przecież z kolei pomysleć o braniu. A my, bogaci powinniśmy sprostać wymaganiu radosnego obdarzania.

Lecz jak wygląda gotowość dawania w zachodnim świecie? Czy takowa w ogóle istnieje? Ja mówię: nie. Inni co prawda twierdzą inaczej i pełni dumy wskazują na błogosławieństwa cywilizacji, którymi Zachód jest w stanie obdarzyć Wschód. Przeocząją wszakże, że wieczna opatrność w swej sprawiedliwości nie uznaje jako ofiary natrętnych obcych ani papierów wartościowych europejskich towarzystw finansowych.

Słońce zaszło. Zmrok w tej strefie zapada błyskawicznie i droga w dół do Bab el-Karafe staje się mało przyjemna. Z tego powodu wybrałem drogę powrotną przez Szaria MehemmedAli i ulicę Tahira prowadzącą do hotelu.

Zapalono już latarnie, upał ustępował i ulice wreszcie się ożywiły. Na placu Ibrahima Paszy rozbrzmiewała skoczna, arabska muzyka.

Powracający z pielgrzymki do Mekki ludzie podążali w pochodzie przez miasto. Im dalej od Kairu znajduje się ojczyzna tych pielgrzymów, tym chętniej schodzi im się z drogi, wprawili się bowiem w fanatyczny stan. Z tego powodu bardzo uważałem, aby nie wejść im w drogę i wolałem poczekać aż mnie miną. Później wieczorem mówiono mi, że przy Meidan Abdin paru Europejczyków zostało pobitych przez tych ludzi prawie na śmierć.

Kiedy gong wezwał gości hotelowych na kolację, okazało się, że wolny dotychczas stół po mojej lewej stronie jest zajęty. Zajął go Amerykanin i jego córka. Gdy usiadłem, usłyszałem jak powiedział po niemiecku:

– To znowu ten nieprzyjemny człowiek! Na szczęście nie wolno tu palić.

– Ależ ojczy, możliwe, że on rozumie po niemiecku! – ostrzegła go Mary.

– Wykluczone. Przecież tłumacz powiedział, że jest Francuzem, a wiadomo, że żadnemu Francuzowi nawet nie przyjdzie do głowy uczyć się niemieckiego.

– Ja wołałabym jednak zasięgnąć języka u kelnera. Wiesz przecież, jak niewiele można polegać na tym, co mówią ci tłumacze. Nie chciałabym, aby ten obcy czuł się przez nas obrażany.

Podano najpierw im, potem mnie. Studiowałem menu, gdy usłyszałem misjonarza wykrzykującego ze zdziwieniem:

– *Heavens!* Chińczyk! I jeszcze jeden! Dwóch Chińczyków, dwóch prawdziwych Chińczyków tutaj w Kairze, w Egipcie! Kto by pomyślał! Gdzie usiądą?

*Monsieur Fu* i *monsieur Tsi* wolno kroczyli przez salę w kierunku swojego stolika. Na ich widok pośpieszyło dwóch kelnerów, aby podsunąć im krzesła. Następnie jeden z nich podszedł do stołu Amerykanów, aby zabrać puste talerze. Misjonarz wykorzystał tę chwilę by zasięgnąć informacji:

– Skąd pochodzą ci dwaj Chińczycy?

– Z Kantonu – brzmiała odpowiedź.

– Zna pan może ich nazwiska?

– *Monsieur Fu* i *monsieur Tsi*.

– „Fu” znaczy mężczyzna, także człowiek, a także ojciec. „Tsi” to potomek, a także skutek czegoś. Interesujące! Wie pan, jakiego są stanu?

– Kupcy. Wuj i bratanek. Byli w Paryżu. Robią w chińskich towarach.

– Tam jest miejsce dla czterech osób. Dosiądziemy się do nich. Proszę zanieść tam moją kartę!

– Hm! Nie wiem, czy mogę. Chcą być sami i nie życzą sobie aby ktoś im przeszkadzał.

– Nic mnie to nie obchodzi. Jestem misjonarzem, jadę do Chin i zamierzam natychmiast skorzystać z okazji i zawrzeć tę interesującą znajomość. Tak więc proszę oddać moją kartę!

Kelner pokiwał z namysłem głową zastanawiając się przez chwilę i w końcu odrzekł zdecydowanie:

– Nie mogę sam się tego podjąć i przyślę do pana naszego dyrektora.

Gdy się oddalił, usłyszałem jak córka zapytała z troską:

– Ależ ojcze, czy to nie będzie *faux pas*?

– Dlaczego? – spytał – Czyżby chęć poznania kogoś stanowiło *faux pas*? Myślę o moim zakładzie z Reverendem Burnsem. Co to byłby za sukces móc mu już stąd donieść, że dokonałem nawrócenia, zanim jeszcze znalazłem się w Chinach!

Nadszedł dyrektor. Żądanie Amerykanina i dla niego było niezręczne, lecz w końcu wziął kartę i oddał ją starszemu Chińczykowi. Ten przeczytał nazwisko, z niewzruszoną twarzą wysłuchał tego, co miał mu do powiedzenia dyrektor i następnie wyraził zgodę krótkim skinieniem głowy. Tego się nie spodziewałem. Lecz gdy potem swymi małymi, delikatnymi dłońmi pogłaskał końce długiej, zadbanej brody w jego oczach pojawił się krótki, prawie niezauważalny błysk. Spojrzał na syna, a ten odpowiedział mu leciutkim, drżącym ruchem wachlarza. Azjata z Dalekiego Wschodu wyszedł naprzeciw życzeniu Stanów Zjednoczonych.

Dyrektor przekazał odpowiedź. Mary wstała niechętnie, lecz jej ojciec minął mój stolik i krokiem triumfatora zbliżył się do Chińczyków, którzy wolno i dostojnie powstali ze swych miejsc i spoglądali na niego bez żadnej oznaki uprzejmości. Misjonarz skłonił się przed nimi i przemówił do nich w języku, który z pewnością uznawał za bezbłędną chińszczyznę. Mimo, że uważałem bardzo, zrozumiałem jedynie jego nazwisko – Waller – a potem jeszcze słowo *tschui*, które oznacza przyłączyć się do kogoś. Gdy skończył wydawało się, że Chińczycy zrozumieli akurat tyle samo, a może i mniej, bo z początku w ogóle nie odpowiadali, lecz Fu wskazał wolne krzesła, na których mieli usiąść ojciec i córka. Zajęli miejsca. Mary z widocznym zmieszaniem. Ponieważ Chińczycy uporczywie milczeli i siedzieli nieruchomo jak posągi, misjonarz rozpoczął przemawiać po raz drugi.

Nie odniosło to innego skutku niż za pierwszym razem, bo gdy skończył, Fu piękną angielszczyzną spytał:

– Proszę mi powiedzieć, w jakim języku przemawiał pan przed chwilą?

– Przecież to chiński! – odpowiedział Amerykanin zdumiony nieprzewidzianym skutkiem swych zdolności językowych. – Słyszałem, że panowie są Chińczykami i mam nadzieję, że nie poinformowano mnie fałszywie.

– Tak, jesteśmy z Chin, ale ten kraj jest nieprawdopodobnie wielki. My sami nie byliśmy w każdym jego zakątku i chyba nie odwiedziliśmy tej jego części, gdzie używa się tego języka, który pan sobie przyswoił. Wolno spytać, w której części kraju leży ta okolica?

Na początku rozmowy Fu był na tyle taktowny, aby szukać powodów i usprawiedliwienia dla braku znajomości Amerykanina. Lecz z jego ostatniego pytania przebijała kpina. Nie zauważając tego misjonarz odrzekł:

– Jeszcze nigdy nie byłem w Chinach i jadę tam dopiero po raz pierwszy.

– A więc nauczył się pan tego języka na uniwersytecie w Stanach Zjednoczonych?

– Nie, w łatwiejszy i przyjemniejszy sposób. Z pewnością panowie wiedzą, że my Amerykanie jesteśmy praktycznym narodem, a także to, że bardzo wielu Chińczyków, prawie więcej od nas samych, woli mieszkać w naszym kraju. W naszym domu zatrudnialiśmy dwóch, jednego jako pracza, drugiego jako golibrodę. Pracz pochodził z północy, a golibroda z południa Chin, a ponieważ nie chciałem być jednostronnie wykształcony: jeżeli chodzi o języki, brałem lekcje u obu.

Zapadła cisza. Twarze Chińczyków pozostały nieporuszone. Mary zaczerwieniła się. Domyśliła się chyba, jak jej ojciec się skompromitował. Ten jednak nie tracąc ani na chwilę pogody ducha i bez zażenowania zwrócił się do kelnera, który podawał mu właśnie kolejne danie.

– Tak więc jest pan misjonarzem, jak przeczytałem na pańskiej karcie? – spytał po chwili Fu.

– Oczywiście – odparł Waller. – Mam nadzieję, że wie pan, co to oznacza!

– Znaczy to, że jedzie pan do nas, aby studiować naszą religię i potem rozpowszechniać ją w Stanach Zjednoczonych?

Amerykanin odłożył przedkó i widelec, obrzucił zdziwionym spojrzeniem mówiącego i wyjaśnił:

– Muszę przyznać, że jeszcze nigdy w życiu nie słyszałem tak niebywałego pytania. Jestem chrześcijaninem, a więc wyznaję jedynie prawdziwą i właściwą wiarę. A pan, który najprawdopodobniej wyznaje konfucjonizm powinien go odrzucić i przejść na chrześcijaństwo.

– Przecież jestem chrześcijaninem – odpowiedział Chińczyk, a po jego twarzy przemknął niezwykle uprzejmy, grzeczny uśmiech.

– Pan jest chrześcijaninem? – powtórzył jego słowa Amerykanin z rosnącym zdziwieniem. – A więc już się pan nawrócił?

– Nawrócił? O nie! Zmiana wiary byłaby całkowicie zbyt duża. Kto czyni coś, co nie jest konieczne, ten zasługuje na to, aby nazwać go głupcem. To sprawa, którą w Chinach pojęto już dawno. Proszę niech mi pan wyjaśni istotę wiary chrześcijańskiej!

*Mr. Waller* wyprostował się na krześle i zaczął mówić o grzechu pierworodnym. Tymczasem kelner przyniósł Chińczykom zupę. Fu odprawił ją z krótką uwagą, że wraz ze swym towarzyszem zjedzą później w pokoju, po czym skierował ponownie całą swą uwagę ku Jankesowi. Pozwolił mu mówić przez dłuższy czas nie przerywając ani słowem i dopiero wtedy, gdy po przyrzeczeniu Abrahama zapadła cisza, powiedział:

– Nie prosiłem pana o wyczerpującą historię chrześcijaństwa, lecz o syntezę pańskiej wiary.

– Ależ przecież pan nie zna naszej wiary! Nie zrozumiałby pan więc nic, jeżeli przedstawiłbym panu jedynie krótki jej zarys.

– O proszę! To, co jasne może zostać zrozumiane nawet przez Chińczyka. Chrystus jest założycielem pańskiej wiary, a Piotra opisano mi jako tego apostoła, któremu przekazano najwyższą władzę w chrześcijaństwie, urząd klucznika. Tak więc uzna pan z pewnością, co powiedzieli ci dwaj. Chrystus podaje nam swą zasadniczą myśl w ewangelii św. Jana, gdzie mówi, że całe prawo i nauka proroków zawierają się w jedynym nakazie: „Kochaj Boga i swego bliźniego!” A Piotr rozkazuje w swym pierwszym liście: „Czujcie bojaźń Bożą, kochajcie brata swego i czcicie wszystkich ludzi!” To jest to, co chciałem od pana usłyszeć.

Rozkoszny był to widok ujrzeć teraz twarz Wallera. Zdumienie wywołane nieoczekiwaną erudycją Chińczyka malowało się wyraźnie na jego obliczu i w całej postawie. Nie był w stanie wyrzec ani słowa. Fu uśmiechnął się, że nie zauważa, jakie wrażenie zrobiły na Amerykaninie jego słowa i ciągnął dalej:

– Jest to więc kwintesencja pańskiej wiary według słów Chrystusa i jego najważniejszego apostoła. A kwintesencja naszej wiary brzmi: „Prawdziwa szczęśliwość pochodzi z nieba i ludzie powinni się dzielić między sobą bez zawiści i w pokoju!” Przecież to dokładnie to samo. Pańska wiara i nasza są więc takie same. Jeśli jestem posłuszny mojej, to postępuję tak, jak powinien postępować chrześcijanin, a gdy pan robi tak, jak zaleca pańska, to jest pan tym, kogo wcześniej nazwał pan konfucjaninem.

Takie ujęcie sprawy przywróciło Amerykaninowi mowę.

– Co! – wykrzyknął. – Ja konfucjaninem? Co za śmiałe wnioskowanie! Wprawdzie widać, że nie brakuje panu znajomości Biblii, ale niemożliwością jest, aby miał pan jakiegokolwiek pojęcie o niezliczonych niuansach między pańską wiarą a chrześcijaństwem!

– Nic nie szkodzi – uśmiechnął się Fu. – Takie niuanse muszą istnieć, ponieważ ludzie różnią się między sobą. Przecież i pańskie chrześcijaństwo nie jest monolitem i między jego różnymi odłamami panuje spór! Wszystko zależy jedynie od plonu, od wyniku. Jeśli dwa rachunki dają dokładnie ten sam wynik, to jest to dowód, że obydwa są prawidłowe. Być może poszczególne

pozycje są inaczej nazwane, niektóre występują koło siebie, inne trzymają się od siebie z daleka. Jeden jest zapisany alfabetem łacińskim, drugi chińskimi znakami. Jeden musi się czytać od prawej strony do lewej, drugi z góry na dół. To wszystko wprawdzie ma znaczenie, ale nie zasadnicze. Sprawą zasadniczą jest, że wynik się zgadza. A jeśli jest taki sam, to oznacza, że jeden rachunek jest tyle samo wart co drugi i nikt z tych, którzy je pisali i przedłożyli niebu nie może twierdzić, że księgowość tego drugiego jest fałszywa. Sam pan widzi, że nasze religie dają taki sam wynik. To, że pojedyncze pozycje wykazują różnice narodowe i społeczne, nadaje obliczeniom tylko życia i nie wolno nam zapominać o tym, że prawdziwość jednego rachunku jest nie do udowodnienia bez prawdziwości drugiego. To, że pańska wiara przynosi te same owoce co nasza, stanowi dla nas dowód, że nasza nie opiera się na błędzie. I postąpilibyśmy zarówno nieuprzejmie jak i niemądrze twierząc, że byłoby konieczne, aby pan odrzucił swoją wiarę i przeszedł na naszą.

Misjonarz śledził słowa Chińczyka z uwagą, która w miarę wywodu przechodziła w zdziwienie.

– Ten „wynik” religii wydaje mi się niesłychanie podejrzany. Trzeba się nad tym zastanowić – zauważył w końcu.

– Chrystus w św. Mateuszu rzekł dwukrotnie krótko po sobie: „Po swych owocach zostaniecie rozpoznani” – odpowiedział Chińczyk. – A owoce wydają przecież świadectwo o drzewie, które je rodzi. Słyszysz pan, że przemawiam do pana jak chrześcijanin.

– Ale jakim sposobem posiada pan taką znajomość naszej Biblii?

– Wynika to z posłuszeństwa naszym świętym pismom, które nakazują poznanie wszystkich dróg, jakie prowadzą do Boga. Wszędzie, gdzie stoi świątynia bądź kościół, droga taka stoi otworem. Jedna prowadzi ze świątyni, inna z kościoła. Lecz obie zmierzają do tego samego miejsca, gdzie dostarczane są owoce i wydawany jest za nie rachunek.

– Myśli pan o śmierci? A jak wygląda życie po niej w wiecznej szczęśliwości? Co o tym pan wie?

– Wiemy, że nasi przodkowie znajdują się tam i czcimy ich. Pan wierzy, że pańskie dusze, pańscy święci tam mieszkają i zanoszą do nich modlitwy. Czy to nie to samo?

– Jeśli o to chodzi, to raczej będzie pan musiał wyprzeć się swoich przodków, ponieważ...

– Musiał? – prędko przerwał mu Fu.

Wyglądał, jakby był bliski wybuchu. Amerykanin nawet nie podejrzewał ile popełnił błędów. Czyżby naprawdę zwyczaje Chińczyków były mu tak nieznane, jak można było sądzić po jego zachowaniu? Jeśli tak, zrobiłby lepiej zostając w domu. Albo może raczej do tego stopnia zaabsorbowany był swym powołaniem, że w swych dążeniach do nawrócenia każdego poganina zapominał o jakichkolwiek względach? Albo może należał on do tych ludzi, którzy uważają, że członkowie innych ras są mniej wrażliwi na cierpienia fizyczne i duchowe? To, że w ten sposób wyrażał się o czyichś przodkach świadczyło o wielkiej gruboskórności. Byłem przekonany, że Chińczycy albo wyproszą go od stołu, albo odejdą sami, zwłaszcza, że przez niego zrezygnowali z jedzenia, a czego on jakby nawet nie dostrzegł. A jednak nie zdarzyło się nic podobnego. Fu opanował się. Podjął rozmowę tym samym przyjacielskim tonem, jakim mówił przedtem:

– Kto nie czci swych zmarłych, ten nie jest wart tego, żeby żyli dla niego; gdy tak czyni, to w pewnym sensie wypiera się sam siebie, ponieważ swe istnienie zawdzięcza właśnie im.

Mary spojrzała na niego z sympatią. Z pewnością nie uszło jej uwagi, ile włożył wysiłku w to aby pozostać spokojnym i kusilo ją, aby mu przytaknęła:

– Kto mógłby żądać wyparcia się swych zmarłych? Czy to możliwe, abym zapomniała o mojej zmarłej matce, której miłość była dla mnie całym światem? Nie jestem w stanie myśleć o niej jako o zmarłej. Wiem, że i dzisiaj jest stale przy mnie, tak jak była zawsze. Różnica polega jedy-



nie na tym, że wcześniej ją widziałam, a teraz już nie. Ale czuję ją. Od jej śmierci jest coś we mnie, czego wcześniej nie było, a co ma na mnie wielki wpływ. Ci, których załatwiamy krótkim słowem „zmarli”, mają być może większą moc nad nami niż nam się wydaje.

– Mary, bardzo dziwnie się wyrażasz – zareagował ojciec karcącym tonem.

Tsi, który z szacunku do ojca nie powiedział do tej pory ani słowa, przymknął lekko oczy i delikatnie przechylił głowę w jej stronę, jakby chciał dać do zrozumienia, żeby mówiła dalej.

Fu dotychczas spojrzał na nią przelotnie tylko raz, teraz zwrócił ku niej całą twarz i przyglądając się jej z upodobaniem powiedział:

– Dziękuję pani, *miss* Waller! Nie ma nic bardziej fałszywego ponad wyobrażenia, jakie się ma u was o naszym „kulcie przodków”, który wszakże nie jest żadnym „kultem”. Bierze się przy tym za podstawę przesądne zwyczaje naszych najniższych warstw społecznych, lecz jest to dokładnie tak samo błędne, jak to, gdybyśmy my waszych zmarłych i świętych traktowali na równi z wiarą w duchy, która przecież nadzwyczaj często występuje w niższych kręgach waszego społeczeństwa. A przecież nie przyszłoby mi nawet do głowy żądać od was wyparcia się waszego nieba wraz z jego duchami. Lecz tak samo mało która siła ziemską przywiodłaby nas do tego, abyśmy sprzeniewierzyli się temu uszczęśliwiającemu przekonaniu, że nie na zawsze pożegnaliśmy naszych zmarłych. To, co powiedziała pani o swej matce, znajduje serdeczny oddźwięk w moim sercu. Także my, Chińczycy mamy matki, które żyją po śmierci dzięki naszej miłości; naród, który nie zapomina o swoich matkach, ojcach, przodkach, jak niektórzy Europejczycy, nie pamiętający imion dziadków swoich ojców lub matek; taki naród jest głęboko zakorzeniony w swej przeszłości i czerpie z niej siły i soki tak, że nie potrzebuje walczyć o przyszłość. Tylko ten, który nie zna duchowego podłoża naszego życia, może mówić o „uwiądzie starym żółtego człowieka”. Widzi pan, że nie jest mi obca opinia, jaką o nas mają. Ale na nasze usprawiedliwienie powiem: kto nie ma szacunku dla przeszłości, ten nie posiada żadnej wartości dla przyszłości. Także drzewa rodowe starych rodzin w pańskim kraju, nie mają znaczenia tylko genealogicznego, bo w ich komórkach krążą odmładzające soki, a w ich cieniu mogą skryć się ci wszyscy, którzy stracili wewnętrzny kontakt z narodem, ponieważ nie pielęgnowali swego poczucia przynależności do pnia i są jedynie opadłymi liśćmi z ogołoconych od dawien dawna drzew, są czarnoziemem narodu grzebiącym pamięć nierzadko szlachetnych duchów i nierzadko pięknych czynów. My, Chińczycy, stawiamy pięknej śmierci pomniki, aby ci, od których pochodzimy i, o których spuściznę musimy zadbać nie umarli na zawsze. Jesteśmy świadomi naszego związku z nimi, pamiętamy o nich. Obchodzimy uroczyste dni poświęcone ich pamięci. A jeśli prosty człowiek, niezdolny do duchowej ofiary z darów miłości, czyni to w bardziej materialny sposób niż właściwie leży to w naturze oddawania czci przodkom, nie upoważnia to jeszcze nikogo do twierdzenia, że chodzi tu o zabłąkanie się w przesądach lub nawet o bałwochwalstwo, chyba że brakuje mu podstawowych pojęć. Pani, *miss* Waller, uważa pamięć swojej matki za świętą. Powtarzam, my pozostajemy wierni pamięci naszych ojców. Czyż to nie to samo? Jeśli zamierzałaby mnie pani skrytykować, to i ja nie mógłbym pani przyznać racji, lecz przecież mniemam, że ani pani, ani ja nie mamy podstaw, aby ranić się w ten sposób.

Wyciągnął do niej swą delikatną dłoń, a ona zarumieniona z radości, wsunęła do niej swoją.

Muszę przyznać, że ten Chińczyk bardzo mi przypadł do serca. Nie tylko wszystko, co czynił i mówił, lecz także to jak to czynił i mówił, było dystygowane i zarazem naturalne.

Podawszy dziewczynie dłoń wstał z zamiarem opuszczenia sali jadalnej. Syn podążył za przykładem ojca wyciągając także rękę do *miss* Waller.

– Ja także pani dziękuję – powiedział. – Proszę nie traktować nas za bardziej żółtych i wyjątkowych niż jesteśmy w rzeczywistości!

Jej ojcu oddali tylko ukłon i poszli w stronę drzwi. Ten spoglądał **za** nimi, dopóki nie zniknęli. Potem rzekł wyglądając obrus:

– Precz! Wyniosłość i brak zrozumienia! Takie są narody na krótko przed upadkiem. W jaki sposób dotrzeć do takich ludzi? Jeśli poganin twierdzi, że jest chrześcijaninem, każdy kto chce go nawrócić, jest bezsilny.

– Obawiam się ojcze, że Fu nie jest jedynym Chińczykiem, od którego usłyszysz taki sprzeciw – zauważyła córka.

– A niech to! Obym znalazł się już w Chinach! Będę wędrował od świątyni do świątyni i mój głos zabrzmi tak donośnie, że zadrżą bożki stojące wokół pod ich ścianami. Wiesz, że mam dar słowa zdolny skruszyć skały. Spójrz na historię nowych czasów! Wszędzie, gdzie dokonano podbojów pojawiał się najpierw chrześcijański wysłaniec. To my odważnie przecieramy szlaki duchowej i wynikającej z niej światowej władzy. Dyplomacja Stanów Zjednoczonych już od pewnego czasu kieruje swój wzrok za Ocean Spokojny. Zapanowaliśmy już nad wyspami; teraz należałoby umocnić bardziej niż do tej pory swe wpływy w Chinach. Będę pracował nad tym zagadnieniem i sądzę, że jestem odpowiednim do tego człowiekiem.

– Lecz musisz okazać więcej miłości, ojcze!

– Nie staraj się być mądrzejsza od swego ojca! Pogańskie świątynie muszą runąć na całym świecie. Ich kolumny i ich mury muszą zostać zburzone. Nie może więcej istnieć żaden Allah i żaden Mahomet, żaden Brahma, żaden Konfucjusz i żaden Laotse!

Był bardzo podniecony i mówił głośniejsz niż właściwie wypadało w publicznym miejscu. Mary położyła mu uspokajająco rękę na ramieniu i poprosiła:

– Mów ciszej! Jesteś teraz taki niespokojny, już nie tak cichy i pogodny, rozważny i roztropny jak byłeś, gdy żyła matka. Miałam nadzieję, że ta podróż cię rozerwie, ale te „pogańskie świątynie” nie wychodzą ci z głowy.

Przemawiała do niego stanowczo i poważnie, a w jej oczach pojawiła się troska. Martwiła się bardziej niż to chciała okazać. Ale jej słowa zrobiły na nim wrażenie tylko na krótko. Przez moment był cicho lub mówił przynajmniej ściszym tonem, lecz wkrótce stał się głośny jak przedtem. Temat pogańskich świątyń przyciągał go jak magnes i tak często jak to możliwe powracał do niego, chociaż Mary starała się jak mogła, aby go od niego odciągnąć.

Po posiłku, jak zwykle zamówiłem kawę na oświetlonym jasno tarasie. Nie siedziałem tam nawet paru minut, gdy ujrzałem Mary i Wallera wychodzących z hotelu na spacer. Przechodzili blisko mnie i byłem pewny, że rozmawiali znowu o jakiejś świątyni.

Sejjid Omar, poganiacz osłów, stał naprzeciwko hotelu na placu. Po pewnym czasie przywiązał osła i podszedł bliżej aż pod szerokie schody wejściowe, na które nie wolno było bez zezwolenia wstępować służbie nie należącej do personelu hotelowego. Gdy prosił właśnie portiera o owo zezwolenie, ujrzałem, że wskazywał przy tym na mnie. Oddźwierny udzielił mu go i Sejjid zbliżył się do mnie powoli i z taką godnością jak jakiś wysłaniec padyszacha ze Stambułu. Zatrzymawszy się przede mną skrzyżował ręce na piersi, pokłonił się i pozdrowił:

– *Die dy!*

Spojrzałem na niego pytająco i nic nie odpowiedziałem.

– *Die dy!* – powtórzył, a gdy i wtedy nic nie odpowiedziałem, przypomniał sobie coś lepszego i dodał jeszcze jedną sylabę – Dzień dybry!

Miał oczywiście na myśli „Dzień dobry!”.

– *Jis 'id masak!* – odpowiedziałem, dając mu tym samym do zrozumienia, że powinien mówić po arabsku, ponieważ jego znajomość niemieckiego nie jest wystarczająca. Usłyszawszy, że władam jego językiem ojczystym odetchnął z ulgą i spytał:

– Nazywam się Sejjid Omar. Jak mam tytułować ciebie, gdy do ciebie mówię?

– Zwykle nazywano mnie sahib – odpowiedziałem.

– Niech będzie, sahib! Słyszałem od kelnera, który obsługuje cię w pokoju, że zamierzasz odbyć długą podróż i potrzebujesz arabskiego służącego. Zameldowało się już wielu, ale żaden ci się nie spodobał. Jeśli Allah zechce, a ty się zgodzisz, pójdę z tobą.

Wszystko się zgadzało. Z początku chciałem się udać w górę, do Sudanu i z tego powodu ten o kogo mi chodziło musiał mówić po arabsku.

– Jak na to wpadłeś, aby ofiarować mi swoje usługi? – spytałem. – Czy twój osiołek przynosi ci za mało pieniędzy? Nie podoba ci się w Kairze?

– Zarabiam dobrze i jestem zadowolony z mojego rodzinnego miasta. Nigdy bym się stąd nie ruszył, ale z tobą pojechałbym chętnie, bo bardzo cię polubiłem.

– Polubiłeś? Z jakiego powodu?

– Z wielu powodów. Zauważyłem, że mnie obserwujesz i dowiadywałem się kim jesteś. Jeden cię znał. Nie po raz pierwszy jesteś tutaj i w hotelu podałeś nie swoje nazwisko, ponieważ piszesz książki, które czyta wielu ludzi, którzy potem biegną do ciebie i ci przeszkadzają. A tego sobie nie życzysz. Nie wolno mi zdradzić osoby, od której to wszystko wiem. Często jeździ na moim osle i wyznał mi kiedyś, że wprawdzie jesteś chrześcijaninem, ale jednocześnie musisz być wyjątkowym ulubieńcem Allacha. Jest tego pewien, bo czytał wszystkie kartki, które napisałeś; listów niestety nie można otwierać.

– Ach! To ten stary Ibrahim z poczty, który zna mnie od dawna.

– *Maszallah!* W jaki sposób to odgadłeś?

– Powiedziałaś o kartkach i listach. Ma w zwyczaju przynosić mi je osobiście. A jeśli chodzi o twoją prośbę, to przyjdź do mnie jutro rano, o ósmej! Powiem ci, co postanowiłem. Teraz możesz odejść!

Pokłonił się i odszedł, po paru krokach jednak zawrócił i rzekł:

– Sahib, będzie lepiej, jeśli od razu wyjaśnię moje warunki!

– Ach tak! A więc stawiasz warunki?

– Tak. Zostanę twym wiernym, odpowiedzialnym służącym, a ty będziesz moim surowym, lecz dobrym panem. Wiem o tym dobrze, bo muszę przyznać, że Ibrahim opowiedział mi o tobie więcej niż możesz się domyślić. Zapłacisz mi, ile uznasz za stosowne, będę zadowolony ze wszystkiego. Możesz żądać ode mnie, czego chcesz, zrobię to. Ale nie wymagaj nic, co sprzeciwiałoby się mojej wierze! Nie pozwól, abym zaniedbał którąkolwiek z moich modlitw i nigdy nie mów o swojej religii! Kocham cię, ale nie kocham chrześcijaństwa. *Leltak sa 'ide!* Niech twoja noc będzie pobłogosławiona!

Po tych słowach odwrócił się i zniknął mi z oczu. Niech nikt nie myśli, że miałbym ochotę złościć się na niego za jego wymagania. Nie były one tak nieuzasadnione jakby się mogło wydawać. Żeby to zrozumieć trzeba wiedzieć, do jakiego rodzaju chrześcijan odnosiły się słowa Omara.

Po pierwsze do turystów. Proszę się przejść kiedyś przez Szaria Bab el-Hadid do dworca i poobserwować ludzi, którzy tam przybywają! Właściwie nie przybywają, lecz są przywożeni. Nie wysiadają, lecz są wysadzani. Są jak „stada” krów czy baranów, które rezygnują z jakiegokolwiek samodzielności i chcą być tylko posłuszne przewodnikowi. Nie są już osobami czy nawet osobowościami, lecz tylko przedmiotami określonego biura podróży. Zachowują się tak niepewnie i bezradnie, że każdy tubylec, z którego usług są zmuszeni korzystać, poczytuje sobie za swój święty obowiązek wyeksploatowanie ich niewiedzy do samego końca. Zewsząd słyszy się ich głośne okrzyki podziwu dla wszystkiego co niecodzienne i odmienne. Miejscowi są przez nich obfotografowywani jako niemal cuda. Są świadkiem tego, jak turyści kupują rzeczy pochodzące z Niemiec i kosztujące tam parę marek, tu płacą za nie dziesięciokrotną cenę. Krótko mówiąc, to

co wzbudzą dalekie jest od szacunku, a jeśli ktoś za nimi biegnie z okrzykiem *bakszysz* to nie wolno im myśleć, że pod owym „darem” należy rozumieć niczym nie zasłużoną jałmużnę, lecz że jest to danina, którą tubylec ma prawo żądać, a cudzoziemiec płacić. Nigdy jeszcze nie widziałem karczmarza, handlarza, przewodnika, tłumacza i poganiacza osłów, który nie byłby przekonany, że jest dużo sprytniejszy od takiego intruza. I zdanie takie jest coraz bardziej rozpowszechnione. Człowiekowi Wschodu wystarczy dostrzec jeden jedyny punkt, w którym jest wyższy od człowieka Zachodu i jest już głęboko przekonany, że ta przewaga istnieje pod każdym innym względem. Ten zaiste fałszywy punkt widzenia dotyczy przede wszystkim religii. Turysta, a szczególnie tak zwany „zbiorowy turysta” zostawił swoją osobowość w domu i nie przywozi ze sobą nic ponad niezdrową ciekawość i worek pieniędzy. Jest on ucieleśnionym *bakszyszem*, który Zachód daje Wschodowi. Ów *bakszysz* jest pożywką dla oszustwa, chciwości i kłamstwa, wpływa do kas kupców nie będących wcale tubylcami i nie daje właściwemu Orientowi żadnego pożytku, zwłaszcza duchowego.

Najeżenie się Omara nie było niczym innym jak niechęcią człowieka do odkrywania swych świętości przed obcym za lichy napiwek. Uzasadnienie dla swej niechęci znalazł aż pod dostatkiem w moralnych wartościach lub raczej w ich braku w chrześcijaństwie, jakie miał szansę poznać.

Kto ma bystre oko, ten od Aleksandrii czy Suez, aż w górę po Assuan znajdzie potwierdzoną niezliczonymi przypadkami hipotezę, że wszędzie gdzie chodzi o sukces za wszelką cenę, chrześcijanin maczał w tym palce. Wprawdzie chodzi tam najczęściej o chrześcijan greckich, lewantyńskich czy nawet wschodnich, lecz dla mahometanina nie stanowi to różnicy. Chrześcijanin uchodzi za chrześcijanina i każdy z nich musi najpierw zgodzić się na to, że zostanie osądzony dokładnie tak samo.

Sejjid Omar nie był głupim człowiekiem. Jak się później dowiedziałem studiował nawet przez dwa lata teologię w meczecie Azhar, co przy tutejszych stosunkach jest możliwe nawet dla poganiacza osłów. Postanowiłem jednak, że sprawdzę najpierw jego umiejętności jeździeckie i w tym celu zaplanowałem na jutro rano przejażdżkę do Gizeh, a potem do Sakkary, ponieważ, większość poganiaczy osłów, którzy na swych małych wierzchowcach odznaczają się prawdziwym kunsztem jeździeckim, nigdy jeszcze nie siedziała na koniu i postępowanie z nimi jest im obce. Potrzebowałem służącego, którego nie przestraszy trwająca czasami miesiące, jazda na każdego rodzaju koniu.

Krótko po wizycie Omara udałem się do swego pokoju, aby popracować jeszcze godzinę, ale nic z tego nie wyszło, ponieważ cały czas moje myśli zaprzętały osoby będące moimi sąsiadami w jadalni. Bez przerwy rozmyślałem o nich i ich rozmowie. Szczególnie zajmował mnie misjonarz; nie mogłem sobie bowiem wyjaśnić aż tak zarozumiałego zachowania się człowieka, którego profesja powinna być przesiąknięta słowem Izajasza, że kroki wysłańców, którzy z boskich wyżyn wygłaszają kazania o pokoju i prawiąc świętości, muszą rozbrzmiewać cicho i słodko. Odłożyłem więc na bok papier, atrament, pióro i postanowiłem uciąć sobie drzemkę.

Wkrótce też zasnąłem, lecz moje myśli nie. Śniłem o tym, o czym przedtem rozmyślałem. Widziałem pana Wallera: wdzierał się do domostw, przewracał podpierające je filary, ścinał drzewa i nie rozstawał się z siekierą, taranem albo a innym ordynarnym narzędziem. Widziałem krucyfiksy, kaplice, kościoły; greckie, indyjskie, asyryjskie świątynie, meczety, posągi pogańskich bogów i chrześcijańskich świętych. Rozwalał je wszystkie, bez wyjątku. Pracował w pocie czoła jak szaleniec, aż rozbrzmiał w końcu czyjś grzmiący głos: „Szawle, Szawle, dlaczego mnie prześladujesz?”. Wtedy runął na kolana, a ja się obudziłem.

Miałem nadzieję, że zasnę wkrótce znowu i zamknąłem oczy, ale nie mogłem zapomnieć snu z jego zburzonymi świątyniami i kościołami. Wtem usłyszałem wewnętrzny, natarczywy głos,

potem zaraz drugi. Słowa poczęły układać się w wersy, najpierw jeden, do którego dołączył się drugi, trzeci i w końcu czwarty. Ułożyły się w rymowaną, czterowersową strofę i wstałem, aby ją zapisać w jasnym świetle księżyca. Przeniósłszy linijki na papier, położyłem się na nowo i obudziliśmy się nie wcześniej niż usłyszałem głośnie drapanie do drzwi. Arabowie, zanim przestąpią próg pokoju, mają w zwyczaju drapać do drzwi.

Spojrzałem na zegarek. Punkt ósma! O rany! Najprawdopodobniej za drzwiami czekał Sejjid Omar.

– *Istan'ni szubai'je*. Poczekaj chwilkę! – krzyknąłem tak głośno, aby mógł mnie usłyszeć i prędko doprowadziłem się o tyle, o ile do porządku.

Chociaż nie wychodziłem na zewnątrz zauważyłem, że chamsin wiał jeszcze silniej niż wczoraj, jednak bez tego, ze względu na przedpołudniową porę, nieznośnego gorąca; zawołałem i Omar wszedł do pokoju. Ubrał się w swoją najlepszą szatę i głowę zawiązał turbanem, chociaż na co dzień nosił zwykły czerwony tarbusz. Tak w Egipcie nazywa się fez. Chciał mi dać do zrozumienia, że wizyta u mnie miała dla niego nadzwyczajne znaczenie. Zgodnie z obyczajem Arabów, którzy przy tutejszym klimacie nie widzą potrzeby zamykania drzwi do pomieszczeń mieszkalnych, zostawił je szeroko otwarte.

Na zewnątrz, na korytarzu, prawdopodobnie było otwarte okno i zrobił się przeciąg tak gwałtowny, że jednym podmuchem zwiął leżące na stole papiery, jeden z nich znalazł się na balkonie, gdzie z początku sekundę poleżał spokojnie, lecz potem drgnął tak silnie, że zachodziła obawa iż lada chwila wyfrunie na zewnątrz. Omar natychmiast usłużnie podskoczył, podniósł go, przypatrzył mu się, po chwili namysłu wyrzucił w powietrze i papier wirując spadł na dół.

– Chyba nic na nim nie było? – spytałem.

– O tak, był zapisany – odpowiedział.

– A więc dlaczego go wyrzuciłeś?

– Nie było tam przecież ani jednego arabskiego słowa! Powiedział to tak pewnym siebie tonem, jakby wszystko co nie arabskie nie było warte skarbów całego świata. Jego twarz wyrażała przy tym niezwykle zadowolenie, jakby to było zrozumiałe samo przez się i było nie do pomyślenia, abym myślał inaczej niż on.

– Słuchaj, Omar – pouczyłem go – piszę po niemiecku, ale mimo to wszystko co piszę jest więcej warte niż to, co na przykład ty napisałbyś po arabsku! Papier także kosztuje, a ten arkusz należał do mnie nie do ciebie. Skąd ci to przyszło do głowy, aby go wyrzucać? Jeśli Francuz płaci ci złotym napoleonem także go wyrzucasz, ponieważ wybite tam pismo nie jest arabskie?

Zaczerwienił się, co jego ciemnej cerze nadało szczególny odcień, zwiesił ramiona i wpatrywał się w ziemię. Miał szczególnie mocno rozwinięte poczucie honoru i moją pretensję odczuł bardzo głęboko.

– Sahib, co mam powiedzieć? – wyrzucił z siebie w końcu. – Jest moim serdecznym życzeniem zostać twoim służącym, a teraz, gdy jeszcze wcale nim nie zostałem i nawet cię jeszcze nie pozdrowiłem uczyniłem taki błąd. Czy nie możesz pisać swoich książek po arabsku tak, abym gdy zobaczę twoje pismo mógł je od razu przeczytać i stwierdzić czy są ważne, czy raczej może nadają się do wyrzucenia?

– W przyszłości nie wolno ci niczego wyrzucać, a o zapisane przeze mnie kartki musisz dbać z wielką pieczołowitością! Są warte więcej pieniędzy niż myślisz.

– *Maszallah!* A więc wyrzuciłem pieniądze?

– Prawdopodobnie. Później sprawdzę czego mi brakuje.

– Przebac mi, sahib! Albo i ja napiszę coś na papierze. Ty to wyrzucisz i będziemy kwita!

Powiedział to ze śmiertelną powagą. Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. To dodało mu odwagi. Wyprostował się, oderwał wzrok od ziemi i spytał:

– Co postanowiłeś w związku z moją prośbą?

– Umiesz jeździć na koniu?

– Tak, przeegzaminuj mnie! Wiem od starego Ibrahima, jakie trasy już przemierzyłeś. Zobaczysz, że ci się przydam.

– Przyjdź zatem o trzeciej po południu. Postaraj się o konie. Pojedziemy do Gizeh, a jutro do Sakkary, Bedraszehn i może także do Heluanu. Ale nie myśl sobie, że będziemy trzymać się tras turystycznych! Czy twoje życzenie się spełni będzie zależało od tego jak będziesz jechał i czy się szybko zmęczysz.

Odetchnął głęboko i zapewnił mnie radosnym tonem:

– *Hamdulillah!* Niech Allahowi będą dzięki. Zostanę twoim służącym, wiem o tym! *Allah jisallimak!* Niech Bóg cię ma w opiece!

Pochwycił moją dłoń, pochylił się i przycisnął ją do ust. Zrobił to w ten sposób, że od razu można było poznać, że takie oddawanie hołdów nie leżało w jego zwyczaju. Byłem skłonny wysoko to docenić.

Gdy wyszedł, spojrzałem na papiery leżące na stole. Stwierdziłem, że brakowało akurat tych czterech linijek, które napisałem dziś w nocy. Bardzo tego żałowałem, bo mogłem sobie wysilać pamięć na wszelkie możliwe sposoby, a i tak nie byłem w stanie odtworzyć ani słowa. Wprawdzie pamiętałem myśl przewodnią, że nie przystoi chrześcijaninowi dokonywać świętokradztwa w żadnej świątyni, ponieważ także u podłoża pogańskiego obrządku religijnego leży transcendentna idea, której należy się szacunek i której nie wolno bezcześcić. Lecz myśl ta nie chciała się już tak swobodnie i czysto ułożyć w rymy jak w straconych linijkach.

Wyszedłem więc na balkon, skąd można było objąć wzrokiem cały wielki dziedziniec. Lecz niestety nigdzie nie było widać mojej kartki papieru. Porywisty wiatr pogał ją z pewnością do Szaria Kahmel albo na drugą stronę, na plac Ibrahima Paszy.

Postanowiłem zejść na śniadanie. Na portierni kazałem zatelefonować do hotelu Menahouse w Gizeh i zarezerwować pokój, który brałem zawsze, gdy byłem w tej okolicy. Z pokoju tego prowadziły wprost na dwór dobrze zamykane drzwi, tak że o każdej porze można było go opuścić i pójść do piramid nie będąc zauważonym przez pozostałych gości. Był wolny.

W jadalni stwierdziłem, że Chińczycy musieli już być po śniadaniu. Przy zastawionym wciąż brudnymi naczyniami stole nie było nikogo. *Mr.* Waller siedział sam. Przed nim stała pusta filiżanka, spoglądał wkoło znudzonym wzrokiem i zdawało się, że czeka na córkę. Gdy kelner obsługując mnie minął jego stolik, usłyszałem jak pyta go o *monsieur* Fu i *monsieur* Tsi.

– Mają zamiar wyjechać – zabrzmiała odpowiedź.

– Co? Na dobre?

– Nie. Zostaną tu jeszcze przez dłuższy czas, aby dokładnie poznać okolicę Kairu, jak i samo miasto. Dzisiaj jadą do Gizeh. Prześpią się w Menahouse, a jutro wybierają się do piramid w Sakkarze.

Wzbudziło to zainteresowanie nie tylko misjonarza, lecz także i moje. Były więc widoki na to, że zobaczą ich i dzisiaj, i jutro. Postanowiłem nie przegapić żadnej okazji do zawarcia z nimi znajomości.

Po chwili na dół zeszła *miss* Mary i jej ojciec kazał podawać. Dowiedziałem się, nie mając zamiaru podsłuchiwać, że powraca właśnie z miasta. Zrobiła drobne zakupy. Ojciec zakomunikował jej, że Chińczycy wybrali się do piramid i zapytał czy nie miałaby ochoty także dzisiaj tam pojechać. Nie wydawała się być uradowana tym pomysłem, zapewne ze względu na Fu i Tsi, czego przypuszczałnie jej ojciec nie brał pod uwagę. Ale była przyzwyczajona stosować się do jego życzeń.

Podły humor *mr.* Wallera uległ widocznej poprawie. Stał się rozmowniejszy, a ponieważ dzisiaj, odwrotnie niż wczoraj mogłem skupić na nim całą uwagę, zauważyłem od razu osobliwe, nerwowe, można by rzec prawie lękliwe przeskakowanie z tematu na temat. Było to niespokojne uganianie się od jednego przedmiotu do drugiego. To wspominał bez przerwy swą zmarłą żonę, którą widać było, że bardzo kochał, by po chwili bez ostrzeżenia przejść do mówienia o swej przyszłej działalności misjonarskiej. Gdy jednak, z rzucającą się w oczy pewnością siebie, zaczął znowu prawić o powalonych posągach i świątyniach, córka weszła mu w słowo. Sięgnęła do torebki, wyjęła stamtąd jakiś złożony papier i powiedziała:

– Muszę ci coś w związku z tym pokazać, drogi ojcze. Twierdzisz, że musi upaść wszystko, co jest związane z uwielbieniem obcych bóstw i możliwe, że masz rację. Dla mnie ta myśl jest zbyt ostra, bo pogaństwo jest według mnie całkiem niewinnym gaworzeniem ludzkości we wczesnym dzieciństwie. A tu mam parę linijek, które jak raz dotyczą naszego sporu.

– Kto je napisał?

– Nie wiem. To czterowersowa strofa napisana po niemiecku.

– Musisz przecież wiedzieć, od kogo ją masz!

– Od wiatru! – roześmiała się podnosząc do góry kartkę i naśladując ruch, który przywiał do niej papier. – Gdy byłam na zewnątrz przygnał mi ją i położył prosto u stóp. Podniosłam ją, bo była czysta i przeczytałam. Wyobraź sobie moje zdziwienie, gdy się przekonałam, że dotyczy to twej *idee fixe*! Chcesz posłuchać?

Skinął głową, zaczęła czytać:

*Zabierzcie waszą Ewangelię!  
świat przeznaczony przecie do pokoju;  
i tam gdzie zobaczycie bożą świątynię,  
zostawcie ją w spokoju!*

Czytała wolno i słyhać było, że z całym sercem zgadza się z tymi słowami. Następnie spojrzała pytająco na ojca. Dostrzegła, że linijki te zrobiły na nim nieoczekiwane wrażenie i strzegła się, aby go nie zniszczyć. Siedział bez ruchu ze splecionymi dłońmi. Patrzył przed siebie, w jakiś oddalony punkt. Sala tętniła ruchem; talerze szczękały, noże i widelce dzwoniły. Zewsząd dobiegały prowadzone głośno rozmowy, lecz wydawało się, że nic do niego nie dociera.

Jeśli byłem zaskoczony ujrawszy w rękach Mary zgubioną kartkę, to wyobraźcie sobie moje zdumienie na widok wrażenia, jakie zrobił mój wiersz na człowieku, który właściwie spowodował mnie do jego napisania. Rozumiało się samo przez się, że nie powiedziałem ani słowa. Odzyskałem treść strofy. Odczytanie jej wystarczyło, aby odcisnęła się w mej pamięci na zawsze.

Wreszcie Amerykanin ocknął się. Rozejrzał się po sali, jakby z trudem uświadamiał sobie, gdzie się znajduje. Następnie, niezwykle jak na niego miękko, spytał:

– I ten kawałek papieru przywiał ci wiatr, naprawdę tylko wiatr? Nie ma tam nazwiska autora? Zupełnie nic, z czego by można wywnioskować do kogo należy?

– Zupełnie nic, ojcze.

– A więc możemy go uznać za naszą własność i zatrzymać na... na później, kiedy być może będziemy go potrzebować.

– Chcesz go zatrzymać?

– Nie, ty go schowaj! A gdyby, a gdyby kiedyś znowu mi się zdarzyło mówić bez serca o tych, których nazywam poganami, to odczytaj mi dwie ostatnie linijki: „i tam, gdzie zobaczycie bożą świątynię zostawcie ją w spokoju”. Myślę, że podziała to jak balsam na to coś, co jest we mnie i co chce, a jeszcze ciągle nie może zwyciężyć.

Znowu zapadła cisza.

Po chwili Waller, oparł łokcie na stole, wsparł głowę na dłoniach i zwróciwszy twarz ku córce spojrział na nią badawczo, lecz z miłością, po czym zamknął oczy, jakby chciał sobie coś przypomnieć, aż w końcu rzekł:

– Jesteś tak bardzo podobna do matki, zewnątrz i wewnątrz, i to właśnie po jej stracie, jeśli mnie nie pocieszało, to z pewnością uspokajało. Była moim aniołem, a ty wierzysz przecie, że przebywa z nami dzisiaj tak samo jak kiedyś. Wiesz, że jestem walczącym teologiem, bardziej może walczącym niż chce tego Biblia. Twoja cudowna matka zawsze dokładała jak najwięcej starań, aby złagodzić moją gwałtowną naturę. W dniu jej śmierci, gdy po raz ostatni byłem z nią sam na sam – ty rozmawiałaś na zewnątrz z lekarzem – musiałem jej uroczyście przysiąc, że wypełnię jej ostatnie życzenie. Ująłem wówczas jej dłoń i ona, powiedziała: „Zawsze bądź prawdziwym chrześcijaninem i zaprowadzaj pokój!” A dzisiaj wiatr przynosi tobie prawie dokładnie te same słowa! Twój głos brzmi jak jej, a gdy przed chwilą czytałaś te linijki, przed moimi oczyma pojawił się jej pokój, w którym umarła i...

Więcej nic już nie usłyszałem, a może raczej nie chciałem już nic więcej słyszeć. Wstałem i wyszedłem. Rozmowa przybrała tak intymny charakter, że nie uważałem za stosowne przysłuchiwać się jej, nawet bezwiednie. Wczoraj myślałem, że być może jest on całkiem niezłym człowiekiem, lecz dzisiaj owo „być może” stało się pewnikiem. Tylko niestety zamieszkiwał w nim demon, który jego samego pozbawiał spokoju. Jego, który tak chciał dawać go innym. Diabeł ten popycha ludzi i narody wciąż naprzód i naprzód, do zawłaszczania wciąż nowych przestrzeni nie pozwalając zarazem, aby na starych zapanowały pokój i szczęście.



## POD PIRAMIDAMI

Punktualnie o trzeciej Sejjid Omar zadrapał do moich drzwi. Konie były już przygotowane i mogliśmy ruszać. Obserwowałem jak sobie radzi z dosiadaniami konia. Zrobił to tak dobrze i bez wysiłku, jakby była to czynność, którą wykonywał co dzień. Trzymał się za mną o całą długość konia, co także zyskało moją aprobatę i w nagrodę poleciłem mu jechać po mojej lewej stronie. Poza tym nie mogłem go przecież obserwować, gdy jechałem przed nim. Trzymał się spokojnie mojego boku. Ktoś inny z pewnością by próbował popisywania się swymi umiejętnościami w panowaniu nad zwierzęciem, ale nie on. Nadarzyła się jednak okazja, aby wystawić go na próbę. Gdy zbliżaliśmy się do Kasr en-Nil, ruch uliczny stał się, mimo potwornego skwaru, bardzo ożywiony. Napotykanie po drodze wozy, jeźdźcy, wielbłądy i przechodnie stwarzali, chętnie przeze mnie widziane przeszkody. Kręciłem się w tym zamieszaniu tam i z powrotem tak, że przeciętnemu lub całkiem złemu jeźdźcowi trudno byłoby dotrzymać mi kroku. On jednak bez wysiłku pokonywał wszelkie trudności.

Po przekroczeniu mostu na Nilu ruszyłem klusem. Siedział w siodle jakby się w nim urodził. Po drugiej stronie muzeum, minąwszy znaną kawiarnię „Na rogu” musieliśmy znowu zwolnić, ponieważ dwa szeregi powiązanych ze sobą jucznych wielbłądów, między którymi maszerowała grupa wrzaskliwych kobiet, z koszami na głowach, a akurat z naprzeciwka nadjeżdżał podwójny tramwaj z Gizeh.

Tramwaj spłoszył wielbłądy. Najpierw stanęły jak wryte, by zaraz potem jeden zaczął ciągnąć w prawo, drugi w lewo. Jeden stał wzdłuż, drugi w poprzek ulicy, a tam, gdzie dwa były związane ze sobą na chwilę utworzyła się na całej szerokości ulicy barykada z wierzgających wielbłądów, wrzeszczących kobiet – a my pośrodku.

– Omarze, chodź!

Z tym okrzykiem ruszyłem naprzód wciskając się koniem między dwie kobiety, za którymi szamotały się związane ze sobą dwa wielbłądy, a tą niewielką lukę między nimi zamykał łączący ich sznur. Poderwałem konia i szczęśliwie wziąłem przeszkodę. Kobiety wrzasnęły, poganiacze obsypali mnie wyzwiskami, lecz Omar roześmiał się radośnie i zrobił dokładnie to samo. Teraz tylko chodziło o wypróbowanie jego wytrzymałości.

Po drodze z Kairu do piramid mijają się po lewej stronie dwie wioski fellachów. Po prawej rozciągają się zielone pola nawadniane kanałami. Trzy wielkie piramidy ma się prosto przed sobą. Ukazują się w oddali jako trójkątne, płaskie bryły, lecz nabierają plastyczności im bliżej się podjeżdża. Hotel Menahouse leży u ich stóp. Prowadzi od niego w górę szeroka, przejezdna droga, którą po obu stronach obudowano murem, aby nie zasypał jej piasek. Ponieważ piasek podchodzi aż pod krawędzie muru, droga wygląda jak wąwóz. Mury te nie nadają się do chodzenia, lecz

drzwi pokoju zamówionego przez mnie wychodzą wprost na nie, skąd górą, wprowadzie tylko po żwirowisku, dociera się w pobliże piramid nie będąc przy tym zauważonym z wąwozu. Nie bez przyczyny wspominam o tym szczególe.

U wschodniego podnóża piramid leży arabska wioska el Kasr, której mieszkańcy kompletnie zdeprawowani przez podróżnych, narzucają się, ofiarowując wszystko co leży w granicach ludzkiej natury, z bezwzględną natarczywością. Pojedynczo porozstawiani stoją na czatach już w pewnej odległości od piramid, aby napaść na nadchodzących od strony miasta turystów i, jeśli nawet nie zostaną wynajęci, wcisnąć im przynajmniej fałszywe monety, sprytnie podrobione skarabeusze lub inne bezwartościowe przedmioty.

Dzisiaj nie było nikogo widać. Musiało to mieć jakąś przyczynę. Poznałem ją, gdy tylko dotarłem do hotelu. Obserwowani wczoraj na placu Ibrahima Paszy obcy pielgrzymi podążyli dzisiaj do piramid, aby oddać im hołd, ponieważ dla mieszkańców pustyni wciąż stanowią one większy cud niż dla nas, ludzi cywilizowanych. Chcieli wdrzeć się do hotelu, lecz nie wpuszczono ich tam, co oczywiście musiało się odbyć z największą uprzejmością, aby nie odpłacili się zemstą. Kelner, który zaprowadził mnie do mojego pokoju, śmiejąc się zakomunikował, że cel ten osiągnięto szybko i bezkonfliktowo przy pomocy przeniesionych obok jakby mimochodem, paru wędzonych kiełbas i świńskich szynek. Na ich widok przerażeni mahometanie uciekli z wrzaskiem i zaniechali napastowania przekłętą miejscą. Z początku udali się do el Kasr, aby wyżebrać trochę żywności, a następnie powędrowali do świątyni Granit, aby w drodze do piramidy Cheopsa pokłonić się Sfinksowi. Postać Sfinksa umieszczona przed trzema piramidami Gizeh jest – w przeciwieństwie do sfinksów greckich – płci męskiej. Jego głowa przedstawia twarz budowniczego środkowej piramidy, egipskiego króla Chefrena, zaś zdaniem innych, oblicze boga słońca. Wszystko co w el Kasr mieszkało i było w stanie się poruszać przyłączyło się do pielgrzymów, którzy w Bahr Bela Ha, czyli morzu bez wody, między Setrah i Dżebal Burgheh, czuli się jak u siebie w domu.

Jest zrozumiałe, że nikt z mieszkańców czy gości hotelowych nie odważył się pójść do piramid dopóki znajdowali się tam ci fanatyczni pielgrzymi. Jednak, gdy dowiadywałem się o Chińczyków oznajmiono mi, że mimo wszystko tam powędrowali. *Mr. Waller* z córką podążyli za nimi. Co to była za nieostrożność!

Otworzyłem wspomniane już drzwi mojego pokoju, wziąłem krzesło i usiadłem na górze nawianego piasku. Głęboko w piasek wcięta droga do piramid znajdowała się tak daleko ode mnie, że jej dno mogłem dostrzec jedynie w miejscu, gdzie skręcała w lewo.

Właściwy korpus piramid został zbudowany w formie stopni, które później obłożono gładką otuliną. Z tej otuliny pozostała jeszcze resztką na szczycie drugiej piramidy Chefren, podczas gdy ze szczytu piramidy Cheopsa zniknęła całkowicie. Z tego powodu na jej wierzchołku utworzyła się płaszczyzna o powierzchni może dziesięciu metrów kwadratowych, na którą można się było wspiąć od strony północno-wschodniej, ponieważ tam znajdowały się wysokie na około metr schody. Aby się tam dostać korzysta się zwykle z pomocy trzech Beduinów, z których dwaj idą przodem i ciągną zainteresowanego, podczas gdy trzeci go popycha.

Z wysokości można podziwiać leżące blisko zielone, bo nawadniane obficie pola, lecz miasta nie widać dobrze, ponieważ znajduje ono się w sporej odległości. Od północno-zachodniej, zachodniej i południowej strony ciągnie się pustynia z jej brązowo-żółtymi połaciami i sterczącymi gdzieś tam skałami o wygłodzonym i spragnionym wyglądem. Od południowego zachodu wznoszą się pozostałe piramidy. Głęboko w dole Sfinks spogląda na wschód. A jednak mimo to nie ogląda nigdy wschodu słońca, bo nawiewany od stuleci piasek, „wyrósł” wokół niego do takiej wysokości, że nie istnieje już dla niego żaden poranek.

Imię Sfinks jest fałszywie użyte w stosunku do egipskiej rzeźby. Jest ono pochodzenia greckiego, a Grecy nie mieli wiele wspólnego z tebańską córką Tyfona i wężem Echidna. U Egipcjan nazywa się on „Neb” co oznacza „Pan”. Jego, jednocząca w sobie formę zwierzęcia i postać człowieka, wyniosła sylwetka wyrastająca ze skał przed świątyniami, uznawana za niezniszczalną i łącząca w sobie majestatyczną prostotę i wielkość, zadaje nam głęboką i trudną zagadkę, zarazem jednak zdradzając siebie samego podaje jej rozwiązanie, że światem rządzi jedynie siła zrodzona z ducha. Starożytni Egipcjanie nie byli zatem materialistami i właśnie z tego powodu im akurat udało się opanować ciężką materię z jej potężną bezwładnością przy pomocy najprostszych metod.

Gdzie się podziwiał obecnie Sejjid Omar i co robił nie wiedziałem. Po naszym przybyciu na miejsce spytał mnie, czy mam dla niego jakieś polecenie. Nie był mi akurat potrzebny, lecz wieczorem chciałem, aby mi towarzyszył. Miałem zamiar udać się na długi spacer i przy świetle księżyca podziwiać piramidy.

Stały przed mną tak bliskie, a przecież tak odległe!

Jedynie trzy minuty dzieliły mnie od najbliższej piramidy. Jednak nie były to właściwie trzy minuty lecz cztery tysiące siedemset lat. Postacie Arabów, które widziałem wyraźnie to wspinające się to schodzące w dół tak niewielkie, podobne do mrówek, należały właśnie do owych trzech minut. Co pozostanie po nich po śmierci?

Ale pamięć tych, którzy układali na sobie te olbrzymie ciosane kamienie, jest wciąż po prawie pięciu tysiącach lat żywa. Ich życie nie minęło bez śladu i nie zniknie z kart historii. A przecież i te pięć tysięcy lat w porównaniu z wiecznością nie są niczym innym, jak tylko trzema minutami, a gdy nadejdzie czas wielkiego pytania, na które kiedyś każdy z nas będzie musiał odpowiedzieć, wtedy prawdopodobnie Cheops nie będzie ani o cal większy od tego Beduina, który wygląda w tej chwili tak nieznacznie. Spoglądając na nich moje oczy przesunęły się nad miejscem na drodze, o którym już wspominałem, że było jedynym które byłem w stanie dostrzec. Ktoś tam pędził w wielkim pośpiechu. Chociaż mogłem go widzieć tylko przez ułamek sekundy natychmiast rozpoznałem Sejjida Omara. Biegł prędko, jego długa szata powiewała na wietrze. Musiało chyba stać się coś niezmiernie ważnego, co spowodowało, że on, który zawsze tak dbał o godne ruchy, pozwolił sobie na taki pośpiech. Parę kroków na lewo piaszczyste wzniesienie, na którym się znajdowałem, przechodziło w płaski dach przylegającego do hotelu budynku. Z niego mogłem ujrzeć Omara wybiegającego z głębokiej jak wąwóz drogi. Poszedłem tam i spojrzałem w dół. Na dziedzińcu stało wiele osób, którzy woleli to miejsce od dusznych i zatechłych pokoi. Omar wcale nie zwolnił kroku, lecz kluczył śpiesznie między gośćmi nie myśląc nawet o tym, że jemu jako bezpośredniemu potomkowi proroka nie przystoi taki sposób poruszania się. Udałem się do mojego pokoju i ledwie zdążyłem przekroczyć próg, gdy Omar już drapał w drzwi. Nie poczekał nawet na moją odpowiedź, lecz wpadł do środka, oczywiście zostawiając za sobą otwarte drzwi i wyrzucił bez tchu:

– Sahib, ma się odbyć nad nimi sąd. Musisz natychmiast stać się *ich fakihem*, czyli obrońcom!

– O kim ty mówisz? – spytałem.

– O Chińczykach. Są dobrymi ludźmi i mieszkają w tym samym hotelu co ty. Mam nadzieję, że stanowi to wystarczający powód dla ciebie, aby się za nimi wstawić.

– Nie jestem fakihem. Kto ich oskarża? Co takiego zrobili?

– Wzięli Amerykanina w obronę, a jego życie wisi teraz na włosku. I dobrze mu tak! Widziałeś przecież jak przerwał moją modlitwę.

– Dlaczego jego życie wisi na włosku?

– Opowiem ci to po drodze. Tylko chodź szybko, bo inaczej być może będzie za późno, abyś zajął się tymi Chińczykami!

Chwycił mnie za ramię i zaczął ciągnąć. Ja jednak stawiałem opór.

– Opanuj się! Więcej można zdziałać spokojem i namysłem niż nadmiernym pośpiechem. Opowiadaj, tylko krótko, co się wydarzyło!

Z wysiłkiem zapanował nad swym zdyszczanym głosem i zabrał się do opowiadania.

– Zaprowadziłem konie do stajni i nakarmiłem je, po czym poszedłem pod piramidy. Chciałem zobaczyć tych pielgrzymów z Mekki, nie miałem powodu się ich obawiać, jestem przecież muzułmaninem. Ich szaty w czasie długiej drogi uległy zniszczeniu, lecz przecież to w niczym nie przeszkadza, a ci Beduini z Bahr Bela Ma są pobożnymi ludźmi, którzy byli w Mekce i mogą dużo o tym opowiedzieć. Gdy nadszedłem akurat wspinali się na wielką piramidę. A ponieważ tam wysoko może przebywać tylko około trzydziestu osób, musieli wchodzić partiami. Upłynęło wiele czasu zanim pierwsza partia zeszła na dół. Z nią poszedłem w dół do Sfinksa, na którego także chcieli się dostać. Wiesz, że po drodze mija się świątynię Granit. Gdy właśnie znaleźliśmy się w jej pobliżu, usłyszałem na schodach głosy, ale nie zwróciłem na to uwagi. Gdybym wiedział, do kogo należały, to wszedłbym do środka, aby ich ostrzec.

– No któż to był? – przerwałem mu.

– Dwaj Chińczycy, Amerykanin i jego córka. Wszyscy wspinaliśmy się po plecach Sfinksa, skąd niektórzy młodzi ludzie z el Kasr mają w zwyczaju wchodzić wyżej, na głowę. Jest to jednak tak niebezpieczne, że za żadne skarby świata nie odważyłbym się ich naśladować. Właśnie jeden z nich pokazywał tę sztuczkę i szejk obcych pielgrzymów upierał się, że i on tego dokona. Nikt mu nie wierzył; z każdej strony dobiegały spory. W końcu zaproponowano mu zakład i on się zgodził. Ściągnął płaszcz i zdjął z szyi *hamail*. Sznur, na którym wisiał okazał się za mały, aby przejść przez głowę, on jednak ciągnął. W końcu pękł i *hamail* pofrunął na ziemię tam, gdzie skała zwisa ku dołowi. Nie zatrzymał się i spadł na sam dół. *Hamail*, jak zapewne wiesz to napisany w Mekce i w ramach pewnych uroczystości nabyty Koran, który jest sprzedawany tylko pielgrzymom będącym w stanie udowodnić, że wiernie wywiązali się ze wszystkich obowiązków. Uchodzi za drogocenną pamiątkę pielgrzymki, uważany jest za świętość i nigdy nie może wejść w kontakt z niczym, co nie jest równoważne tej świętości.

Pokiwałem głową.

– To jeszcze o niczym nie świadczy. *Hamaile* są noszone w pokrowcach, a w dole jest sypek piasek, tak że księga nie mogła zostać uszkodzona.

– To prawda. Ale słuchaj, co się dalej stało! Szejk nie troszczył się w tej chwili o swój *hamail*, który mógł sobie przecież zabrać później, myślał tylko o zakładzie. Postanowiono, że na górę wejdzie jeszcze ktoś z el Kasr, aby obcy był w stanie zapamiętać miejsca, o które można się zaczepić. Warunek ten został spełniony. Tak więc do rozstrzygnięcia zakładu należało dwa razy wspiąć się i dwa razy zejść. Trwało to dosyć długo, ponieważ każdy ruch musiał być wykonany z największą ostrożnością. Tymczasem na dole doszło do czegoś, na co nie zwróciliśmy uwagi, bo wszyscy byliśmy skupieni na tym, co się dzieje na górze.

– Zgaduję już! Amerykanin i *hamail*!

– Tak, tak jest, sahib! We czwórkę opuścili świątynię Granit i także zbliżyli się do Sfinksa, mimo że widzieli, iż roi się tam od Beduinów. Okoliczność ta powstrzymała ich tylko od wspinania się na niego. Obrali wąską ścieżkę prowadzącą od jego zachodniej części i przy przedniej nodze odkryli *hamail*. Zamiast go nie ruszać, przecież nie są żadnymi mahometanami i mogli się domyśleć, że należy on do któregoś z pielgrzymów, to wyciągnęli go z pokrowca, otworzyli i przekartkowali. W międzyczasie obcy szejk, który nawiasem mówiąc okazał się znakomitym zawodnikiem, wygrał zakład i zeszliśmy ze Sfinksa, co jak wiesz odbywa się po jego plecach. Na dole spotkaliśmy się z Amerykaninem. Gdy szejk ujrzał swój *hamail* w rękach tego człowieka, był z początku tak przerażony, że nie był w stanie wymówić słowa. Wkrótce jednak przerażenie

zamieniło się w gniew. Wyrwał mu go z ręki i spytał, czy mieszka w Menahouse, gdzie ludzie jedzą szynki i kielbasy. Gdy zapytany przytaknął, *hamail* musiał zostać uznany za sprofanowany. Możesz sobie wyobrazić wściekłość szejka, który najchętniej zabiłby Amerykanina na miejscu. Ten jednak nie był na tyle mądry, aby milczeć, lecz próbował się bronić i nazwał *hamail* kłamliwą księgą.

– Ależ, przecież on nie mówi po arabsku!

– Był z nim tłumacz, ten sam, którego widziałeś na Dżebel Mokattam.

– I ten człowiek był aż tak nieroztropny, aby przetłumaczyć słowa „kłamliwa księga” zamiast wybrać inne, mniej obraźliwe?

– Och, on to przetłumaczył całkiem inaczej! Nie mogę ci teraz dokładnie wszystkiego powtórzyć, co się tam wydarzyło, bo już i tak straciłem zbyt wiele czasu i powiem tylko, że Amerykanin w gniewie odważył się wyrwać szejkowi *hamail* z powrotem i obrzucając go wyzwiskami rzucił mu go pod nogi.

– Niemożliwe!

– Naprawdę. Stałem tuż obok i widziałem na własne oczy. Szejk wyciągnął nóż i chciał go nim ugodzić. Córka rzuciła się między nich. Ten młody Chińczyk powstrzymał ją i sam otrzymał cios w ramię. Szejk chciał uderzyć ponownie, a jego ludzie także dobywali noży. Trzy osoby przynajmniej straciłyby życie, gdyby nie wmieszał się szejk el – Beled z el Kasr. Rząd powierzył mu nadzór nad piramidami i doskonale wie, że zamordowanie chrześcijanina, jeszcze na dodatek cudzoziemca, będzie miało fatalne skutki dla mieszkańców jego wsi. Lecz kosztowało go sporo wysiłku zanim pielgrzymi pochowali swoje noże, nie rezygnując wszakże z krwawego zadośćuczynienia, ponieważ takie potraktowanie *hamailu* jest większym przestępstwem niż dziesięciokrotne morderstwo. Do zadośćuczynienia ma dojść bez zwłoki i z tego powodu nalegają na zwołanie *dżemmy*, która ma omówić zajście i wydać wyrok.

– Czy wybrano już członków rady?

– Nie. Ale będą to tylko sami pielgrzymi i szejk el – Beled, który wysłał potajemnie jednego ze swoich do Kairu po pomoc. Chce spróbować przeciągać pertraktacje dopóki ta nie przybędzie. Ale nie sądzę, aby mu się to udało.

– Ja też nie. Zdaje mi się, że pielgrzymi zamierzają osądzić ten przypadek według prawa pustyni i ani im w głowie tutejsza policja. Tak, między nią a nimi może łatwo dojść do krwawego starcia.

– Właśnie o tym samym pomyślałem i dlatego pobiegłem, aby cię tam sprowadzić. Ty już będziesz wiedział, jak wyprowadzić tę rzecz na prostą drogę.

– Ja? Skąd ci to przyszło do głowy?

– Przecież już ci mówiłem, że ten stary Ibrahim powiedział mi o tobie więcej niż myślisz. Proszę cię o pomoc. Nie chcesz jej udzielić tym Chińczykom?

– Cały czas mówisz tylko o nich, chociaż nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. A co z Amerykaninem?

– Nic mnie nie obchodzi! Niech ma, na co zasłużył. Oszczędziłem go już na Mokattanie. Ale tutaj nie ma dla niego ratunku.

Położyłem mu rękę na ramieniu, spojrzałem poważnie w oczy i rzekłem akcentując każde słowo:

– Jesteś Sejjid Omar, ale nie jesteś dobrym człowiekiem! A kto nie jest dobrym człowiekiem nie może być wyznawcą proroka. Chciałem cię zabrać, abyś mi pomógł w obronie Amerykanina, ale jeśli chcesz możesz zostać tutaj.

Uczyniłem ruch, jakbym chciał odejść. Wtedy krzyknął:

– Sahib, weź mnie ze sobą! Udowodnię ci, że dobroć muzułmanina potrafi być większa niż pragnienie zemsty. Potrzebujemy broni?

– Nie, jedynie mądrości i zdecydowania. Szkoda, że konie są już rozsiodłane!

– Pojedziemy konno?

– Tak, ale nie mamy czasu na siodłanie ich. Znam dobrze prawa pustyni. Ci obcy Beduini nie będą sobie nic robić z szejka el-Belede. Tylko dlatego zgodzili się na zwołanie *dżemmy*, bo uwielbiają takie widowiska. Wydadzą jednak Amerykanina na śmierć i wykonają wyrok nie troszcząc się ani przez chwilę o zdanie kogokolwiek innego, chociażby był samym kedywem Egiptu. Gdzie ma się odbyć zgromadzenie?

– Nieco powyżej Sfinksa.

– A więc misjonarz żywy nie opuści tego miejsca, jeżeli go stamtąd nie wyciągniemy. Zapamiętaj te drzwi prowadzące na zewnątrz! To bardzo ważne. Zostawię je uchylone, a klucz będzie w zamku od wewnątrz.

– Dlaczego, sahib?

– Dowiesz się po drodze. Teraz chodź!

Muszę dodać, że wszystko to trwało bardzo szybko. *Mr. Waller*, według pojęć mahometan, popełnił śmiertelne przestępstwo. Jeśli doliczy się do tego zwykłą wśród tych ludzi pogardę dla chrześcijaństwa i religijne podniecenie, które w trakcie pielgrzymki urosło do fanatyzmu, to łatwo można się było domyśleć w jakim znajdował się niebezpieczeństwie. *Dżemma* nad chrześcijaninem wraz z wykonanym na nim wyrokiem śmierci – lepszego zakończenia pielgrzymki do Mekki nie mogliby sobie ci fanatycy nawet wymarzyć!

Popędziliśmy do stajni, wyprowadziliśmy konie, dosiedliśmy ich i pojechaliśmy wawozem w górę. Uznałem, że będzie lepiej zataić cel naszej wyprawy przed służbą hotelową. Im mniej wywołamy sensacji, tym większa jest nadzieja na sukces.

Gdy dotarliśmy w pobliże piramidy Cheopsa, nie ujrzeliśmy nikogo, ponieważ wszyscy popędzili do Sfinksa, aby nie przegapić takiego widowiska jakim jest *dżemma*. Tym lepiej, pomyślałem, bo teraz mogłem bez świadków i bez wzbudzania podejrzeń pouczyć Omara, co ma robić.

– Rozdzielimy się – powiedziałem. – Jeśli Amerykanin umie jeździć konno, uratujemy go, jeśli nie to prawdopodobnie się nie uda. Pojadę w lewo obok tych małych piramid w stronę Sfinksa, wcisnę się do *dżemmy* i spróbuję zbliżyć się jak najbardziej do Amerykanina. Potem zsiądę i pomówię z tymi Beduinami.

– Narazasz życie – przerwał Omar.

– Nie. Ponieważ dzisiaj na głowie mam tarbusz, więc będą uważać, że jestem effendi i nie powiem nic, co mogłoby mnie zdradzić jako chrześcijanina. Podczas gdy ja ściagnę na siebie uwagę *dżemmy*, misjonarz szybko dosiądzie konia i ucieknie.

– Będą go ścigać.

– Myślę, że nie znajdzie się tam inne zwierzę ponad te małe osły i powolne wielbłądy ludzi z el Kasr.

– Rzeczywiście!

– Tak więc nie dogonią go, ale z pewnością wpadną na ten mądry pomysł, aby odciąć mu drogę do hotelu. Obsiądą wawóz i uniemożliwią mu dojazd także z innych stron. Nikt nie pomyśli wszakże o drzwiach do mojego pokoju.

– *Maszallah!* Zaczynam rozumieć, sahib. To ja mam go doprowadzić do tych drzwi? Ale gdzie się spotkamy?

– Pójdziesz tędy, wzdłuż wielkiej piramidy dokładnie na zachód, w połowie drogi do leżącego za nią cmentarza zawrócisz w lewo do piramidy Chefrena i na jej południowo-zachodnim rogu poczekaś na Amerykanina.

– Skąd będzie wiedział, że tam jestem?

– Ja mu powiem. Gdy dołączy do ciebie, pojedziecie z powrotem przez cmentarz, lecz nie w stronę wielkiej piramidy, tylko cały czas na północ w dół równiny, aż znajdziecie się w tej samej linii co hotel. Nie ma tam żadnej drogi, a piasek jest głęboki. Nikt z pewnością nie będzie nawet przypuszczał, że tam ucieknie. Mimo to sędzę, że będzie lepiej, gdy w miarę możliwości będziecie unikali jakiegokolwiek spotkania dopóki nie ujrzycie hotelu. Wtedy pojedziecie jak najszybciej w jego kierunku, obojętnie czy was ktoś widział czy nie, ale nie skróćcie na drogę, trzymajcie się cały czas wydmy, aż do drzwi mego pokoju, które zostawiłem uchylone. Gdy znajdziecie się w środku, przekręć kluczyk w zamku i już niczego możecie się nie obawiać. Konie oczywiście muszą zostać na zewnątrz. Poza tym mam nadzieję, że będę tam przed wami. Ale pośpieszcie się, bo wkrótce zrobi się ciemno!

– A co stanie się z córką Amerykanina i Chińczykami, sahib?

– Zostaw to mnie! Liczę, że powstanie ogólne zamieszanie, które postaram się jak najlepiej wykorzystać.

– Ty sam, sahib! Naprawdę narażasz się na wielkie niebezpieczeństwo.

– Tylko ci się tak wydaje. Zaskoczę pielgrzymów moją zuchwałością tak, że nawet nie pomyślą o tym, aby coś ze mną zrobić.

– Co im powiesz?

– Jeszcze nie wiem. To zależy od okoliczności. Ale, ale co z tą raną Chińczyka?

– Jest całkiem niegroźna. Widziałem krew, ale niedużo. Gdy stamtąd odchodziłem, ojciec zakładał mu właśnie opatrunek.

– A więc z tej strony nie ma powodów do obaw. Teraz już czas, abyśmy się rozdzielili. Spraw się dobrze!

– Od chwili, gdy Amerykanin do mnie dołączy, nic mu się nie stanie, o to możesz być całkowicie spokojny, sahib. Zażądałeś ode mnie, abym był dobrym człowiekiem i teraz sprawi mi radość odpłacenie mu miłością na jego obrazę.

Po tych słowach odjechał w podanym przeze mnie kierunku. Ja obrałem drogę prowadzącą między wielką, a leżącymi naprzeciwko niej małymi piramidami. Za ostatnią z nich droga rozwiła się. Na lewo prowadzi do Sfinksa, a prosto na drugą stronę do grobu Campbella.

Zdecydowałem się jechać do grobu, bo stamtąd miałem lepszy widok i mogłem udawać, że nic nie wiem o zdarzeniu i po prostu nadjeżdżam z drugiej lub z trzeciej piramidy. Skręciłem więc na zachód i tak długo trzymałem się zagłębienia w terenie aż ujrzałem przed sobą ruiny świątyni u stóp piramidy Chefrena. Wtedy zwróciłem się na lewo, pogałem konia w górę po stromym rumowisku, aż dostrzegłem leżący niedaleko cel mojej podróży.

Wystarczyło jedno spojrzenie, aby rozpoznać sytuację. Wybrani do *dzemmy* siedzieli na ziemi, parę kroków od nich Mary i obydwaj Chińczycy. Amerykanin stał, a obok niego tłumacz machając rękami, co wskazywało na to, że właśnie ma głos. Do mnie nie docierało ani jedno słowo. Miejsce, w którym się znajdowałem, leżało wyżej niż to, gdzie zgromadzili się Beduini. Przyglądający się nie przyłączyli się do *dzemmy*, lecz, co było dla mnie nadzwyczaj korzystne, ustawili się od niej w pewnej odległości tworząc półkole otwierające się w moją stronę. Umożliwiło mi to natychmiastowe zbliżenie się do obradujących.

Od razu zwrócono na mnie uwagę. Gdy podjechałem bliżej, usłyszałem zdziwiony okrzyk: „Jeździec bez siodła!”. Każdy kto siedział tyłem do mnie, odwrócił się. Okazywano zainteresowanie, lecz żadnemu z nich nie przyszło do głowy opuścić miejsce. Moje przypuszczenia okazały się trafne, bo tak jak zakładałem, wyjąwszy szejka el-Beleda, wszyscy uczestnicy *dzemmy* mieli przed sobą noże wbite w ziemię aż po trzonek, pewny znak, że chodzi o życie oskarżonego. Udawałem, że wszystko to nie robi na mnie najmniejszego wrażenia, lecz podjechałem blisko

niego, zeskoczyłem z konia i, aby nie uchodzić za nieuprzejmego, położyłem na chwilę dłonie na piersi, tym samym pozdrawiając siedzące na ziemi osoby.

Nie było trudno odgadnąć, który z nich jest obcym szejkiem, ponieważ miał on leżący przed sobą *hamail*, o który właśnie chodziło. Jego ubranie było w stanie, który Omar właściwie określił jak „brudne i podarte”, lecz na jego poważnej, spalonej słońcem twarzy wyraźnie wyciśnięte było przyzwyczajenie do rozkazywania. Z dumą skłonił głowę i tylko krótkie *Selam!* zabrzmiało jako odpowiedź. Gdybym od samego początku pozwolił sobie na tak nieuprzejme potraktowanie, to sprawa już byłaby przegrana. Musiał uznać mnie za człowieka, wobec którego błędem było takie go traktowanie, tak więc powiedziałem ostrym tonem:

– Siedzisz mówiąc do mnie, a przecież widzisz, że ja stoję? Przypuszczam, że byliście w Mekce, nad którą błyszczy pamięć proroka. Czyżbyś tam, w piasku Khandamahu pogrzebał swą uprzejmość?

– Gdzie leży Khandamah? – spytał ze zdziwieniem.

– Gdy wyjdiesz z miasta pomiędzy Suq el Lel a Shib el Maulid, tam gdzie stoi dom, w którym urodził się prorok, to zobaczysz go po lewej stronie Dżebel Abu Kubes.

Wtedy wstał, a wszyscy inni zaraz po nim, skrzyżował ręce na piersi, pokłonił się nisko i powiedział:

– Przebacz! Nie wiedziałem, że jesteś znawcą świętości. Czy raczysz zdradzić mi swoje imię?

– Oczywiście, lecz nie wcześniej niż dowiem się twojego. Ale wcześniej jeszcze chcę wiedzieć coś ważniejszego. Znajdujemy się przy piramidach Gizeh, czy może jesteśmy w Wadi Fatimeh, gdzie działają prawa pustyni? Widzę, że zebrała się *dżemma*, a noże tkwią w ziemi. Kto ma tu sądzić, a kto ma zostać osądzonym?

Spojrzałem mu twardo w oczy, tak że nie mógł uniknąć mego spojrzenia. Napomknięcie o miejscach, które znane są tylko znawcy Mekki zrobiło swoje. Odpowiedział już nie tak pewnym tonem:

– Znieważono mnie. Zadośćuczynić temu może tylko krew. Opowiem ci.

Jego opowieść była przesadzona na mahometański sposób. Gdy skończył, powiedziałem:

– Z pewnością znasz Koran. Według niego i Sunny musi przemówić sprawiedliwość. Ale wiesz także, co mówi Khalil Ibn Izhak, sławny interpretator pisma, o obowiązkach *dżemmy*? Czy pomyśleliście o tym, że ten obcy nic nie wie o świętości *hamailu* i może wcale nie chciał cię obrazić? Czy zezwoliliście mu na obronę?

– Bronił się ustami swego *dragomana*.

– Czy ten tłumacz był sprawiedliwy i rozważny? Zaraz się tego dowiem.

Tłumacz stał obok zmieszany w najwyższym stopniu. Słyszał jak mówię po arabsku i wiedział już, że rozumiałem wszystko, co mówili o mnie na Dżebel Mokattam. Czy i teraz uważał mnie jeszcze za Francuza?

– *Imschi, budala!* Wynoś się stąd, głupcze! – napadłem na niego, ponieważ nie chciałem, aby słyszał co mam do powiedzenia Amerykaninowi.

Przerażony wmieszał się między gapiów i teraz mogłem zwrócić się do Wallera i to po niemiecku:

– Niech pan mówi szybko: umie pan jeździć konno?

– Tak – odpowiedział patrząc na mnie zaskoczony.

– Galopem i to bez siodła tak, że pan nie spadnie?

– Siedzę mocno na koniu. Mówi pan po niemiecku? *Good luck!* Dlaczego pan pyta?

– Chodzi o pańskie życie. Sytuacja jest poważniejsza niż pan myśli i tylko ucieczka może pana uratować. Jeśli pan wątpi w moje słowa, to teraz nie ma czasu, aby panu to wyjaśniać.

– Wierzę panu – zapewnił mnie. – Ci tutaj to przecież jacyś szaleńcy!



– Więc niech pan uważa, co teraz powiem! Będę przemawiał dalej do tych ludzi. Gdy tylko pan zauważy, że cała ich uwaga skupiła się na mnie, skoczy pan na konia i popędzi pan tak szybko, jak tylko będzie pan mógł...

– Zaczną mnie ścigać – przerwał mi.

– Oczywiście! Ale tych parę osłów i wielbłądów, które tu mają, nie potrzebuje się pan obawiać. Tam w górze stoi druga piramida. Na jej lewym tylnym rogu napotka pan mojego służącego. Oczekuje tam na pana i poprowadzi tak, że już nic panu nie będzie grozić. Zrobi pan to, co proponuję?

– Oczywiście! Ale nie mogę myśleć tylko o sobie, lecz także o mojej córce. Co z nią...

– Nic się jej nie stanie – przerwałem mu. – Daję panu na to moje słowo. A więc, niech pan robi to, co powiedziałem, ale szybko!

Podczas tej krótkiej rozmowy nie spuszczałem obcego szejka z oka i, ku mojej uldze, nie zauważyłem ani cienia nieufności. Gdy zwróciłem się ponownie do niego, powiedział:

– Nie ma potrzeby wypytywać tego chrześcijanina, bo nie powie on nic innego ponad to, co ja już mówiłem. My jesteśmy wolnymi Beduinami, którzy nie muszą troszczyć się o prawa władcy Egiptu i poglądy obcych konsulów. Będziemy zatem postępować zgodnie z przepisami, którym musi być posłuszny każdy wyznawca islamu. Przerwałeś nasze posiedzenie. Podejmiemy je znowu i szybko zakończymy. Bądź tak dobry i usiądź, abyśmy i my mogli usiąść!

Tego się nie spodziewałem. Był to dowód, że uważa mnie za mahometanina i osobę, o której stan i nazwisko nie było potrzeby się więcej wypytywać nie wykraczając przy tym poza ramy zwyczajnej grzeczności i szacunku.

Żaden Arab nie pozwala sobie na zajęcie miejsca w towarzystwie obcego tak jak my to czynimy, lecz odbywa się to z wielkimi ceremoniami, które są tym większe i dłuższe, im bardziej postrzega tego obcego jako godnego szacunku i czci, a siebie samego jako doskonale wychowanego. Ponieważ przedtem wszyscy współplemieńcy biorący udział w *dżemmie* powstali wraz z szejkiem, a teraz znowu wraz z nim zajmowali miejsca, nastąpiła masa pokłonów, które musiałem oddawać, po czym znowu nastąpiły kolejne, skierowane do sąsiadów z towarzyszącymi im paru uprzejmymi słowami. Całe to zamieszanie odwróciło uwagę od Amerykanina, który uznał, że nadszedł właściwy moment. Odwróciłem się do niego plecami i baczyłem, aby nawet nie zerkać w jego stronę, aż w końcu nagły tętent kopyt końskich powiedział mi, co się stało. Szejk poderwał się do góry, a z nim cała reszta, która jeszcze przed chwilą zasiadała w pozycji, którą na Wschodzie nazywają „ukojeniem członków”. Waller wskoczył na konia i pomknął w kierunku drugiej piramidy. Teraz i ja prędko wstałem i z zadowoleniem ujrzałem, że Amerykanin nie był wcale złym jeźdźcem.

Z początku powstał wielki wrzask, potem pojawił się pomysł, aby pośpieszyć za uciekinierem. Zaczęła się szarpanina, kto pierwszy dosiądzie osła lub wielbłąda. Ten, któremu się to udało, natychmiast go dosiadał. Lecz z wielbłądami nie było to takie proste, bo hałas znarowił je. Teraz za pomocą pejców usiłowano zmusić je do posłuszeństwa. Wszystko razem stanowiło bardzo malowniczą scenę. Szejk okazał się być najszybszym i już pędził na osle w ślad za Amerykaninem.

Okazał się także najbardziej przewidującym, bo już po chwili zawrócił i krzyknął do swoich ludzi:

– Zostańcie na swoich miejscach, nie macie się co wysilać! Nie mamy odpowiednich wierzchowców, aby dogonić konia. Ten pies zdołał się nam wymknąć, ale tylko chwilowo. Jego celem jest hotel: nie dopuścimy do tego, aby tam dotarł. To głupota z jego strony, że nie pojechał prostą drogą. Nadłoży drogi, a my będziemy tam przed nim. Wszyscy naprzód! Biegniemy!

Zeskoczył z osła, zostawił go tak jak stał i pognał przed siebie. Większość fellachów podążyła za nim. Właściciele zwierząt mieli zamiar je dosiąść i odjechać, ale przeszkodziłem im w tym, ponieważ ja, obydwaj Chińczycy i Mary musielibyśmy iść pieszo. Za skromną opłatą dopiąłem swego.

Do tej pory nie miałem okazji, aby zwrócić uwagę na towarzyszy Amerykanina. Teraz nadarzyła się sposobność, aby się nimi zająć. Ponieważ nie rozumieli po arabsku i, w czasie gdy rozmawiałem z Wallerem, stali na tyle daleko, że nie słyszeli ani słowa, nie bardzo zdawali sobie sprawę ze związku między moim pojawieniem się, a jego ucieczką. Mary była blada jak ściana. Obawiała się śmiertelnie o ojca. Próbowałem ją uspokoić:

– Proszę się nie martwić! Pojedziemy teraz do hotelu. Pani ojciec albo już tam będzie albo nadjedzie zaraz po nas. Sprowadziłem dla niego konia, aby mógł uciec, a Sejjid Omar czekał na niego przy drugiej piramidzie i bezpiecznie doprowadzi do hotelu.

– Sejjid Omar, ten poganiacz osłów, którego on tak ciężko obraził? – spojrzała na mnie zdziwiona, po czym dodała, a bladość na jej twarzy ustąpiła miejsca głębokiemu rumieńcowi. – Pan mówi po niemiecku! A więc słyszał pan i rozumiał, co, co...

Nic – przerwałem jej – nie słyszałem i nie rozumiałem ponad to, że *mr.* Waller znalazł się w niebezpieczeństwie i potrzebuje pomocy. Teraz na szczęście jest już wszystko w porządku. Ale i my musimy się pośpieszyć, jeżeli nie chcemy, aby gniew pielgrzymów zwrócił się przeciwko nam. Proszę, niech pani wsiada!

Posłusznie dosiadła osiołka. Chińczycy zajęli się już wielbłędami. Nie powiedzieli ani słowa, lecz było widać, że nie byłem już dla nich jedynie obcym, obojętnym sąsiadem od stołu.

Obraliśmy prostą drogę do małej piramidy. Gdy się do niej zbliżyliśmy, od strony grobowców piątej dynastii wypadł na nas szejk el-Beled.

Podjechał do mnie, spojrzał mi w twarz zmrużonymi oczami i spytał śmiejąc się cicho:

– Jesteś chrześcijaninem?

– Tak – odpowiedziałem spokojnie.

Dobrobyt jego wioski zależał od ilości zwiedzających piramidy i o fanatyzmie w jego przypadku nie mogło być mowy. Nie musiałem zatem niczego przed nim ukrywać.

– I bywałeś już tutaj? – dowiadywał się dalej.

– Tak.

– Poznałem cię po twarzy, ale uważałem cię za muzułmanina, za dostojnego effendi. Jednak po zastanowieniu zmieniłem zdanie. Celowo przyjechałeś konno? Chciałeś, aby oskarżony uciekł?

– Nie zaprzeczam.

Podał mi rękę.

– Muszę ci podziękować. Ta ucieczka uwolniła mnie od wielu kłopotów. Zamordowaliby tego Amerykanina mimo moich sprzeciwów, ale urzędnicy w Kairze całą odpowiedzialność zrzuciliby na mnie. Zdajesz się być mądrym człowiekiem i chciałbym, cię prosić o przysługę.

– Mów!

– Nie rozpowiadaj w mieście o tym wydarzeniu i do czego mogłoby jeszcze dojść! Także ludzie w hotelu będą milczeć, bo pogłoski o tym, że zwiedzający piramidy są narażeni na śmiertelne niebezpieczeństwo zmniejszyłyby bardzo ich liczbę. Ten zadziorny szejk z Bahr Bela Ma nie odważy się wprowadzić wejść do Menahouse, lecz tak rozstawi swoich ludzi wokół hotelu, że Amerykanin będzie musiał wpaść w ich ręce. Bardzo się tym martwię. Nie mogłeś mu powiedzieć, aby natychmiast udał się do hotelu?

– Nie. Już wtedy, gdy z nim rozmawiałem, miałem lepszy pomysł. Nie chciałem, aby to zdarzenie dostało się na języki. Pomyśl tylko, co by było, gdyby przed hotel wpadł biały ścigany przez bandę fanatyków!

– Masz rację! Spójrz! Tam już stoi dwóch na czatach! Minęliśmy piramidę Cheopsa i skierowaliśmy się ku wąwozowi prowadzącemu do Menahouse. Postawiono tam dwóch pielgrzymów. Ich szejek zatem naprawdę zamierzał zrealizować swój zamysł i otoczyć hotel. Obydwaj mężczyźni spojrzeli na nas ponuro, ale nic nie powiedzieli, gdy ich mijaliśmy. Przez nikogo nie zatrzymywani dotarliśmy do hotelu, zsiadliśmy z naszych wierzchowców i ja wypłaciłem poganiaczom umówioną sumę. Podszedł do mnie starszy z Chińczyków, skłonił się bardzo uprzejmie i ku memu zdziwieniu przemówił do mnie po niemiecku:

– Mój panie, podejrzewam, że zawdzięczamy panu coś, czego wagi jeszcze nie znamy. Chcielibyśmy o tym porozmawiać i prosimy o pozwolenie złożenia panu wizyty. Czy mogłoby do niej dojść bez wymieniania naszych nazwisk? Nie chciałbym kłamać, a wolałbym nie wymawiać prawdziwych. Zważ mnie tutaj Fu, a mojego syna Tsi.

Było to uprzejme i uczciwe zarazem. Budziło w nim wstręt oszukiwać człowieka, któremu, jak uważał, winien był wdzięczność. Doprawdy rzetelny rys charakteru. Odpowiedziałem, że oczekuję, go wraz z synem po kolacji.

Poprosiłem córkę misjonarza, aby towarzyszyła mi do mego pokoju, mimo, że w innych okolicznościach takie żądanie byłoby nie lada wykroczeniem przeciw zwyczajowym normom. Chciałem bowiem sprawić jej radość bycia pierwszą, która powita ojca po szczęśliwym powrocie. Nie wzbraniała się przed tym.

Gdy weszliśmy na górę, drzwi pokoju były dokładnie tak samo uchylone, jak je zostawiłem. Nikt więc jeszcze tam nie wchodził. Krzesło, na którym siedziałem, stało cały czas na zewnątrz. Wystawiłem drugie i usiedliśmy. Słońce chyliło się ku zachodowi. Dzieliło nas niewiele czasu do zapadnięcia ciemności i przekonywałem sam siebie, że Omar zrobi co tylko w jego mocy, aby wraz z Amerykaninem przedtem dotrzeć do hotelu. Chodziło przy tym także o niebezpieczeństwo, jakie istniało na drodze w pobliżu piramid, gdzie znajdują się zapadnięte bądź tylko byle jak zasypane groby lub podziemne korytarze, tak że po zachodzie słońca jazda tamtędy stanowi duże ryzyko.

Siedzieliśmy obok siebie prawie bez słowa. Miss Mary była zmieszana, a i ja nie znajdowałem się w nastroju do prowadzenia rozmowy na błahe tematy. Opowiedziałem jej pokrótce, jak od Sejjida Omara dowiedziałem się o położeniu jej ojca i jaki plan obmyśliłem. Zdawało się, że wiadomość o tym trochę ją uspokoiła, ale nie całkowicie, czego dowodem była jej małomówność.

Siedzieliśmy tak chyba kwadrans, gdy z kierunku, z którego powinni nadjechać Omar z Amerykaninem, ujrzeliśmy zbliżającego się pieszego. Nosił dokładnie takie samo ubranie jak Omar, ale to nie był on. Omar zazwyczaj kroczył z wielką godnością i trzymał się prosto. Oczy dziecka okazały się być lepsze od moich. Mary zerwała się z krzesła.

– Mój ojciec, tak, to mój ojciec!

Z okrzykiem pośpieszyła mu naprzeciw. On zatrzymał się i gdy znalazła się przy nim, zobaczyłem, że objął ją i pocałował.

Chciała przyprowadzić go jak najszybciej, ale on zarzucił ją całą masą pytań, na które musiała odpowiedzieć i minęło sporo czasu zanim podeszli do mnie, ona lekkim krokiem i szybko, ze szczęśliwym uśmiechem na ustach, on wolniej, z ociąganiem i chyba niepewny tego, jak się ma zachować.

Wtem wróciła jego właściwa, lepsza natura: uczynił parę prędkich kroków w moją stronę, wyciągnął obie ręce i powiedział serdecznym tonem:

– Proszę o wybaczenie! O wdzięczności nie chcę mówić. Jej pan nie potrzebuje. Ale inny dług jaki mam wobec pana musi pan ode mnie odebrać, jeśli nie chcemy zatrzymać się w pół drogi naszej znajomości.

Uścisnąłem jego dłoń i odpowiedziałem:

– Nie mówmy teraz o tym, ale o tarbuszu i płaszczu, które ma pan na sobie! Przypuszczam, że oba należą do Sejjida Omara?

– Tak. Poza tym nie byłem w stanie zrozumieć ani słowa z tego, co do mnie mówił. Wiem tylko, że ten poganiacz osłów jest wspaniałym człowiekiem!

– Proszę, niech pan wejdzie do pokoju, aby z dołu nie zauważono pana w tym stroju!

Oboje wykonali moje polecenie, po czym Amerykanin opowiedział o swej ucieczce.

– Gdy dotarłem do drugiej piramidy zobaczyłem czekającego tam na mnie Sejjida Omara. Spytał się o coś, czego nie rozumiałem i za pomocą gestów dał mi do zrozumienia, że mam jechać za nim. Pojechaliśmy na zachód, po lewej zostawiając trzecią z wielkich piramid. Następnie zwróciliśmy się bardziej na północ. Minęliśmy stare, zniszczone groby wykute w skałach. Nie było tam żadnej drogi. W ogóle podłoże było niezwykle ciężkie do jazdy. Wyszukiwałem najlepsze miejsca, a mimo to posuwaliśmy się bardzo wolno. Dobrze, że nikt nas nie ścigał. A potem doszedł ten piach, po którym zamiast do przodu jechaliśmy do tyłu. Zauważyłem, że Omar zamierza jechać do hotelu zataczając wielki łuk. Jakie wskazówki pan dał Omarowi, tego nie wiem, lecz wydawało mi się, że chce mnie przeprowadzić niezauważenie przez pozycje moich prześladowców. W którymś momencie, gdy wyjechaliśmy z za jakiegoś wzniesienia i ujrzeliśmy wielu z tych fanatyków rozstawionych na czatach, wpadł mi do głowy dobry pomysł. Zsiadł z konia i kazał mi uczynić to samo. Potem wskazał na miejsce, w którym leży hotel i narysował coś na piasku. Wskazując stale na jeden punkt tego rysunku powtarzał po wielokroć wyrazy *bab* i *chambre*. To, że *chambre* oznacza po francusku pokój, wie każdy, a z planu Kairu wiem przypadkiem, że *bab* oznacza zarówno drzwi jak i bramę. Sejjid mówił więc o jakichś drzwiach pokojowych, ale o których? Jak mu się udało w końcu porozumieć ze mną, tego nie wiem, ale wreszcie dopiął swego i przy pomocy rysunku pojąłem co miał na myśli: mam unikać głównego wejścia i skierować się w stronę spadzistej wydmy koło piramidy Cheopsa, na której wspiera się pierwsze piętro hotelu robiąc wrażenie parteru. Miały tam być uchylone drzwi, cel mojej ucieczki. Gdy, wysilając inteligencję, wyjaśniłem mu użycie słów *bab* i *chambre* tak, że odpowiadało to jego pojęciom, jego twarz rozjaśniła się radością. Ściągnął płaszcz i zarzucił mi go na ramiona. Następnie zwinął mój nowy kapelusz w kłębek, wsunął go do jednej ze swych obszernych kieszeni i w jego miejsce nacisnął mi na głowę swój tarbusz, a sobie obwiązał głowę moją chustką do nosa. Wreszcie dosiadł swojego konia, mojego chwycił za uzdę i odjechał, wyraźnie chcąc zostać zauważonym przez warty. Te natychmiast ruszyły za nim – i droga była wolna. Lecz on nie dopuścił, aby się do niego za bardzo zbliżyli. Ci zaczęli coś do niego wrzeszczeć i podwoili wysiłki, aby go dogonić. W ten sposób odciągał ich coraz dalej ode mnie, a ja wolnym krokiem ruszyłem w podanym mi kierunku. Naturalnie dostrzegli mnie, ale nie zwrócili na mnie uwagi, uznając za sprawą tarbusza i płaszcza, że jestem Arabem. Dotarłem do wydmy i idąc wzdłuż niej znalazłem się u wiadomych drzwi, drzwi mego wybawcy.

Zamilkł. Mówił z pogodną powagą, z którą daleko bardziej było mu do twarzy niż tym zarozumiałym, szorstkim tonem, jakim przemawiał zazwyczaj.

Wtem dało się słyszeć skrobanie do drzwi i na moje *fut*, wejść do pokoju wsunął się Sejjid meldując, że przybył szczęśliwie i odstawił już konie do stajni. Wiedziałem dobrze, jak się traktuje mieszkańca Wschodu jego stanu, podałem mu więc rękę i powiedziałem:

– Dobrze się sprawiłeś, Omarze. Zostaniesz moim służącym i możesz mi towarzyszyć. Gdyby Mahomet, twój prorok, był tutaj, na moim miejscu, powiedziałby dokładnie to samo co ja –

przede wszystkim powinieneś być dobrym człowiekiem i takim się dzisiaj okazałeś. Pozostań takim zawsze, jakim byłeś dzisiaj!

Mr. Waller oddał mu tarbusz i płaszcz, otrzymując w zamian swoją chustkę i pomięty kapełusz. Potem poprosił mnie o przetłumaczenie:

– Muszę cię prosić o wybaczenie. Podaj mi swoją dłoń!

Moja przemowa wprawiła Omara w podniosły nastrój, lecz prośba Amerykanina zrobiła na nim głębsze wrażenia. Jego oczy zwilgotniały. Wyciągnął rękę ze skromnym ociąganiem i odrzekł:

– Podaliśmy ci już rękę przy piramidzie, kiedy przybyłeś tam, abym cię poprowadził. I dałem ci jeszcze więcej pożyczając moje ubranie, które teraz ubiorę na siebie z powrotem bez oddawania go do czyszczenia, chociaż nosił je chrześcijanin. Gdy Allah puka do serca człowieka, nie powinien on pytać się o wiarę swoich braci. Tego się dzisiaj nauczyłem. A wiedza ta sprawia, że czuję się tak szczęśliwy, jak nigdy dotąd.

Odszedł.

Waller, gdy mu przetłumaczyłem słowa Omara, spojrział na mnie ze zdumieniem.

– Mówi dokładnie jak chrześcijanin. Czy to możliwe? A zresztą to wspaniały człowiek, którego nie sposób nie pokochać.

Strzegłem się, aby nie zrobić jakiejś uwagi. W tym momencie uczułem dotknięcie miłego, wolnego od ziemskich słabości anioła, a takie momenty tylko wtedy zostawiają po sobie ślad, gdy nie zakłóca się ich niepotrzebnymi słowami.

Wyszedł na zewnątrz. Chcąc w samotności przeżyć niecodzienne uczucia.

– Proszę, nie przeszkadzajmy mu! – poprosiła jego córka. – Chciałabym, aby to przeżycie przebrzmiało radosnym tonem, w którym to...

Nie dokończyła zdania, lecz zajrzała mi w twarz na wpół zmieszana, na wpół z niejasnym oczekiwaniem, aż w końcu spytała:

– Na pewno słyszał pan wiele z tego, co mówiono przy naszym stole?

– Większość – przyznałem uczciwie.

– Także tę strofę, którą znalazłam?

– Także i ją.

– Tak pragnęłabym, abym ten dzień zakończył się dla mojego ojca tak, jak ona się kończy! Pewnie się pan dziwi, dlaczego nie wstydzę się tak do pana mówić, sama także tego nie wiem, lecz czuję się tak, jakbym kiedyś i gdzieś już pana spotkała i rozmawiała z panem tak po prostu, z pełnym zaufaniem. Niech pan przyjmie moje słowa jako zadośćuczynienie za to, co pan dziś zrobił dla nas!

Do pokoju wrócił jej ojciec z uwagą, że chyba najwyższy czas, aby zainteresować się samopoczuciem rannego Chińczyka. Następnie zaprosił mnie na kolację do swojego stołu, a ja się zgodziłem. Gdy nieco później pojawiłem się w sali jadalnej, Chińczyków jeszcze nie było. Jedli w swoim pokoju. Od stołu do stołu szeptało, że z Kairu przybył tramwajem podporucznik z żołnierzami, aby jeszcze dzisiaj wieczorem wyprowadzić stąd tych obcych pielgrzymów. Oczywiście był to skutek wysłania przez szejka el-Beleba posłańca do miasta. Zdawało się, że nikt nie zna właściwej przyczyny podjęcia takiego kroku, a my nie zamierzaliśmy tego wyjaśniać.

Przy kolacji Waller był bardzo milczący i rozmowę podtrzymywaliśmy tylko my z Mary. Lecz gdy wspomniałem, że panowie Fu i Tsi mają przyjść do mnie z wizytą, poprosił mnie, aby go zawiadomić, czy mógłby się przyłączyć, jeśli tylko nie będzie w niczym przeszkadzać.

Po jedzeniu wyszliśmy do hallu, a tam siedział już wspomniany podporucznik. Goście tłoczyli się wokół niego chcąc dowiedzieć się czegoś bliższego, lecz on nie powiedział nic ponad to, że jeszcze dzisiaj musi zaprowadzić pielgrzymów do Bulak, skąd wcześniej rano zostaną odtrans-

portowani pociągiem do Wasty. Miło mi było to usłyszeć, bo chciałem się wybrać na wycieczkę do Sakkary i nie musiałem się obawiać, że Wallera spotka dalszy ciąg dzisiejszych przygód.

Nie chciałem, aby moi goście siedzieli w małym, dusznym pokoju. Poleciłem więc, aby wyniesiono stół przed drzwi. Chciałem im ofiarować to, co Gizeh ma najlepszego dla swych zwiedzających: niczym niezakłócony widok piramid w świetle księżyca.

Gdy Chińczycy nadeszli, poprowadziłem ich na zewnątrz, na co ochoczo wyrazili zgodę. Właśnie wyłonił się księżyc i z grobów powstała poważna, doniosła poezja starożytnego Egiptu, aby spoglądać na nas, nieistotnych gości teraźniejszości, z piedestału olbrzymich budowli minionych tysięcy lat.

Chińczycy mieli chyba zamiar złożyć mi krótką, grzecznościową wizytę, lecz wrażenie było tak silne, że ani myśleli rychło opuścić to niezwykle miejsce hotelu Menahouse. Poza tym sprawiło mi radość, że, gdy przekazałem im prośbę Amerykanina, zgodzili się na jego towarzystwo i poprosili, abym posłał po niego i jego córkę.

Siedzieliśmy tak razem, aż minęła północ: Chiny, Stany Zjednoczone i Niemcy, albo jak kto woli Azja, Ameryka i Europa, w jedno i w pokój na afrykańskiej ziemi, rozmawiając o wszelkim dobru, piękności i godności, a nie o różnicach religijnych, o sprzecznościach interesów i o wyższości szczególnych narodowości. Był to niezapomniany wieczór. A gdy się rozstawaliśmy, czyniliśmy to ze świadomością, że wszyscy ludzie tak należą do siebie, jak my zjednoczyliśmy się w ciągu tych niezrównanych godzin.

Na pożegnanie uściśnąłem szczególnie ciepło dłoń Amerykanina. Był łagodny i ani razu nie wpadł w swój szorstki ton,

– Skończyło się tak jak sobie życzyłam – szepnęła do mnie jego córka. – Błogosławię tych, którzy dziś poprzez te kamienie przemówili do nas tak silnie, a zarazem tak miękko.

Następnego ranka nie było już śladu po pielgrzymach i podróż do Sakkary odbyła się zupełnie inaczej niż zaplanowałem. Wybraliśmy się tam w piątkę. Nie był już potrzebny żaden tłumacz, a mój Sejjid Omar był bardzo dumny z tego, że jest naszym jedynym służącym.

Po powrocie do Kairu już wszystkie wycieczki robiliśmy wspólnie, aż ja, jako pierwszy, byłem zmuszony się odłączyć. Moje przygotowania dobiegły końca – ciągnęło mnie w górę Nilu, do Sudanu.

Gdy przekazałem moim towarzyszom, że pojutrze nieodwołalnie zdecydowałem się wyruszyć, Fu zaproponował, aby ostatni wieczór spędzić razem przy piramidach, a inni chętnie się na to zgodzili. W hotelu nie było wielu gości i bez kłopotów dostaliśmy ten sam pokój, który zajmowaliśmy poprzednio. Kolację spożyliśmy na owej wysokiej wydmy przed moim mieszkaniem.

Lecz księżyc tym razem nie było. W zamian za to silny blask gwiazd oświetlał nam zarysy piramid.

W żadnym razie nie było moim zamiarem wnikać w tajemnice obydwóch Chińczyków, lecz pewna uwaga Fu dała mi do zrozumienia, że jest dyplomata. Tsi opowiadał szczerze, przynajmniej nam, że przez dłuższy czas studiował najpierw w Berlinie, potem w Paryżu, aby porównać poglądy Zachodu i Wschodu, aby potem wyrobić sobie zdanie na temat ich wzajemnych stosunków. Szczególnie zajmował się naukami medycznymi. Lecz jego ulubionym przedmiotem była psychologia.

Jak to się stało, że Waller, odkąd zaczął przestawać z nami, nie poruszał swego ulubionego tematu? Wydawało się nawet, że całkowicie zapomniał o istnieniu pogańskich świątyń, które należałoby zniszczyć. Czy przyczyna tego leżała tylko w nim, czy i my także mieliśmy na to wpływ? Fu i Tsi byli osobami, w obecności których nie wypadało być agresywnym. Ze strony Amerykanina nie padły już więcej żadne żenujące słowa. Mary była wzruszająco szczęśliwa. A

gdy na zakończenie tego pięknego wieczoru żegnaliśmy się serdecznie, życzyliśmy sobie, abyśmy mogli się jeszcze gdzieś i kiedyś spotkać.

## Na Cejlonie

Mój Sejjid Omar okazał się niezawodny. Wprawdzie nadal każde drzwi, przez które przecho-  
dził, zostawiał otwarte, lecz był uczciwy, prawdomówny, wierny, bystry, odpowiedzialny i –  
czego zupełnie nie podejrzewałem, miał prawdziwy talent językowy. W Sudanie, w Arabii i tak  
długo, jak przemierzaliśmy okolice, w których posługiwano się arabskim, nie zauważyłem jego  
zdolności, a nawet z pewnym sceptycyzmem podchodziłem do jego przydatności, ponieważ uwa-  
żałem, że jedynie jego arabski jest prawidłowy i za każdym razem, gdy usłyszał jakiś inny dialekt,  
zwykł machać lekceważąco rękę mówiąc:

– I oni myślą, że to prawdziwy arabski! Przecież nie umieją mówić w tym języku! Prawidło-  
wego *hhchchh* i właściwie *hhkghhh* wymawia porządnie tylko urodzony w Kairze.

Lecz gdy po długiej, trwającej miesiące wędrówce, dotarliśmy od strony Bagdadu do granicy  
indyjskiej i znaleźliśmy się w angielskiej strefie językowej wyszło, jak to się mówi, szydło z  
worka. Już w Karaczi, gdzie zatrzymaliśmy się przez parę dni, dziwiłem się, że tak mało się o  
mnie troszczy. Widziałem go tylko po parę chwil dziennie i, gdy zażądałem wytłumaczenia, wy-  
jaśnił:

– Sahib, przedwczoraj, wczoraj i dzisiaj przebywałem przez cały czas z angielskimi maryna-  
rkami i zapisałem sobie całą ich mowę. Muszę przecież mówić po angielsku, bo inaczej nie będę  
ci przydatny. Studiowałem nawet nocami. To proste. Tylko nie mogę sobie poradzić z tymi ich  
*hhssshhhh* i *thhhssshhhh* bo akurat ci Anglicy też nie umieją mówić poprawnie. Masz tutaj ich  
język! Wyciągnął pakiet ponad dwudziestu zapisanych drobno arkuszy papieru i podał mi go.  
Zawierał on angielskie słowa i zwroty oraz ich arabskie tłumaczenie, wszystko napisane oczywi-  
ście po arabsku, na moje oko czysty nonsens, w którym zupełnie nie mogłem się rozeznąć. Ale  
ponieważ po moim poczciwym Omarze widać było, że oczekuje ode mnie słów uznania, powie-  
działem:

– Jesteś bardzo pracowity. Potrafisz także wymówić te wszystkie angielskie słowa?

Przytaknął.

– I wiesz także co znaczą?

Znowu przytaknął, a na jego twarzy odmalowało się najwyższe zadowolenie.

– Jeśli tak jest rzeczywiście, to dzielny z ciebie facet!

Wtedy zakrzyknął:

– Przeegzaminuj mnie, sahib! Wolno mi powiedzieć, jak masz to zrobić?

– Tak. No, więc?

– Jesteś angielskim sklepem z papierosami. Ja jestem angielskim Sejjidem Omarem z Liwer-  
bulu i kupuję dla mojego niemieckiego sahiba papierosy, ponieważ on nie umie po angielsku.  
Zgadzasz się? Mam to odegrać?



– No dobrze! Ja jestem angielskim sklepem z papierosami, a ty jesteś z Liverpoolu. Możemy zaczynać!

Wyszedł z pokoju, zamknął za sobą drzwi po czym zaskrobał w nie po swojemu.

– *Come in!* – krzyknąłem.

Wszedł do środka, uklonił się uprzejmie i chciał rozpocząć scenkę. Ale ja zawołałem:

– Zamknij drzwi za sobą, zanim zaczniesz! Żaden Anglik nie zostawi za sobą otwartych drzwi.

Natychmiast zreflektował się, zamknął drzwi i powiedział:

– *Aj bekk juh parrrrd'n, mister mielord owwww tabbakk end smooking-sigarr! Aj wiesz dhu perrtszetz sigarr! Giww sigarr! Larcz bikk sigarr, long siggarr, tick sigarr, gudd sigarr, fein ennd czihhhh sigarr! Łot heww aj do peej mister mielord owwww Inglisz smooking-men?*

Proszę sobie wyobrazić mojego poważnego, godnego Sejjida Omara, którego twarz wykrzywiła się tak niemiłosiernie, jak niemiłosierną była jego wymowa angielskich słów, a cała ta przemowa na dodatek kapąła jak woda z niedokręconego kranu! Nie mogłem uczynić nic innego jak wybuchnąć serdecznym śmiechem – bardziej z wyrazu jego twarzy niż z jego słów. To go wzruszyło i powiedział:

– Sahib, widzę, że bardzo cię to raduje. W ciągu tych trzech dni i dwóch nocy nauczyłem się na pamięć całego angielskiego. Czy ty znasz ten język, nie ma znaczenia. Ja będę mówił za ciebie.

Właśnie taki był jego sposób bycia. W pierwszej chwili cała ta sprawa bawiła mnie, lecz im więcej czasu mijało, tym bardziej mnie zaskakiwał. Robił takie postępy, że graniczyło to niemal z cudem. Gdzie tylko dopadł jakiegoś Anglika, który nie był zbyt wysokiego dla niego stanu, to nie puszczał go dotąd, aż nie nauczył się od niego czegoś nowego. A gdy spełniłem jego prośbę, aby o ile to możliwe rozmawiać z nim tylko po angielsku, codziennie nadarzała się sposobność do podziwiania jego niezrównanej pamięci. Do tego zapamiętywał każde inne słowo w języku, który obił mu się o uszy. Siedział godzinami w jednym miejscu nie mówiąc ani słowa, poruszając tylko ustami i ćwicząc nieustannie, aby to czego się raz wyuczył nie popadło w zapomnienie. Gdy zdarzyło się, że spotykałem jakiegoś Europejczyka i porozumiewałem się w jego języku, to można było być pewnym, że zaraz pojawi się Omar, aby złapać parę słówek i potem spytać się mnie o ich znaczenie. A to czego się dowiedział nie zapominał nigdy.

W nieustanne zdumienie wprawiała mnie jego umiejętność stosowania coraz obfitszego zasobu słów. Mówił nie trzymając się wprawdzie żadnych praw i reguł językowych, lecz w sposób, który mnie zadziwiał. Nic nie robił sobie ani z etymologii, ani z gramatyki. Gdy zaczynałem mówić o pochodzeniu jakiegoś słowa albo o częściach zdania, machał tylko rękami.

– Nigdy nie jadam dwóch daktyli naraz, tylko jeden po drugim. Tak samo nie mówię dwóch słów naraz, lecz jedno po drugim. Tak jest w języku arabskim, a lepszego nie ma. Tak więc nie możesz oczekiwać, że przy każdym słowie będę myślał o innych. Przychodzą do mnie same z siebie i nie musisz się obawiać, że jakieś zapomnę.

Jego szacunek do mnie stanowił powód, dla którego mój język ojczysty stawiał zaraz na drugim miejscu po swoim i cieszył się bardzo, gdy w ramach wynagrodzenia za jakąś specjalną usługę zaoferowałem mu codzienną naukę języka niemieckiego. Nie mogłem sobie życzyć lepszego ucznia. Dokładał wszelkich wysiłków, aby już po powrocie do domu móc rozmawiać po niemiecku z niemieckimi podróżnymi. Naturalnie swoim zwyczajem nie trzymał się żadnych reguł co często doprowadzało do komicznych sytuacji.

Dokładałem starań, aby nie sprzeniewierzyć się jego życzeniom dotyczącym religii. Nie mówiłem ani słowa o chrześcijaństwie, a gdy on czynił czasami jakąś uwagę na temat islamu, pomijałem to milczeniem. Zaczął to w końcu traktować jako pogardę dla jego religii i odczuwał

coraz częściej, że jest to kara za, jak rozumował, swą ówczesną prośbę. Często miałem wrażenie, jakby coś w związku z tym leżało mu na sercu i od czasu do czasu szykował się aby mi to powiedzieć, lecz jakoś do tego nie dochodziło, ponieważ miałem swoje powody, aby nie dopuszczać do takiej sytuacji. Widać było, że nasze wspólne życie oddziaływało na niego w jakiś sposób i zmiana ulegają niektóre z jego poglądów. Pozwalałem na to nie czyniąc mu żadnych uwag. Coraz częściej zdarzało się, że opuszczał jedną z zalecanych modlitw. Zaprzestał także podkreślania zalet swojej religii w ten denerwujący, nie dopuszczający sprzeciwu sposób. *Masbaha*, czyli mahometański różaniec, który niegdyś obracał w rękę w każdej wolnej chwili, bardzo rzadko oglądała światło dzienne. Nie traktowałem tych oznak jako dowodów malejącej pobożności. O nie, serce Omara wcale się nie zmieniło! Nauczył się jednak odróżniać to co wewnętrzne, od tego co zewnętrzne, a przy tym zrozumiał, że zewnętrzne oznaki religijności bez towarzyszącej im wewnętrznej pobożności są tylko bezwartościową formą.

Wyruszyliśmy z Bombaju parowcem zadowoleni, że udało się nam uniknąć epidemii dżumy, której to przesycone wilgocią miasto było siedliskiem. Okrążyliśmy Kap Comorin i sunęliśmy po cudownie gładkim morzu ku wspaniałemu Cejlonowi. Jeśli kiedykolwiek miałyby się odbyć konkurs piękności mórz, to byłbym skłonny przyznać palmę pierwszeństwa Morzu Czerwonemu, nie znalazłem bowiem piękniejszego w czasie moich licznych morskich podróży. A dzisiaj najbardziej promienisty z dni Wschodu był jak święto zaślubin Morza Arabsko – Perskiego z Oceanem Indyjskim. Niebo słało najłagodniejszy ze swych zefirów i rozsiewało nad tym uroczystym zespoleniem najpiękniejszy ze swych blasków. Błękitnie i rozkosznie, jak szczęście wyczierające ze śmiejących się serdecznie oczu, zaglądała nam w twarze każda fala obmywająca boki naszego parowca, opadająca następnie jak po pocałunku na pierś morza.

Jak okiem sięgnąć, ponad falującą jak oddech śpiącego spokojnie człowieka, wodą ciągnęły się diamentowe nici uszytej z najpiękniejszej koronki sukni ślubnej. Świt już nastał i właśnie wschodziło słońce. Nie statecznie jak spoza gór, nie walcząc z mglistymi oparami unoszącymi się znad ziemi, lecz za jednym zamachem, jak anioł światła, który otwiera bramy niebios i ukazuje się w pełnej, majestatycznej postaci, by pobłogosławić boskie stworzenie swego pana i mistrza. Błogosławieństwo to, jak nieskończone, przewyciężające ciemność światło źródło wiecznego blasku, wysłuchana przez dzieci modlitwa nocy płynie do nas z wiecznie młodego Wschodu.

Od słonecznego punktu na horyzoncie rozszerzając się na północ i południe, przed naszymi oczyma rozpościerał się obsypany płynnymi brylantami tor, którego środkiem sunęliśmy my, wychodząc naprzeciw szczodremu dawcy owych wspaniałości i przepychów. Czyżbyśmy opuścili ziemię i Cejlon byłby tą tak często opiewaną, a tak daremnie wyczekiwaną „Wyspą Szczęścia”? Jak nieskończenie cię kocham morze, wodo, oceanie! Wciągasz mnie jak magnes w swoje głębiny, aby uwolnionego od tego, co ciężkie i ziemskie, zanieść do innego świata, na brzeg wyrastający z bożej ufności, gdzie między górami wiary wije się droga do mojej ojczyzny! Nie traktujemy takich uczuć jak śmiesznej egzaltacji! Tylko ten, kto nie zna morza, nie wie jak potężnie oddziałuje ono, na każdego, który jeszcze nie zabronił swojej duszy rozmawiać z sobą samym. A kto mniema, że poznał morze w czasie krótkiego rejsu do Helgolandu czy Kopenhagi, jest w błędzie. Znam kapitanów, którzy znali Atlantyk, wedle ich własnego wyrażenia, jak własną kieszeń i nigdy nie przestali go podziwiać, a po pierwszej podróży z Suezu do Chin albo do Australii z zachwytem przyznawali, że ten uwielbiany „staw ze śledziami” jest nim rzeczywiście w porównaniu z tymi morzami południowymi. Nie ma z tym nic wspólnego ilość wody. To południe, to wschód i bliskość równika. Są także inne przyczyny, których dociekanie byłoby próżnym zajęciem. Ale wrażenie pozostaje i jestem szczęśliwy, że już parę razy było mi dane oddać mu się całym sercem.

Udałem się na przedni pokład tam, gdzie mieszkali pasażerowie trzeciej klasy i wsparłszy się na rozpry rozkoszowałem się w pełni widokiem niepowtarzalnie pięknego wschodu słońca. Gdy słońce już wzeszło i odwróciłem się, aby wrócić na mój pokład, ujrzałem niedaleko mnie opartego na relingu Sejjida Omara. Podobnie jak ja podziwiał niezziemskie zjawisko. Zauważywszy, że już nie będzie mi przeszkadzać, spytał:

– Sahib, czy Cejlon jest tą wielką, piękną wyspą nazywaną po arabsku Quelb esz Szark, Sercem Wschodu?

– Tak. Jest bardzo piękna i zwiedzisz tam wiele ciekawych miejsc.

– Jacy ludzie tam mieszkają?

– Syngalezi, Tamilowie, napływowa ludność arabska, Malaje i mieszańcy. Ci ludzie, którzy siedzą tu na przednim pokładzie, to w większości Syngalezi.

Omar wykonał obronny ruch ręką.

– Obserwowałem ich. *To badet el assnam*, normalni bałwochwalcy, których nie wolno dotykać, aby się nie skalać. Niech żaden z nich się do mnie nie zbliża, a gdyby spróbował, przegonię go kijem.

Wtedy położyłem mu rękę na ramieniu, spojrzałem z powagą i ostrzegłem:

– Jesteś Sejjid Omar, lecz cały czas nie jesteś dobrym człowiekiem. Kto nie jest dobrym człowiekiem, nie może być dobrym muzułmaninem. Wszyscy jesteśmy stworzeniami boskimi. Czyżby zła wiara mieszkała w tym ciele? Jak dotknięcie ciała, które przecież nie ma nic wspólnego z wiarą, mogłoby cię skalać?

Odwróciłem się i odszedłem. Musiałem precyzyjnie się między Syngalezami. Siedziało tam wiele rodzin. Byli to przyjacielscy, czysti ludzie, ojcowie, matki i dzieci. Był tam także mały, prawie zupełnie nagi chłopczyk o ciemnych oczach, pyzaty z tłustym brzuszkiem, ciągle klaszczący w ręce. Podniosłem go do góry, uśmiechnąłem się do niego, posadziłem z powrotem na ziemi, po czym wcisnąłem mu w rękę sztukę srebra i odszedłem.

– O sahib! *Sahib is good\ Sabib have tank!* – wołano za mną.

Ludzie ci posługiwali się łamanym angielskim. Nawet nie sprawdziłem, co na to Omar. Przed nami wynurzył się zielony brzeg Cejlonu. Zrobiliśmy zwrot. Po lewej ukazał się wierzchołek Mutwala, po prawej nabrzeże. Pojawiły się maszty i kominy parowców. Nadbiegł Sejjid Omar i spytał:

– Sahib! Czy zatrzymasz się u kogoś jako gość, czy w hotelu?

– Hotel Grand Oriental! Dwie minuty od portu. Tylko nie mów jak się nazywam!

Nic więcej nie trzeba było dodawać. Był przyzwyczajony załatwiać wszystko po swojemu i robił to bez zastrzeżeń. Pozostawało mi więc tylko zejść na ląd i do hotelu udać się pieszo, co przy takiej trasie nie było niczym niezwykłym. W innym razie Europejczyk poruszający się po Kolombo na piechotę, wydawałby się nie na swoim miejscu.

Jak w każdym wschodnim porcie panował wokół nieopisany hałas, lecz wyokrętowanie odbywało się przy pomocy długich, wygodnych łodzi i z podziwu godną organizacją, z której gdzie indziej można by brać przykład. Kontrola paszportowa i celna mnie nie dotyczyła. Zaraz przy porcie, pod dachem chroniącym od deszczu siedzieli właściciele kantorów wymiany, u których można było dostać każdą wschodnią monetę. Przy jednym z nich spędziłem jakiś czas wymieniając pieniądze na miejscowe, a potem udałem się w stronę hotelu. Nawiasem mówiąc był to najdroższy hotel, jaki spotkałem na Wschodzie. Mimo to wybrałem właśnie ten nie szukając innego, ponieważ chciałem zamieszkać w tym samym pokoju co zawsze.

Jeszcze zanim zdążyłem wejść na hotelowe schody z położonej po prawej stronie recepcji dobiegł moich uszu kłótlivy głos Sejjida Omara. Mówił swoim specyficznym angielskim i wszyst-

ko wskazywało na to, że jest wściekły. Gdy zobaczył, że nadchodzę, poskarżył się po arabsku na sytuację.

– Pomyśl sobie, sahib, nie chcą ci dać dużego, pięknego, czystego, ładnie umeblowanego, taniego pokoju, z widokiem na pierwszym piętrze! Mówią, że wszystko jest zajęte. Jak może być wszystko zajęte, gdy przyjeżdża mój sahib? A nawet jeśli mieszka w nim ktoś, niech to nawet będzie dziesięciu czy pięćdziesięciu, to wszyscy muszą się wynieść, wszyscy, wszyscy! A na dodatek mam powiedzieć jak się nazywasz! A czy ja pytałem o nazwisko tego recepcjonisty? Co tu ma do rzeczy nazwisko. Zła wiara nie mieści się w ciele, a mój sahib to nie nazwisko. Powiedziałem po prostu, że nie potrzebujesz żadnego, tak więc żadnego nie masz. A mnie nie chcą dać żadnego pokoju, bo jestem Arabem. Pomyśl sobie, ten portier, któremu Allah poskapił nawet brody, twierdzi, że w hotelu może mieszkać jedynie miejscowa i innych narodowości służba, ale nie arabska. Podobno mają złe doświadczenia z powodu brudu i robactwa. Ja, Sejjid Omar i brud! Ja Sejjid Omar i robactwo! Ten portier mówi, że tu nie wolno mieszkać w ogóle żadnemu muzułmaninowi. Powiedział, że naszymi obrządkami religijnymi robimy bałagan i jesteśmy brudasami. A Syngalezi ci bałwochwálcy, są ponoć czyści jak chrześcijanie. Czy kto słyszał takie rzeczy? Chodź, sahib! Podziękujemy za taki hotel, poszukamy innego i *basta!*

Już zamierzał odejść. Ruchem ręki nakazałem mu jednak pozostać i zwróciłem się do recepcjonisty. Był to oczywiście bardzo uprzejmy człowiek. Pokój, którego żądał Omar był rzeczywiście zajęty, lecz mnie wcale na nim nie zależało. A ten, który zajmowałem wcześniej był wolny. W rzeczy samej Sejjid nie mógł dostać żadnego pomieszczenia do spania, ale jako mojemu służącemu wolno mu było przez dzień przebywać w hotelu. Ze zrozumiałych względów administracja powodowana złymi doświadczeniami zakazywała przebywania nocą w hotelu arabskiej służbie. Omar nie powinien się skarżyć, po tym, jak pogardliwie wyrażał się o tych „bałwochwálcach”. Powiedziałem, że zostaję i biorę pokój. Omar mógł zamieszkać w „Pettah” dzielnicy tubylców, gdzie mój znajomy Niemiec prowadził gospodę. Poza tym miał tam więcej okazji do ćwiczeń językowych niż tu, w hotelu Grand Oriental.

Mój pokój znajdował się na drugim piętrze, z oknem wychodzącym nie na morze, nie na ulicę, lecz na dziedziniec, którego widok sprawił, że poczułem się znowu jak w domu. Znałem na tym dziedzińcu każdy, najmniejszy nawet zakamarek, mimo że nigdy na niego nie wszedłem. Swojego czasu służył mi za przedmiot moich studiów etnograficznych. Mogłem się nimi zajmować spoglądając z położonego wysoko ganku, ponieważ z jednej strony zamykał go hotel, z drugiej budynki administracji i dzięki szerokim przejściom łączył się z ulicami. Przewalał się tamtędy bez przerwy barwny tłum wszelkiej maści i koloru. Szczególnie zainteresował mnie niegdyś pewien Tamil z początkami słoniowatości lewej nogi. I ledwie przekroczyłem próg mego pokoju i spojrzałem na dziedziniec, zza tylnego rogu wytoczył się kulejąc ów Tamil, starszy niż wówczas, lecz dokładnie z tą samą, skwaszoną miną i dokładnie tym samym suchym kaszlem. Lecz opuchlizna objęła już całą nogę aż po pachwinę, tak że ten nieszczęśnik posiadał zarówno ludzką jak i słoniową nogę.

W pokoju stały ten sam duży stół i to samo łóżko z mosiężnymi ramami i moskitierą, obok niego dwa małe stoliki do podawania kawy lub herbaty. Na ganku stał cały czas ten sam wygodny indyjski leżak mający z przodu dwie wysuwane listwy, dzięki którym można było wysoko ułożyć nogi.

Sam ganek był wykonany z ażurowego drewna i ciągnął się przez całą szerokość budynku. Na każdym piętrze hotelu znajdowała się cała masa pokoi, z których każdy miał drzwi prowadzące na ów ganek. Aby goście sobie nie przeszkadzali, ganek podzielono na tyle części, ile było pokoi, przy pomocy albo cienkich drewnianych ścianek, albo zasłon z grubego materiału. Tak więc każdy mógł siedzieć jakby na własnym balkonie nie będąc oglądanym przez pozostałych gości. Po

pewnym czasie jednak w zasłonach porobiły się dziury, a ścianki tak zmurszały, że widziało się więcej niż się chciało czy powinno. Nie potrzeba było wiele wysiłku, aby ściankę działową tak przesunąć, że zaskoczenie sąsiada nie było niczym trudnym.

W każdym razie umocowano je, aby chroniły przed wzrokiem, lecz nie przed słuchem, bo przy panujących tu upałach nikomu nie przychodziło do głowy zamykać drzwi od balkonu i tym sposobem można było słyszeć każde słowo dobiegające z pokoju po prawej i po lewej stronie. Podobnie jest niestety na całym Wschodzie. Także szafy, komody i tak dalej podlegają tym samym prawom – nie istnieją do nich klucze lub, jeżeli nawet takowe są to większość tego samego rodzaju, tak że każdy może otworzyć swoim kluczem meble w pokoju sąsiada.

Nie znam nic bardziej pociągającego i różnorodnego niż wędrowki po Kolombo zwłaszcza po dzielnicach zamieszkałych przez tubylców. Oczywiście należy się przy tym liczyć z panującym tam, nie zawsze bardzo przyjemnym zapachem. Jeśli ktoś się nim brzydzi ten lepiej uczyni lepiej biorąc jedną z wszechobecnych rikszy i uciekając stamtąd.

Nazwa tego, pochodzącego z Japonii, pojazdu brzmi właściwie *jinrikisza*, lecz uległa ona skróceniu i wszyscy mówią riksza. Proszę sobie wyobrazić dwukołową kolaskę o niezwykle lekkiej konstrukcji, z naciągany dachem i podwójnym dyszlem i oto mamy rikszę. Ubranie Syngaleza, który ją ciągnie, jest zredukowane do obyczajnego minimum dozwolonego na ulicach – często są to jedynie spodnie sięgające od pasa do połowy ud. Jego długie, jedwabiste włosy są bardzo zadbane i zaczesane do tyłu, związane w węzeł przytrzymywany za pomocą grzebienia. Nadaje mu to miękkie, kobiecego wygląd. Lecz grzebień jest w tym kraju oznaką, męskości. Kobiętom nie wolno go nosić, a chłopcom dopiero wtedy, gdy zaczyna się im sypać zarost.

Pomijając grzebień i owe spodnie rikszarz jest kompletnie nagi. Dlaczego? Proszę wsiąść do pojazdu, to zobaczycie! Dowiedziawszy się dokąd chcemy jechać, natychmiast zaczyna biec! Powietrze jest przesycone wilgocią, słońce pali, a on biegnie! Nie kroczy, nie kłusuje, nie galopuje, lecz biegnie, ale jak! Jakby robił piętnaście kilometrów na godzinę. Zadaje mu się jakieś pytanie, a on odpowiada w biegu, najkrócej jak to możliwe. Gołe nogi jakby nie znały zmęczenia. Naga pierś jakby nie skrywała płuc. Oddech ma spokojny i regularny i najlepsza dorożka nie dogoniłaby go, bo – on biegnie! Tam, tam – popatrzcie! Coś jeszcze zaczyna biec! Pod węzłem włosów perli się jedna mała kropla nie śmiejąc się ukazać, jakby zawstydzona, że i tak ją dojrzano, stoi tam w cieniu parę chwil i następnie porusza się: najpierw powoli, potem coraz szybciej i szybciej wzdłuż szyi i kręgosłupa, aż w końcu znika na krawędzi spodni. A oto nadchodzi druga. To samo lekkie zawstydzenie, to samo ociąganie, następnie te same ruchy i znika w końcu osiągając ten sam cel. Pokazuje się trzecia, piąta, dziesiąta, dwudziesta, setna. Następują coraz szybciej po sobie, aż w końcu tworzą strumyk pędzący od włosów do spodni. Strumyk płynie nieprzerwanie, a mężczyzna nie przerywa biegu! Pasażer siedzi za nim, widzi obydwie biegi i sam nie wie, co go bardziej dziwi: czy wytrzymałość niezmordowanego biegacza czy to, że pod włosami ma tak niewyczerpane źródło wody. Potem na prawym ramieniu tworzy się także kropla, a następnie na lewym. Obydwie spadają w dół ku kręgosłupowi i tam łączą się ze strumykiem. Zaraz po nich pojawiają się następne. Powstaje drugi strumyk i trzeci, wpadając do środkowego tworzą z niego rzeczkę. Wkrótce i w innych miejscach powstają wilgotne plamy, a z nich tworzą się strumyki. I wszystkie śpieszą ku paskowi od spodni, który staje się coraz bardziej wilgotny, aż w końcu nie jest w stanie wchłonąć ich wszystkich i po nogach płyną już w dół dwie wielkie rzeki. Woda leci z całego ciała a człowiek biegnie dalej! Co za szczęście, że powiedzieliśmy rikszarzowi dokąd chcemy jechać. W przeciwnym razie mógłby biec bez końca – aż w końcu by się rozpląnął. Dotarłszy do celu, wolną ręką ociera sobie skąpaną w pocie twarz, a jego wzrok jest tak łagodny jak ciemny aksamit bratka. Domaga się niemieckich pieniędzy – tylko jednej marki za godzinę, a

jeśli doda mu się parę fenigów napiwku, to z wdzięczności chce się „rozpląnąć”. Taka właśnie jest riksza i taki jest rikszarz!

Mój Sejjid Omar nie mógł przeboleć, że mimo jego oporów pozostałem w hotelu Grand Oriental. Nie był pewien czy ma się dąsać czy nie; nie zwracałem na to uwagi i tak czy owak musiał zanieść mój bagaż do pokoju.

W Indiach nie oszczędza się na służbie. Tak więc przy otwartych drzwiach mojego pokoju stało dwóch Syngalezów do mojej dyspozycji i do pomocy Sejjidowi Omarowi. To jednak zupełnie mu nie odpowiadało. Własnymi rękami wypchnął ich za drzwi i zamknął je. Następnie wyciągnął do mnie obie ręce, spojrzał z uśmiechem i spytał:

– Sahib, to bałwochwalcy? Tak?

– To ty ich tak nazywasz – odparłem.

– I ja ich dotknąłem!

Spojrzał na mnie rozradowany i ciągnął:

– To chyba to samo, co mój sahib uczynił na parowcu, gdy uniósł do góry tego chłopca. Nie umyję sobie ani palców, ani dłoni, ponieważ nie zbrukali mnie, bo przecież wszyscy ludzie są stworzeniem boskim. Czy teraz jesteś ze mnie zadowolony? Czy moja religia nie zwyciężyła znowu, jak wtedy gdy powiodłem tego Amerykanina do Menahouse, mimo, że mnie obraził?

– Nie! Za każdym razem zwyciężyło coś innego!

– Co takiego?

– Nie mogę ci tego powiedzieć, bo mi zabroniłeś.

– *Maszallah*! Ja tobie czegoś zabroniłem? Tobie? To bardziej nieprawdopodobne niż to, że medal ma trzy strony!

– Postawiłeś mi warunek, bym nigdy nie mówił o chrześcijaństwie.

– A co to ma wspólnego z moim zwycięstwem?

– To, że to nie twoja religia zwyciężyła, a moja.

Spojrzał na mnie z takim zdumieniem, że mówiłem dalej wyjaśniająco:

– A kto wtedy i dzisiaj powiedział ci, że jesteś wprawdzie Sejjidem Omarem, ale wcale nie dobrym człowiekiem? Kto wymógł na tobie w Menahouse, abys przyprowadził Amerykanina? A kto dzisiaj pieszcząc dziecko, pokazał ci, jak powinno działać dobro, o którym dopiero co mówiłeś?

Spuścił oczy, zwiesił ramiona – pewny znak, że był mocno zmieszany. Ale w tym momencie udało mu się uniknąć odpowiedzi. Przyniesiono akurat książkę meldunkową. Przebiegłem wzrokiem listę gości. Było dużo Niemców i Austriaków. Jeden z nich, lekarz okrętowy, znał mnie a ponieważ nie chciałem mieć żadnych zobowiązań wobec nikogo, wpisałem imię jako nazwisko i odwrotnie, powiedziałem Sejjidowi, że gdyby go ktoś pytał, tak właśnie się nazywam.

– A czy ty wiesz, sahib, jak masz mnie nazywać? – spytał cicho.

– No jak?

– Omar el Gahii, Omar Głupiec. Widzę teraz, jaki byłem głupi, miłość uznając za dobroć, a twoje chrześcijaństwo za mój islam. Spełnisz moją prośbę?

– Chętnie, jeśli potrafię.

– Rozmawiaj ze mną ciągle o chrześcijaństwie i pozwól mi także mówić o nim, jeśli będę miał jakieś pytania! Ostatnio byłem niezadowolony, że postawiłem taki warunek w hotelu Continental. Nie można zasnąć, gdy chce się coś wiedzieć, a nie wolno o tym mówić.

– Dobrze, uznajmy ten warunek za niebyły! Zamówimy teraz dwie riksze i pojedziemy do tej gospody, w której masz spać.

Podniósł oczy i na jego twarzy pojawił się uśmiech. Czuł, że znowu jest wszystko w porządku, bo nie kazałem mu iść na piechotę, a nawet zamierzałem mu towarzyszyć?

Kiedy zeszliśmy na dół i portier spytał, czy ma przywołać riksę czy powóz, Omar wątpliwym wprawdzie angielskim, lecz jemu tylko właściwą druzgocącą wyższością odrzekł:

– Sami sobie ją przywołamy. Nie nabierzecie nas!

Całkiem słusznie odgadł, że służba hotelowa postara się o droższy pojazd niż jeśli załatwi się go samemu. Tym razem nie miałem nic do zarzucenia jego arbitralności. Uniósł do góry dwa palce i natychmiast pojawiło się dwóch riksarzy. Wsiadłem do środka. Omar poczekał aż usiądę, a potem sam zajął miejsce w drugiej rikszy i przyjął taką pozę, jakby właśnie kupił hotel Grand Oriental płacąc żywą gotówką, a następnie podarował go pierwszemu lepszemu żebrakowi.

Pojechaliśmy do Pettah, na ulicę prowadzącą do hal targowych. W południe, w tej tak zwanej „czarnej dzielnicy”, panuje wielkie ożywienie. Zewsząd cisną się tłumy ludzi. Mimo to, nasi riksarze nie zwolnili nawet o jotę. Z podziwu godną zręcznością lawirowali wśród kłębiących się ludzi. Kiedy jednak na naszej drodze pojawiła się mała pielgrzymka buddystów, zmniejszyli tempo, aby nie zakłócać spokoju. Poważali inny obrządek religijny, mimo, że nie byli buddystami.

Pielgrzymi wracali z kontynentu, gdzie odwiedzili starożytne świątynie w Thanie, Garapori, Pandž-andu i Adżancie, a obecnie wędrowali do swej rodzinnej świątyni uznając za swój obowiązek podziękować za opiekę bogów w czasie podróży. Zachowywali się spokojnie i skromnie nie narzucając się swą pobożnością. Spostrzegłszy, że jedziemy za nimi nieproszeni usunęli się na skraj drogi, aby zrobić nam miejsce.

Zbliżyliśmy się do skrzyżowania. Z każdej strony nadjeżdżały rikse, wozy zaprzęgnięte w zębu i kłębiły się tłumy przechodniów. Nagle z tyłu dobiegł naszych uszu koński galop i przestraszone okrzyki ludzi. Obejrzałem się. Nadciągał prawdziwy oddział europejskich dżentelmenów i ladies z powiewającymi welonami na tropikalnych hełmach. Mimo tłoku jechali nieomal cwałem rozciągnięci na całą szerokość ulicy. Poznałem już ten gatunek cywilizacyjnie uprzywilejowanych barbarzyńców, którzy za nic mieli wszystko wokół, prócz naturalnie siebie samych, i nie troszczyli się o nic, a najmniej o zdrowie i bezpieczeństwo ludzi innych ras. Nie można było zrobić nic innego jak tylko przezornie się usunąć. Biada temu, kto nie zdążyłby na czas uskoczyć w bok! Kazałem się natychmiast zatrzymać, wyskoczyłem z rikszy, skoczyłem ku najbliższemu domowi i przylgnąłem do ściany. Sejjid podążył moim przykładem. Obydwaj riksarze przykucnęli za swymi pojazdami.

Zdążyliśmy w ostatniej chwili, bo „towarzystwo” dogoniło pochód pielgrzymów i deptając ludziom po piętach tratowali ze śmiechem wszystko, co nie zdążyło umknąć. W tym samym momencie zza rogu wynurzyła się riksa i nie zwalniając pędziła wprost na nas. Pasażerowi chyba się śpieszyło a riksarz, Tamil, nie mógł zauważyć wcześniej jeźdźców. Nastąpiło zderzenie i ranny riksarz upadł ciężko. Jego pojazd został zniszczony. Lecz wielcy tego świata nie zwrócili na to żadnej uwagi i nie zatrzymując się ruszyli dalej ze śmiechem. Pasażer znalazł się pod wozem, lecz szybko wydobył się spod niego i rozejrzał się wkoło. Każdy dom był dosłownie oblepiony wystraszonymi śmiertelnie ludźmi! Między nimi leżała na drodze masa poszkodowanych, którzy usiłowali powstać jęcząc z bólu. Lecz niesamowite – nie słyszałem ani jednej skargi. Czyżby z szacunku, czy może raczej ze strachu? Z uznania czy z pogardy? Wraz z Omarem wróciliśmy do riksz. Poszkodowany pasażer rozpoznawszy, że ma przed sobą Europejczyka, podszedł do mnie i spytał po angielsku:

– To niewybaczalne! Muszą zostać ukarani! Mam zamiar dogonić tych ludzi, by przynajmniej dowiedzieć się ich nazwisk. Do kogo należą te dwie rikse?

– Do mnie i mojego służącego – odpowiedziałem.

– Czy zechciałby pan odstąpić mi tę, pańskiego służącego? W pobliżu nie ma żadnej innej.

– Chętnie.

– Przyjdź później do hotelu! – polecił Tamilowi. – Musisz dostać odszkodowanie.

Wsiadł do rikszy Omara i popędził za niegodziwcami. Zrobił na mnie wrażenie niesłychanie energicznego człowieka. Miał na sobie mocno zabrudzony strój, uszyty jednakże z najdelikatniejszej indyjskiej tkaniny. Biała broda okalała mu twarz. Z rysów twarzy nie mogłem rozpoznać jakiej jest narodowości.

I co teraz? Było nas dwóch z jedną rikszą i w tej chwili nie pojawiała się żadna inna. Poleciłem więc Omarowi, aby czekał tu na mnie, podczas gdy ja pojedę przodem i potem każę rikszarzowi przyjechać po niego.

Tymczasem pielgrzymi ustawili się znowu w pochód. Nie poszkodowani wzięli rannych między siebie i pielgrzymka ruszyła naprzód. Jeden z nich miał chyba złamaną nogę. Mijając mnie krzyknął:

– Sahib, jesteś także chrześcijaninem jak tamci, a mimo to nie tratujesz innych. Niech cię Bóg błogosławi!

Gdy ulica opustoszała, ruszyłem w stronę gospody, w której właściciel wprawdzie rozpoznał mnie, ale zapomniał mojego nazwiska, z czego się nawet ucieszyłem. Miejsce miał pod dostatkiem i nie miał nic przeciwko przyjęciu Omara, który niebawem się pojawił. Ponieważ miałem dzisiaj sporo listów do napisania i nie zamierzałem nigdzie wychodzić, dałem Omarowi wolne. Poleciłem mu tylko, aby wieczorem przyszedł do hotelu i dowiedział się, czy go nie potrzebuję. Do tego czasu miał poszperać w sklepikach w Pettah w poszukiwaniu starych monet i innych osobowości, szczególnie książek, a potem powiedzieć, gdzie można je obejrzeć i ewentualnie kupić. Wprawdzie nie znał się na tym, lecz już nieraz dowiedział mi, że ma oko do takich rzeczy.

Wróciłem do hotelu, kazałem podać sobie obiad do pokoju i zabrałem się do pracy. Lecz nie mogłem się skoncentrować i wiele razy wychodziłem na ganek karmić kruki. Całe ich stada zamieszkiwały pobliskie dachy i drzewa, a były tak oswojone, że wchodziły nawet do pokoju. Ich ulubioną sztuczką było wylizywanie do czysta chleba z masłem, które stanowiło rzadkość na Cejlonie i sprowadzane było z Europy.

Po południu spadł charakterystyczny dla wyspy deszcz – czyste, niebieskie niebo w jednej sekundzie zaciąga się ciemnymi chmurami i zaczyna się gwałtowna ulewa. Po chwili niebo znowu jest czyste i bezchmurne. A wszystko nie trwa dłużej niż pół godziny. Jak zwykle krótko po szóstej zapadł zmrok i przyszedł Omar. Posłałem go na dół po parę drobiazgów i znów był wolny. Już z ręką na klamce spytał:

– Byłbym zapomniał, sahib. Czy nie zgubiłeś małej książeczki?

– Gdzie?

– Tam gdzie się zatrzymaliśmy, gdy nadjechała ta kawalkada.

– Nie miałem ze sobą żadnej książeczki.

– A więc muszę ją oddać temu *baja*.

– Jakiemu kupcowi? Masz ją ze sobą?

– Tak. Gdy ty odjechałeś, a mnie kazałeś czekać, ze sklepu wyszedł *baja* i podniósł jakąś małą książkę leżącą w pyle na drodze w pobliżu miejsca, gdzie przewróciła się ta riksza. Kupiec widział nas stojących w pobliżu i spytał, czy ta książka nie jest własnością któregoś z nas. Zaprzeczyłem, bo znam wszystko, co do ciebie należy. Lecz gdy przed chwilą szedłem do ciebie, minąłem jego drzwi. Zauważył mnie i spytał, czy umiem przeczytać to, co w tej książce jest napisane. Znowu zaprzeczyłem, jednak wpadło mi do głowy, aby ją zabrać i pokazać tobie, bo a nuż jest twoja. A jeśli nawet nie, to może przynajmniej jest tam jakieś nazwisko mówiące o właścicielu. Ten *baja* chciałby z pewnością dostać nagrodę. Chcesz zobaczyć?

– Dawaj!



Był to notes, jaki zazwyczaj używają kobiety, oprawiony w niebieski jedwab i mocno zużyty. Na pierwszej stronie widniały dwie tłoczone na złoto litery: M.W. Przekartkowałem i stwierdziłem, że jest zapisany częściowo po angielsku, częściowo po niemiecku i zawiera uwagi czysto kobiecej i gospodarskiej natury, z których wszakże nic nie mogłem wywnioskować. Na oprawce z tyłu umieszczona była zwykła w takich książeczkach mała kieszonka. Zawierała fotografię wielkości karty wizytowej. Wyciągnąłem ją i najpierw rzuciła mi się w oczy jej tylna strona. Tam, miękkim kobiecym pismem napisane było po niemiecku:

*Dwa duchy walczą o ciebie – dobry i zły, jeden pozornie, a drugi naprawdę pobożny, raz jesteś we władaniu pierwszego, raz drugiego. Niech Bóg da tobie i mnie szczęśliwy los!*

Na drugiej stronie znajdowało się zdjęcie piszącej te słowa: pięknej, około czterdziestoletniej kobiety, której twarz wydawała mi się znajoma. Gdzie widziałem już te pełne ciepła, uduchowione oczy, które zdawały się wciąż o coś prosić?

Wkładając fotografię z powrotem do kieszonki zauważyłem w niej jeszcze coś: złożony kawałek papieru, mocno podniszczony. Wyjąłem także i jego. Można sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy ujrzałem, że były to te same wersy, które wiatr przywiał córce misjonarza, a które ja własnoręcznie napisałem!

Od razu stało się dla mnie jasne, że owe litery M.W. oznaczały Mary Waller. Czyżby wraz ze swoim ojcem przebywała tu, w Kolombo?

Istniała taka możliwość, ponieważ wspominali o chęci pozostania przez dłuższy czas w Indiach. Nie było więc żadnych wątpliwości, notes był własnością Mary i że musiała go odzyskać.

W tym hotelu nie mieszkali z pewnością – czytałem przecież książkę meldunkową. Należało więc ich szukać albo w hotelu Galle Face, albo w hotelu Lawinia. Postanowiłem, że na razie zatrzymam notes, a jutro zacznę poszukiwania. Dałem Omarowi jedną rupię dla *baji* jako nagrodę, ale nie dołączyłem żadnych wyjaśnień.

Gdy wyszedł, przypomniałem sobie tamto zdarzenie w Kairze, koło piramid. Rozstaliśmy się w wielkiej przyjaźni, a od tamtego czasu minęło wiele miesięcy. Od tej pory tyle się już wydarzyło i byłem pewny, że moi towarzysze doznali także wiele wrażeń, wobec których wcześniejsze nieco przybladły. Poza tym istnieje stara, mądra zasada, aby znajomości zawarte w czasie podróży traktować jako przelotne. Można się rozczarować, gdy się ją podtrzymuje po tym, jak przeminie czar związany z podróżą. Byłem wprawdzie przekonany, że Waller i jego córka ucieszą się na mój widok, jednak wtedy musiałbym poświęcić im trochę z mojego czasu, a wydawało mi się, że będzie lepiej i dla nich i dla mnie, gdy nie będziemy rezygnować z osobistej swobody bez istotnego powodu. Rozważając to wszystko zdecydowałem, że nie będę ich szukał, lecz oddam notes w jakiś inny, dyskretny sposób.

Wtem przyszedł mi na myśl wiersz. Jakby się Mary zdziwiła, gdyby znalazła w notesie dalszy ciąg wiersza napisanego tą samą ręką! Wtedy niestety nie udało mi się napisać go do końca. Pierwsze linijki napisałem bez trudu, ale napisanie następnych nie było takie proste. Teraz jednak poczułem przypływ natchnienia. Rozprostowałem więc na ile się dało pomięty papier, wypróbowałem atrament, czy był takiego samego koloru i dopisałem cztery nowe linijki, tak, że strofa brzmiała następująco:

*Zabierzcie swoją ewangelię!  
świat przeznaczony do pokoju,  
a gdzie ujrzycie boży dom,  
zostawcie go w spokoju!*

*Dajcie, co chcecie, lecz nie bez miłości,  
A wszystko inne pozostawcie w domu!  
Bo miłość umarła kiedyś dla was,  
a teraz zmartwychwstanie przez was na zawsze.*

Postawiłem właśnie kropkę, gdy z pokoju po prawej doszedł mnie jakiś szelest. Z początku rozróżniałem dwa głosy. Przesuwano jakieś krzesła i wysunięto je na ganek. Głosy stały się wyraźniejsze. Usłyszałem kogoś mówiącego po angielsku.

– To mój ostatni wieczór na Cejlonie! Cieszę się, że zakończyłem tę długą i niebezpieczną pracę i wracam do domu!

Nie myliłem się, znałem ten głos. Byłem pewny, że należy do tego siwego, brodatego mężczyzny, który wpadł pod riksę Tamila.

– A i ten ostatni dzień nie był zbyt przyjemny – zauważył drugi głos. – Wpaść pod końskie kopyta! To się mogło gorzej skończyć.

– Nie ma wątpliwości, chociaż wpadłem tylko pod riksę, a nie pod końskie kopyta, jak ci tu bylczy, których widziałem leżących tam na ulicy Czy rzeczywiście dojdzie do tego, że w końcu cały Wschód będzie leżał stratowany kopytami Zachodu? Gdzie się nie udałem tam zawsze widziałem dwie ciemne, niosące zgubę siły, które dokańczają dzieła chrześcijaństwa – mianowicie religijną pychę i narodową dumę. Jeśli ktoś twierdzi, że Bóg jest tak małostkowy, iż kocha tylko biały kolor skóry i zależy mu na tylko jednym sposobie składania rąk do modlitwy, ten bluźni przeciw niemu, bo umniejsza jego wielkość. Cieszę się, że mi się udało zdobyć nazwiska tych cywilizowanych „panów” i „pań”. Zażądałem, ukarania ich i gubernator obiecał mi to. Mam nadzieję, że mój wyjazd nie skłoni go do zignorowania całej sprawy. Usiądźmy! Mamy jeszcze trochę czasu do kolacji, a nie lubię pierwszy przychodzić do stołu.

Zaskrzybiały krzesła, w rozmowie nastąpiła przerwa. A więc moje przypuszczenia okazały się słuszne – był to ten sam mężczyzna, który, jak zdradziło jego zaproszenie do zajęcia miejsc, był obecnym właścicielem pokoju.

– Te okropne wizyty pożegnalne! – westchnął. – Bez przerwy *in full dress*, nawet do jedzenia! To niezdrowe i zabiera tyle czasu!

Ponieważ dzisiejszy wieczór był ostatni na Cejlonie, musiał wyjeżdżać jutro rano i wniosek sam się narzucał: dogonił jeźdźców, a w czasie, gdy ja byłem jeszcze w Pettah, wrócił do hotelu, aby przebrać się w strój odpowiedni na wizytę u gubernatora. Później odbył parę pożegnalnych wizyt, a teraz siedział z jakimś znajomym w pokoju, gawędząc w oczekiwaniu na kolację.

Rozmowa, która prawie w całości docierała do moich uszu, dotyczyła doświadczeń, jakie nabył w Indiach. Wydawało mi się, że jest uczonym, może lekarzem i przybył na Wschód z Ameryki w celu przestudiowania tutejszych chorób, zwłaszcza dżumy. Jego studia, które rozciągały się także na duchowe stosunki narodów Wschodu, zajęły mu dwa lata. O ile mogłem się zorientować był to inteligentny, mądry człowiek, przy tym bez uprzedzeń i szlachetnie myślący przyjaciel rodzaju ludzkiego. Czasami mógłbym uścisnąć mu rękę za to, co mówił.

– Dla Zachodu może się okazać niebezpieczne myśleć o Wschodzie jako o nie mającym nic do zaoferowania, a jego narody postrzegać jako ginące – wyjaśnił. – Biblia mówi, że Eden leży na Wschodzie. A rzeki raju płyną dla wszystkich, a jednak człowiek w Edenie zamiast go uprawiać i zachować dla potomności, zapomniał zbyt szybko, że to zadanie uczyniło go opiekunem ogrodu, a nie jego panem. „Zechciał być taki sam jak Bóg!” – mówi Pismo święte, to znaczy chciał posiadać i rozkoszować się posiadaniem nie pytając o prawa boskie. Pan w swej dobroci ostrzegł go nakazując niewiele – „nie jedz owoców z tej jabłoni”. A jednak ten ogarnięty żądzą władzy człowiek chciał akurat skosztować tego właśnie jabłka. Żądza ta, nie zważając na posia-

dane bogactwa nie potrafiła odmówić sobie jednego małego jabłka i doprowadziła do ruiny. Za jedno, jedyne jabłko zapłacił całym rajem. Historia grzechu pierworodnego rozciąga się na cały gatunek ludzki, na wszystkie narody i na pojedynczego człowieka.

Przerwał, a po chwili ciszy ciągnął dalej:

– Każdy naród ma prawo by przeżyć, a także święty obowiązek, by dać przeżyć innym narodom. Lecz szatan żądz i egoizmu, który wślizgnął się do raju, aby ludzi przywieść do nędzy, włożył maczugę do ręki nie tylko jednemu Kainowi, aby nastawał na życie tylko jednego Abla, ale rozpanoszył się jak ciemny duch, na tronach i w prostych chatach po wsze czasy i znaleźć go można wszędzie, także i w naszych czasach. I jakby nie był ważki ten rzekomy powód, który niegdyś mordercę popchnął do przestępstwa, to od samego początku aż po dzisiejszy dzień prawie każdy ofiarodawca uważa, że jego ołtarz jest tym, który najbardziej podoba się Bogu. Od samego początku świata w imię świętości zwalcza się pogaństwo, w imię miłości bliźniego egoizm, w imię cywilizacji barbarzyństwo, a ja nadaremnie poszukuję między narodami łagodnego, pobożnego Abla, którego jakiś Kain nie zamordowałby podstępem. Kto potrafi zliczyć materialne i duchowe szkody, które nie zostały zachowane dla ludzkości, bo musiały zniknąć z powierzchni ziemi, a które właśnie z powodu swej oryginalności mogłyby przynieść ogółowi niezmiernie korzyści, jeśli pozwoliłoby się im rozwinąć swobodnie.

Znowu nastąpiło milczenie przerwane jednak po chwili przez gościa, który powiedział, a w jego tonie zabrzmiał uśmiech:

– Pański ulubiony temat, drogi profesorze! Ale to bardziej pasuje do kobiet niż do mężczyzn, którzy jesteśmy w samym środku tego bezlitosnego życia, zmuszającego nas do obrony, ponieważ i my właśnie mamy ochotę przeżyć. Gdy słyszę pana mówiącego w ten sposób, to mam wrażenie, że widzę miss Mary, pańską drogą córkę, siedzącą naprzeciw pana i słuchającą uważnie pańskiej ewangelii narodów tak, jak niegdyś inna Mary siedziała u stóp innego i jeśli pan pozwoli, większego mistrza.

– Tak. Ale niech także pan doda, że ów mistrz, Chrystus, tak powiedział o tej Marii: „Ona wybrała lepszą część, której niech nikt nie waży się odebrać!” Mary Waller jest cieleśnie córką swego ojca, duszę odziedziczyła po matce, lecz ducha ma ode mnie. Jestem dumny, że tak jest. Chce mi się pan wymknąć, że pan o niej wspominał?

– O nie! Przecież pan wie, że w tej chwili zajmują i mnie te rzeczy, nawet jeśli nie dochodzę do takich samych wniosków jak pan. Dla mnie narody, podobnie jak ludzie, są skończone, jeśli nie mają żadnych dokonań.

– Tak, a czy pojedynczy człowiek także? Niech pan powie: czy pańskiemu robotnikowi wolno spać?

– Co za pytanie! Oczywiście, że tak.

– Ale przecież niczego nie dokonuje, kiedy śpi!

– Gdy się wyśpi, to rankiem jest w stanie więcej dokonać. W czasie snu nabiera sił.

– *Well!* Narody także śpią, ale ich sen trwa dłużej niż jedna noc, a kto nie pojmuje konieczności takiego snu, ten zbyt łatwo może uznać go za śmierć, a naród za skończony. Lecz nie należy zapominać, że te drzemające narody obudzą się, gdy tylko będą swobodnie oddychać. W czasie odpoczynku zbierają siły, a gdy nadejdzie dla nich świt, to biada temu, kto uznał je za martwe! Sądzę, że szczególnie tu na Wschodzie powinniśmy zachować dużą ostrożność. Jest tu wiele śpiących olbrzymów, które uznaliśmy za martwe. Takim olbrzymem jest islam. Śpi i dlatego tylko widzimy w nim to, co nazywamy życiem utajonym. Co wolno nam ostrożnie zmienić położenie jego głowy, ramienia czy ręki, gdyż nie jesteśmy mordercami. A pewnego dnia olbrzym się obudzi i od nas zależy czy przebudzenie to będzie przyjacielskie i pokojowe czy nie. Kto ma odwagę zbudzić go gwałtownie?

– Ja nie! – zażartował drugi. – Pozwólmy mu spać! Po przebudzeniu będzie tarł oczy ze zdziwienia, gdy zauważy, że on, wielkość z łaski Mahometa, stał się tymczasem Chrystusem. Uważa pan może, że Budda, Tao, Laoste i Konfucjusz są także wielkimi śpiącymi?

– Nie, ponieważ w żadnej przez nich przyjętej formie adoracji nie ma tego przymusu, właściwego chrześcijaństwu i islamowi. Niebezpieczeństwo dla nas polega tu na czym innym i nie dotyczy właściwie religii. Chodzi o pokojowy kompromis między dwoma różnymi, pod wieloma względami inaczej rozwijającymi się rasami ludzkimi – białej i żółtej. Czerwoną „szczęśliwie” udało nam się wymordować. To co z niej na dobrą sprawę pozostało, to ostatnie tchnienie konającego przez długie czterysta lat. Ale na żółtą rasę historia nie przysłała nam żadnego Cortazara czy Pizzara. Mamy szczęście, że historia, choć pobłażliwa, wymierza jednak nieubłagalnie sprawiedliwość i kraj, w którym niegdyś „słońce nigdy nie zachodziło” stał się za sprawą przekleństwa, rzuconego na konkwistadorów, tak mały i biedny, mimo swych przesławnych „srebrnych okrętów”, że nie dostarczyłby tej garstce żyjących Indian ani przestrzeni, ani suchego chleba. Stanowi to poważny znak dla nas, którzy właśnie szykujemy się do rozdziału między siebie własności żółtej rasy. W księdze przeznaczenia napisane jest wyraźnie: „Chiny podbije tylko ten, kto jest Chińczykiem”. W rasie tej czuć ferment, któremu nie potrafi przeciwstawić się żadna inna. Wessie ona każdego wroga, a kto chce ją pokonać, a nie chce zostać wessanym, musi wziąć sobie do serca, że istnieje na to jeden jedyny środek, lepiej zostać jej przyjacielem zamiast wrogiem.

– Co za szczęście dla naszego przyjaciela Wallera! – odezwał się znowu żartobliwy gość. – Nie zostanie wessany, ponieważ przybywa jako przyjaciel.

– Niech się pan nie da zmylić! Chińczyk nie ceni swej wiary niżej niż my naszą. I tak, ze względu na swą tysiącletnią tradycję i obyczaje nazwie nas barbarzyńcami. Każdego kto się do niego zgłosi ofiarując inną religię, uzna za głupca, a gdy ten będzie się nadal upierał przy swoim, od wrogości będzie ich dzielił już tylko mały krok. A jeszcze ta osobliwa choroba Wallera! Jest dziedzicznie obciążony.

– Pan znowu swoje, drogi profesorze! Ja myślę, że jest tylko niezwykle nerwowy, ale nie chory psychicznie.

– Wcale tego nie powiedziałem. Dziedzicznie obciążony może być także w innej, nie tylko chorobliwej formie. Dziedzicznie obciążony jest dla nas na przykład Chińczyk z jego kultem przodków, który odziedziczył po swoich antenatach. Dziedzicznie obciążony jest dla Chińczyka Waller z jego religijną nietolerancją wrodzoną każdemu członkowi jego rodziny od początków świata. Przecież nawet chrześcijanina, który inaczej myśli czy czuje niż on, uważa za straconego na wieki! Zapaść się z nim w dyskusję na tematy religijne jest prawie niemożliwe, bo każdy sprzeciw traktuje jak osobistą obelgę. Na dodatek jego wiara nie opiera się na pewnej wiedzy zakreślonej przez kościół, lecz na naukach przekazywanych przez wieki z pokolenia na pokolenie w jego rodzinie. Do tego jeszcze dochodzi obietnica jaką złożył swojemu ojcu, że zostanie misjonarzem, aby przez rozpowszechnianie tych rodzinnych tradycji nawrócić możliwie dużą ilość pogan i tym samym wyjednać sobie i swoim przodkom łaskę u Boga w zaświatach.

– Przodkom? To przecież graniczy z chińskim kultem przodków!

– Oczywiście! I dlatego tak się wścieka! Jego zmarła żona, anioł wcielony, łagodziła go, jak tylko mogła. Gdyby żyła z pewnością nie puściłaby go do Chin. Udało mu się dzięki rozpowszechnianiu tych tradycji religijnych utworzyć wokół siebie coś w rodzaju sekty, do której należą bardzo bogaci ludzie. W pewnym momencie uznali, że uczynek ten spodoba się Bogu i sfinansowali początek jego misji. Zebrali tak duże środki, że mógł przedtem wybrać się na wyprawę poglądową po Wschodzie. Jego córka napisała o wszystkim do mnie i ustaliliśmy spotkanie w Cambay, gdzie się szczęśliwie spotkaliśmy. Poszła w ślady matki, z którą ja – sąsiad i daleki krewny —ją wychowywałem i kształciłem. Mam nadzieję, że będzie miała dobry wpływ

na Wallera. Poza tym wydaje mi się, że ostatnio przeżył jakiś cios i nie traktuje swych nauk już tak bezkrytycznie. Mary ze względu na ojca nie chciała o tym mówić, a i ja poniechałem wypytywania jej. Między sobą rozmawiali często o jakimś Niemcu, którego poznali w Kairze. Wraz z nim i jakimiś Chińczykami zorganizowali parę wycieczek i z tego co opowiadali wywnioskowałem, że temu Niemcowi udało się zachwiać trochę niewzruszonymi poglądami Wallera. Nie przestał wprawdzie pieklić się i dokładnie tak samo napada na pogańskie świątynie, lecz nagle uspokaja się, zaczyna o czymś myśleć i od czasu do czasu rzuca jakąś łagodną uwagę, jaka wcześniej nie przeszłaby mu przez usta. Robiłem co w mojej mocy, aby wykorzystać te krótkie momenty, ale niewiele udało mi się zdziałać, bo niebawem musieliśmy się rozstać.

– Pojechali od razu do Chin? – usłyszałem pytanie tego drugiego.

– O nie! Jest przecież panem siebie samego i misjonarzem z własnej woli. Dlatego może jeździć dokąd chce. Następnym celem jego podróży były Indie. Aby je poznać, zamierzał przemierzyć je wzdłuż i wszerz i dotrzeć do Kalkuty. Stamtąd dostałem list, w którym pisze, że chce zrobić jeszcze parę wycieczek po wschodnim wybrzeżu i prosi, abym odpowiedź wysłał do Penangu. Jeszcze nie miałem czasu, aby mu odpisać, ale nadrobię to po kolacji, bo i tak muszę odesłać Mary jej notes, który – ach tak, nie mam go w tym przeklętym smokingu, tylko w bocznej kieszeni kurtki. Jak mnie odwiedziła po raz ostatni, coś tam sobie zapisywała i potem zapomniała wziąć. Znalazłem go później, ale oni już wyjechali. Słyszysz pan? Czy to nie gong na kolację?

– Tak. Wzywają nas na dół.

– Mamy jeszcze czas.

Jeszcze przez jakiś czas nie opuszczali pokoju, ale nie podejmowali już przerwanej rozmowy.

Teraz wiedziałem już, jakim sposobem notes znalazł się na ulicy Pettah. Znajdował się w kieszeni profesorskiej kurtki i wypadł podczas upadku rikszy. Co za zrządzenie, że mieszkał akurat obok mnie! Mogłem niepostrzeżenie wepchnąć mu go znowu do kieszeni i nie musiałem się w tym celu przekradać przez ganek. Służba miała bowiem w zwyczaju, gdy tylko gość wyszedł z pokoju, uchylać drzwi za pomocą specjalnego haczyka, aby przewietrzyć pokój. Liczyłem, że stanie się tak i teraz. Poczekalem więc, aż wraz ze swoim gościem zejda na dół. Potem zadzwoniłem, aby przyniesiono mi kolację na górę. Moi Syngalezi popędzili obaj na dół, aby za tę samą usługę dostać podwójny napiwek. Nikt mnie zatem nie obserwował. Pośpiesznie wyszedłem na korytarz, otworzyłem drzwi sąsiedniego pokoju i w świetle palącego się wewnątrz łuczywa ujrzałem wiszącą na haku białą kurtkę. Wystarczyły trzy kroki. Wepchnąłem notes do bocznej kieszeni, założyłem haczyk na drzwi i wróciłem do siebie. Nikt nic nie widział.

Profesor wrócił sam do pokoju. Przez jakiś czas spacerował po pokoju, a potem wszystko ucizło. Najprawdopodobniej coś pisał. Ja także nie starałem się robić hałasu. Następnego przedpołudnia słyszałem jak się wyprowadza. Kazałem podać sobie listę gości i sprawdziłem jego nazwisko: Garden, profesor, Filadalfia. Czułem się jakoś dziwnie, jakby wyjechał mój bliski znajomy. Jego poglądy nie zgadzały się wprawdzie dokładnie z moimi, ale były z nimi blisko spokrewnione.

Przez następne dni wybrałem się na parę wycieczek po lądzie i nad wodę, po części aby odświeżyć wspomnienia, po części aby zyskać nowe wrażenia. Pewnego razu pojechaliliśmy z Sejjidem Omarem do Point de Galle. Tory kolejowe biegły wzdłuż morza, miejscami po nasypie zanurzonym w wodzie, chronionym przez rafy koralowe przed zalaniem czy zniszczeniem. Po prawej mijało się drzemiące spokojnie lub falujące niebieskie morze, którego nigdy w tych okolicach nie widziałem wzburzonego. Po lewej widać było plażę porośniętą bujną roślinnością ciemnozielonego koloru, z której gdzieniegdzie wyrastały pojedyncze domki lub ich małe skupiska. Czuło się na sobie patrzące z nich wielkie zdziwione oczy. Roślinność jest tu jeszcze bujniejsza niż po tamtej stronie, we Wschodnich Indiach. Grupy drzew bambusowych, drzewka chlebowe,

olbrzymie bananowce i smukłe figowce, połyskujące żółto pisonie, palmy borassusa, karhoty, koryfy, kalamusy i areki stanowiły urozmaicenie nieskończonej monotonii. Werandy stojących tu i ówdzie domostw bogaczy ozdobione były przepyszными kwiatami. Domy biedaków zbudowane były z czerwonej cegły lub gliny i pokryte dachami z liści palmowych. One także otoczone były czystymi i zadbanymi ogrodami.

Miasto Point de Galle podzielone jest na część tubylczą i europejską. Ta pierwsza leży na poziomie morza, a druga nieco wyżej na rafie koralowej i ciągnie się w kierunku stojącej w głębi lądu latarni morskiej. Z hotelu Madras położonego jeszcze wyżej niż kościół można obserwować port z cumującymi w nim statkami prawie wszystkich pływających bander.

Tym razem mój pobyt w Point de Galle nie trwał dłużej niż od ranka przybycia do następnego wieczora, a więc tylko jedną noc, a noc ta nie okazała się zbyt przyjemna. Ponieważ lubię mieszkać w dużych, jasnych pokojach, zdecydowałem się na pokój na drugim piętrze, a Sejjida Omara ulokowałem na pierwszym. Pokoje na górze mają tę właściwość, że nie posiadają sufitów. Dach budynku znajdujący się na sporej wysokości stanowi wystarczającą ochronę przed deszczem. Ścianki działowe nie osiągają jego wysokości, lecz urywają się na wysokości człowieka, tak, że mieszkańcy tego piętra nie mogą się wprawdzie widzieć, lecz za to wszystko, co mówią odbija się echem od wysokiego dachu i słychać ich tym bardziej głośno. W pewnym sensie mieszkało się tam bez żadnych tajemnic.

Także i tutaj, jak w każdym innym hotelu jadałem zwykle w pokoju, nie troszczyłem się o nikogo i o nic tak, że nie miałem pojęcia jacy jeszcze goście przebywają w hotelu. Od Omara dowiedziałem się, że z Pondichery przybyło żaglowcem paru Europejczyków, zamierzających udać się następnie pociągiem do Colombo.

– To żadne towarzystwo – zawyrokował. – Pozdrowiłem ich, ale nie odwzajemnili pozdrowienia, tylko mnie wyśmiali. Mahomet polecił pozdrawiać ludzi i ja pozdrawiam wszystkich ludzi, także tych, którzy nie są mahometanami. Skoro tym ludziom chrześcijaństwo zaleca wyśmiewanie się ze mnie, to lepiej zrobiliby, gdyby zostali w domu.

Nic nie powiedziałem, ponieważ Omar nie lubił pewnych ludzi, a mnie nie chciało się z nim kłócić.

– Sahib, co znaczy po angielsku *tail* – podjął Omar.

– Ogon, a także warkocz.

– *Ape* i *monkey*?

– Małpa i małpizjon.

– Tak krzyknęli za jakimś Chińczykiem, który tu mieszka i także pozdrowił ich uprzejmie przechodząc koło nich do swojego stolika – z zapalem perorował ten tak zazwyczaj niewzruszony Sejjid. – Musi tu mieszkać człowiek o nazwisku Kun-Nen, chiński cesarz, a także pewny Tuan, ojciec następcy tronu i ktoś nazywający się Nug-Lu, starszy sierżant. Powinno dojść do wielkiego mordobicia. Mówią o tym, śmieją się, cieszą i piją wino. Nic mnie to nie obchodzi, ale nie sądzisz sahib, że powinienem odszukać tego Kun-Nen i ostrzec?

– On tutaj nie mieszka. Źle zrozumiałeś. Lepiej schodź im z drogi! To najlepsze co możesz zrobić – pouczyłem go ze śmiechem.

Ponieważ wcześniej rano zamierzałem wyruszyć konno do Paragody, położyłem się wcześniej spać. Lecz nie zdążyłem nawet zamknąć oczu, gdy ktoś wrzeszcząc przeraźliwie z łomotem wbiegł na górę. Najwyraźniej ludziom mieszkającym niżej przestało się tam podobać i teraz wbiegli na moje piętro. Usadowili się w pokoju sąsiadującym z moim. Świątowali jakieś wydarzenie, które najwidoczniej napawało ich rozkoszą. Gospodarz musiał dostarczyć szampan i koniak oraz sam ich obsługiwać, ponieważ rzekomo byli džentelmenami, dla których kelnerzy syn-galezcy czy tamilszy zadawali się być zbyt niskiego stanu.

Przekonałem się, że tak zwani *pionieers of the civilisation* nie zawsze należą do najlepszego towarzystwa i że szczególnie w miastach portowych nie można oczekiwać spotkania z wyłącznie następcami tronu. W salonach i na pokładach promenadowych pierwszej klasy parowców Lloyda panoszą się nawet tacy podróżni, których grubiańskie zachowanie pasuje raczej zupełnie gdzie indziej i często się zdarza, że obserwując nadpływający statek ustawi się przed wami dama depcząc wam po nogach, chociaż po obu stronach jest wystarczająco dużo miejsca. Wiem także, że większość owych „towarzyskich zwyczajów” pochodzi z określonych okolic, gdzie zostały ukształtowane. Wiem, że tacy ludzie w swoim wynoszeniu się zasługują w najlepszym razie na pobłażliwość i wybaczenie. Lubię stawać się szczególnie łagodny wobec nich, ponieważ oni najbardziej potrzebują łagodności. Właśnie dlatego zdecydowałem, że bez reakcji pozostawię ten hałas w sąsiednim pokoju, który tymczasem przechodził w prawdziwy raban.

Ale nie było to takie proste wytrwać w tym postanowieniu. Wino rozgrzewało, a koniak rozniecał ogień. Wyrastały ponad miarę duchy fałszywie pojętego patriotyzmu. Głośna rozmowa, wracająca do innych pokoi tym głośniejsza, że odbita echem od dachu. Wrzeszczano wymyślano, ryczano i krzyczano z całych sił, potem nawet zaczęto rzucać butelkami i szklankami o ściany. Wtedy nie wytrzymałem; wstałem, ubrałem się i wyszedłem na zewnątrz z zamiarem udania się do gospodarza i poproszenie o inny pokój. Znalazłem go na pierwszym piętrze rozmawiającego z Sejjidem Omarem, który zaniepokojony dzikimi hałasami odszukał go w trosce o mnie. Niestety nie było innego pokoju. Parowiec, który niedawno przybył, przywiózł nowych gości i tylko z wielkim trudem udało się ich pomieścić. W całym domu panowało wielkie wzburzenie zachowaniem się tych ludzi i zewsząd słychać było pogroźki, że trzeba będzie poszukać sobie innego hotelu. W końcu gospodarz postanowił, że pójdzie poprosić o spokój. Był on jednym z licznych wschodnich właścicieli hotelu, na których słowo „dzentelmen” wywierało nieodparty urok.

Wspięliśmy się na piętro, Sejjid Omar wraz z nami. Chciał się osobiście przekonać, czy jego ukochany sahib rzeczywiście będzie miał upragniony spokój.

Tymczasem hałas ustał. Słychać było tylko pojedynczy głos. Mówiący nie był Europejczykiem, ponieważ posługiwał się używanym w Chinach Południowych, a zwłaszcza w okolicach Kantonu, tak zwanym „pidgin-angielskim”.

– To ten Chińczyk, który mieszka po drugiej stronie, obok nich – wyjaśnił gospodarz.

Słychać było, jak ów Chińczyk w bardzo uprzejmy sposób prosił, aby się uciszeli, że oprócz nich są w hotelu jeszcze inni goście i że jest już późna pora i czas pójść spać. W odpowiedzi usłyszeliśmy gromki wybuch śmiechu. Ktoś zaczął walić pięścią w stół i dzielącą ich ścianę, a potem padło pod adresem Chińczyka obraźliwie przewisko. Gospodarz, który wszedł do środka poprosił, aby jednak spełnić to życzenie.

– Spełnić jego życzenie? – krzyknął któryś z nich. – My, którzy właśnie udajemy się do Chin, aby tym małym z warkoczykami przynieść cywilizację i wykształcenie, my mamy być posłuszni temu facetowi? Dobre sobie! Nie pozwolimy na to!

– Dobre sobie! Nie pozwolimy na to! – ze wszystkich stron dobiegły podobne pogroźki.

– Obok mieszka pewien Niemiec, który także złożył skargę! – nie poddawał się gospodarz.

– Niemiec? Ach, mamy nadzieję, że zrozumiał, co sądzimy na temat Niemców! Niech spokojnie poczeka, to usłyszy więcej. Jeśli chce spać, to niech się...

– Zaczekajcie! Chińczyk! – wrzasnął inny. – Przyprowadźcie go tutaj! Niech się napije koniaku i przeprosi!

„Syn środka” wyszedł ze swego pokoju i zbliżył się do nas. Musiał po drodze minąć drzwi sąsiadów. Niestety gospodarz zostawił je otwarte i został zauważony. Dzentelmeni nie posiadali się z radości słysząc tę propozycję. Otoczyli kołem Chińczyka i próbowali wepchnąć do pokoju. Był mały, drobny mężczyzna, a jego obszerna chińska szata utrudniała mu obronę. Dwóch chwy-

ciło go za warkocz, inni go popychali. Tego już nie mogłem spokojnie oglądać. Gospodarz ze strachu nie powiedział ani słowa. Wmieszałem się więc i poważnym lecz uprzejmym tonem wyjaśniłem, że nie przystoi dżentelmenowi ograniczać Chińczykowi jego wolności osobistej.

– Kim jest ten bezczelny człowiek? – spytał ten, który przed chwilą miał tak znakomitą propozycję.

– To ten Niemiec – odrzekł gospodarz.

– Także musi do nas przyjść i niech prosi o wybaczenie! Chwycił mnie za ramię. W żadnym razie nie był pijany, lecz tylko na lekkim rauszu. Trudno uwierzyć, ile tacy ludzie mogą wypić, a jeszcze nie być pijanymi.

– Proszę mnie nie dotykać! – ostrzegłem go. – Niech mnie pan puści, sir!

Wtem drugi złapał mnie za gardło. Znajdowaliśmy się niedaleko schodów. Uderzyłem go pięścią w żołądek tak, że odleciał na przeciwległą ścianę i uwolniłem się od tego, który trzymał mnie za ramię. Czterej pozostali rzucili się na mnie. Usiłowałem za pomocą ciosów trzymać ich z daleka. Za mną rozległ się głos Sejjida Omara mówiącego po arabsku:

– Sahib, mogę?

– Tak – odpowiedziałem – Wszystkich sześciu zrzucimy ze schodów i na górze zapanuje spokój.

Mówiąc to podbiegłem do stojącego najbliżej mnie. Nie spodziewał się tego i zanim zdążył pomyśleć i wyswobodzić się z mojego uchwytu już leciał ze schodów. Co to był za widok widzieć mojego Sejjida w akcji. Tak skakał wokół tych facetów, że w końcu znaleźli się pomiędzy nim a schodami, a wtedy chwycił pierwszego z brzegu za nogę i pierś. Jeden ruch, jedno machnięcie i już następny toczył się po schodach, za nimi podążyli następni dwaj. Na górze pozostało już tylko dwóch dżentelmenów, którzy teraz natarli na nas. Wywiązała się krótka bójka i otrzymaliśmy parę nieszkodliwych ciosów, które w żadnym razie nie przeszkadzały nam zrzucić i ich.

– To była robota, o której mówiłem dzisiaj wieczorem – zaśmiał się Sejjid Omar. – Gotów, sahib! Już nawet nie musisz ich dotykać, biorę to na siebie. Stanę tu na schodach i biada temu, który odważy się wrócić!

Dziwnym trafem żadnemu z nich nie przyszło nawet do głowy tego spróbować. Czyżby prawdziwą było prastara mądrość, że ludzie, którzy chętnie się biją, tak naprawdę nie są odważni? Słysząc ich było, jak z dołu krzyczeli jakieś groźby, a potem zeszli na dół do salonu, aby tam przespać porażkę. Zaprowadzający cywilizację w Chinach zostali tymczasem załatwieni!

– Niech się ktoś próbuje przeciwstawić niemiecko-arabskim pięściom! – odezwał się Sejjid Omar, którego twarz była jednym wielkim uśmiechem.

Chińczyk przez cały czas stał z boku i teraz skinieniem przywołał mojego służącego, aby mu coś powiedzieć. Następnie złożył mi głęboki, ceremonialny ukłon i wrócił do swego pokoju.

– Kazał mi ciebie poprosić o pozwolenie przysłania ci jutro rano karty wizytowej – wyjaśnił Omar. – Więcej nie byłem w stanie zrozumieć, bo jego angielski w ogóle niczego nie przypomina. Co robimy teraz?

– Idziemy spać – odpowiedziałem.

– Dobrze! A jak ci grubianie zechcieliby wrócić, to znowu zrzucimy ich ze schodów. *Leltak sa 'ide!* Niech twoja noc będzie błogosławiona!

Odszedł bardzo z siebie zadowolony.

Ponieważ Chińczyk miał mi rano przysłać swoją kartę, nie mogłem oczywiście wybrać się na zaplanowaną wycieczkę do Paragody, bo po wydarzeniach dzisiejszej nocy można było oczekiwać, że pośpi dłużej niż zazwyczaj i jego wizyta nastąpi nieco później. Ja, przeciwnie, już wcześnie rano obudziłem się rześki i wybrałem się na spacer do latarni morskiej. Szło się do niej w dół schodami pomiędzy opalonymi w czasie jakiegoś pożaru skałami, między którymi znaleźć



można rzadkie muszle, korale i inne „owoce morza”. Wróciwszy stamtąd dowiedziałem się od gospodarza, że tych sześciu Europejczyków bez rozgłosu opuściło hotel i udało się na dworzec. Nie mieli widać ochoty pozostać dłużej w miejscu swych bohaterskich wyczynów.

Po pewnym czasie Sejjid Omar przyniósł mi kartę wizytową Chińczyka, z nazwiskiem Fang. Była to stara, znana rodzina, do której należał właściciel karty. Prawdopodobnie jej początki datują się na czasy cesarza Hung-ti, który przed prawie pięcioma tysiącami lat wprowadził do Chin nazwiska. Pod pieczęcią z nazwiskiem znajdowały się pozostałe personalia napisane tuszem za pomocą pędzelka. Tytuł Tschi Schi, coś w rodzaju naszego „doktor”, oznaczał najwyższą godność literacką, a z dopisku Tschuan Nyan - prymus, wywnioskowałem, że z pośród sześciu tysięcy egzaminowanych i trzystu pięćdziesięciu doktorantów najlepiej złożył egzamin. Następnie przeczytałem, że był członkiem Han Lin Nan, Kolegium Literatury, z którego cesarz wybiera urzędników na najbardziej odpowiedzialne stanowiska. Był tam także tytuł członka Kuch Tse Kien, chińskiej Akademii Nauk. I tego znakomitego człowieka ci „dżentelmeni” poniżyli, ciągnąc za warkoczki!

Cała karta wizytowa napisana była chińskimi znakami. Pod spodem znajdowało się po angielsku, lecz z chińską uprzejmością:

*Objęty słonecznym blaskiem, wielce wytworny i tryskający dobrocią obrońca z niemieckiego kraju, najszlachetniejszych mieszkańców zachce zezwolić, aby Fang, najnędzniejszy, najmniej zacny i niegodny pośród Chińczyków przyszedł do niego i wyraził mu swoją wdzięczność. Nie spodziewam się, aby pan z tak starej i znakomitej rodziny raczył odpisywać niskiemu proszącemu. Wystarczy słowo służącego.*

Poleciałem Omarowi prędko przynieść dwie filiżanki herbaty, a potem przekazać Chińczykowi, że z przyjemnością go przyjmę. Panowie Fu i Tsi żyli w Kairze na modłę zachodnią i nie oczekiwali uwzględniania ich ojczystych obyczajów. Lecz tutaj przysłano mi kartę, nie chciałem uchodzić w oczach Chińczyka za „zachodniego barbarzyńcę”. Podawanie herbaty należało do dobrych obyczajów. Oczywiście nie ma zwyczaju picia jej, przeciwnie – gdy tylko gospodarz lub gość podniesie filiżankę do ust należy uznać wizytę za skończoną.

Przyniesiono herbatę, ale Chińczyk nie nadchodził. Czyżby chciał wystawić mnie na próbę? Posłałem Omara raz jeszcze, a gdy i teraz się nie zjawił, posłałem go raz jeszcze, lecz tym razem poszedłem razem z nim, jednak tylko do połowy drogi. Zatrzymałem się w oczekiwaniu na gościa. Wreszcie wynurzył się z pokoju i podszedł do mnie raz po raz głęboko się kłaniając. Skłoniłem się także i poprowadziłem go do drzwi mojego pokoju.

Ponownie nastąpiły ukłony, aż w końcu skłoniłem go by usiadł. Zająłem miejsce po jego prawej stronie, ponieważ lewa jest miejscem honorowym. Omar postawił przed nami filiżanki z herbatą i wyszedł.

Do tej pory nie zamieniliśmy jeszcze ani jednego słowa. Milczałem celowo, ponieważ stojący wyżej powinien zacząć rozmowę. Miałem wrażenie, że w milczeniu walczą dwa *savoir-vivre*: wschodni i zachodni, a ja byłem mocno zdecydowany zostać zwycięzcą. Minęły trzy, cztery, pięć minut, które w innych okolicznościach sprawiłyby, że poczułbym się niezręcznie, lecz teraz sprawiały mi przyjemność. Widziałem po nim, że tak jak i ja powziął silne postanowienie okazania się uprzejmiejszym i pewnie jeszcze dzisiaj siedzielibyśmy tak, dwaj mężczyźni z charakterem, w Point de Galle nie otwierając ust, gdybym nie sięgnął po filiżankę. Uczyniłem to bezwiednie, tylko po to, aby coś zrobić. Spojrzał na mnie, czy mam zamiar się napić. Gdy tego nie uczyniłem, także położył rękę na swojej filiżance, lecz i on nie wypił łyka. Wtem przyszła mi do głowy pyszna myśl. Kto drugiemu pozwala mówić, samemu nie odzywając się ani słowem,

uchodzi za uprzejmiejszego. A co będzie, jeśli zakończę tę wizytę, zanim jeszcze powiedziane zostało choć jedno słowo? Musiałbym się naturalnie napić, a to nie byłoby zbyt uprzejme. Lecz i on także trzymał rękę na filizance. Czyżby to on miał okazać się nieuprzejmym? Z pewnością nie. Albo może naśladował tylko moje ruchy, aby napić się równocześnie ze mną? Jeśli taki był jego zamiar, to wizyta zakończy się bez jednego słowa. A ponieważ żaden nie dał znaku do zakończenia, tak więc każdy z nas stanowił dosłownie uosobienie najbardziej wyrafinowanej chińskiej uprzejmości. Wykonałem nieśmiałą próbę unosząc minimalnie filizankę, on uczynił to samo. Podniosłem ją do ust, on także. Następnie upiłem łyk, on jednocześnie ze mną. Wstałem, a on w tej samej chwili tak samo. Potem pokłoniliśmy się stojąc naprzeciwko siebie, wykonaliśmy ukłon trwający tak długo, aż w końcu on idąc tyłem i cały czas w ukłonie, opuścił pokój.

W ciągu całego przedpołudnia nie ujrzałem go ani raz. Po południu pojawił się nagle naprzeciwko mnie jadąc rikszą po głównej ulicy w tubylczej części miasta. Ujrawszy mnie kazał zatrzymać, wysiadł i ukłonił się tak nisko, że spadła mu z głowy mała, czarna czapeczka. Poza ojczyzną nie nosił ani kapelusza, ani mandaryńskiego guza. Co za szczęście dla jego towarzyskiego sumienia, że nie byłem Chińczykiem, w innym razie bowiem, odsłonięcie głowy, stanowiłoby ciężką dla mnie obrazę.

Ale skąd, spytacie, taka uprzejmość wobec mnie, która według kryteriów europejskich jest tak przesadna? Dlaczego tylko dla mnie wysiadł z rikszy? Wyjaśnienie tego miało przyjść później.

Przeznaczone nam było spotkać się wcześniej niż przypuszczaliśmy. Kiedy wieczorem w Kolombo wszedłem do mojego pokoju, była już tam dzisiejsza poczta, między innymi list, który spowodował, że postanowiłem wydłużyć moją trasę podróży o odcinek Cejlon – Sumatra. Musiałem wyruszyć możliwie szybko, najlepiej następnym statkiem. W porcie dowiedziałem się, że niemiecki parowiec towarzystwa żeglugi Lloyda odpłynął już do Singapuru, lecz pojutrze wypływa austriacki, który zawija także do Penangu. Zdecydowałem, że zaokrętuje się na austriackim.

Następnego dnia zakomunikowałem moją decyzję Sejjidowi Omarowi, powiedziałem mu jak daleko leży Sumatra od Cejlonu i o ile zostanie przedłużona nasza podróż, po czym zapytałem, czy chce ze mną jechać. Jeśli nie, to mógł wracać, na mój koszt.

– Sahib, nie rób mi tego i nie każ mi wracać! Przemierzę z tobą cały świat! Proszę cię tylko, daj mi pięć funtów, bo chcę je wysłać ojcu.

– Dobrze, a wiesz w ogóle ile ci jestem winien?

– Nic mi nie jesteś winien, zupełnie nic. Nic nie przeliczam, bo wierzę, że mnie nie oszukasz.

Muszę zaznaczyć, że tylko wtedy żądał ode mnie pieniędzy, gdy chciał je wysłać do domu. Wiele razy już się z nim rozliczałem i wypłacałem mu jego wynagrodzenie, lecz gdy tylko ujrzał tyle sztuk złota, zaczynał się bać i prosił mnie, abym je dla niego przechował. Jego dzienna stawka wynosiła pięć marek, a ponieważ ja odpowiadałem wręcz za wszystko, to nie potrzebował prawie na nic wydawać i mógł odkładać wszystkie pieniądze. Gdy zbroił coś i chciałem go ukarać, nie było dla niego gorszej kary niż wypłacenie mu wszystkich jego pieniędzy. Zaczynał się pocić ze strachu i nigdy nie zapomnę jaką miał minę przy naszym rozstaniu, gdy upychał w kieszeniach dwa tysiące franków.

– O sahib! – mówił – Weź je z powrotem! Podaruję ci je. Ale pozwól mi zostać z tobą!

Jego przywiązanie do mnie można było wyjaśnić naszym długim przebywaniem z sobą, lecz on okazywał mi je od pierwszego razu, a przyczyny tego nie mogłem zgłębić. Odkrył ją dopiero tutaj, w Colombo. Było to tak. Adres jego ojca musiał być napisany po angielsku, a ponieważ on nie potrafił, robiłem to za niego. Potem dałem mu te pięć funtów i zrobiłem uwagę, że jego troska o ojca zawsze bardzo mnie radowała. Przez chwilę walczył ze sobą nie chcąc czegoś wyjawiać, aż w końcu wydusił:

– Sahib, muszę ci coś wyznać. On cię zna, zna bardzo dobrze, chociaż cię nigdy nie widział.  
– To jak może mnie znać?  
– Właśnie to chcę ci powiedzieć. W Kairze jest cała masa niewidomych. Powiedz uczciwie: czy przeszedłeś chociaż raz koło nich i nic im nie dałeś?

– Nie, to moja słabość.

– Ale słabość, dla której nasz islam ma czujne oczy i wdzięczne serca. Jego podstawową zasadą jest dawać jałmużnę. A jak chrześcijanin daje tak często i tak chętnie jak ty, to po krótkim czasie staje się znany, mimo że tego nie zauważa. Już parę dni po twoim przybyciu do hotelu Continental stałeś się od Szaria el-Fagallach aż do Me-idan Abdin i od Kantara el-Bulak aż do Derb el Gamamis tym „Niemcem, który daje wszystkim ślepcom”. Z tego powodu ciągle spoglądałem na ciebie, gdy na tarasie piłeś kawę, a gdy za Bab el-Ghorajib odbywała się doroczna *dżemma el Imjahn*, zebranie niewidomych, to wiele o tobie mówiono i opowiadano, a także modlono się za ciebie do Allaha, chociaż wszyscy wiedzieli, że jesteś chrześcijaninem. Miłość czyni równymi wszystkich ludzi! Wtedy mój ojciec zapragnął cię poznać. Chciał przynajmniej usłyszeć cię mówiącego. Przeszedł więc pewnego razu i siedział ze mną prawie pół dnia, bo miał nadzieję, że przyjdiesz i wynajmiesz osła ode mnie. Lecz ty stale mnie mijałeś, a ja zawsze cię pozdrawiałem.

– Tak, zawsze byłeś bardzo uprzejmy. Lecz raz chciałem się zatrzymać przy tobie. Nie widziałeś tego, bo cię nie było.

– Tak, ale ten ślepiec opowiadał mi o tym.

– Siedział w pobliżu twego stanowiska, przy metalowym ogrodzeniu Esbekiji, stary, schludnie odziany człowiek z siwą brodą. Dałem mu trochę drobniaków, ale on nie chciał ich przyjąć, ponieważ nie był żebrakiem, więc je wziąłem z powrotem i nawiązała się rozmowa.

– Tak, właśnie to, że wzięłeś pieniądze tak go ucieszyło. To nie były drobniaki, ale sztuka srebra. A jeszcze bardziej uradowały go twoje słowa: „Dałem ci je, więc były twoje. A teraz ty mi je dajesz, a ja ci dziękuję, bo ja obdarowałem ciebie, a ty mnie”. A potem, wcale nie odszedłeś, lecz usadowiłeś się obok niego na kamieniu i zacząłeś z nim rozmawiać. Mówiłeś o duchowej ślepotcie, która jest jeszcze gorsza od fizycznej, a potem o oczach duszy, które u niewidomych są przenikliwsze i widzą więcej niż u widzących. Opowiadałeś mu o niebie i o gwiazdach, o których do tej pory nie miał pojęcia, bo mieszkały w jego sercu, a on o tym nie wiedział. A gdy chyba po godzinie uściśnąłeś mu rękę i odszedłeś, wsłuchiwał się w twoje kroki zanim nie zamilkły. Wydawało mu się, że nagle odzyskał wzrok, bo niebo i gwiazdy, o których mu opowiadałeś weszły w nim i po dziś dzień podziwia ich wspaniałość, chociaż przed jego oczyma nadal panuje ciemność.

Pocziwy Sejjid stał się bardzo poetycki. Zdawało mi się, że względem tego niewidomego żywi jakieś cieplejsze uczucia. Dlatego pozwoliłem sobie na uwagę:

– Niestety potem już go tam nie widziałem. Nigdy więcej nie pojawił się w tym miejscu.

– Nie przyszedł więcej, ponieważ jego serdeczne życzenie wreszcie się spełniło, usłyszał cię, albo jak sam mówi – zobaczył.

– Myślałem, że było to życzenie kogoś innego, twój ojciec mianowicie, tak przecież mówiłeś.

– Oczywiście! Właśnie mój ojciec był tym niewidomym. Kiedy się dowiedział, że szukasz służącego, kazał mi się u ciebie zameldować. Wcale nie musiał mi kazać i bez tego zrobiłbym to chętnie. A jaki był szczęśliwy, gdy po naszym powrocie spod piramid powiedziałem mu, że mnie przyjąłeś. Sądziłeś, że nie zwróciłem uwagi, ale od razu wiedziałem, że wystawiasz mnie na próbę podczas tej konnej przejażdżki. Mój starszy brat, który już nie żyje, był *saisem* -objeżdżaczem przy kediwie. Tygodniami przebywałem u niego i wolne mi było dosiadać najpiękniejszych koni.

W końcu nauczyłem się jeździć. Z każdego miejsca, do którego dotrzemy, piszę list do ojca. Zawsze znajdzie się ktoś, kto mu go przeczyta. Cieszy się, gdy mu opowiadam o tobie i donoszę, że jesteś ze mnie zadowolony. O sahib. gdybyś kiedyś zechciał napisać do niego chociaż jedną linijkę! Co to byłoby za radość dla niego!

– A więc nie zanoś jeszcze pieniędzy na pocztę, tylko poczekaj chwilę! Zaraz napiszę do niego nie jedną linijkę, ale cały list.

Wówczas, jak wtedy w Kairze, chwycił moją dłoń i pocałował, zanim mogłem mu w tym przeszkodzić. A przecież jakie to proste być dobrym i przyjacielskim; a jak ciężko przychodzi to niektórym ludziom, a jak wielu jest do tego niezdolnych! A jak opłaca się tę trochę dobroci i przyjaźni do ludzi! Ofiarowałem ślepcowi pieniądze, których nawet nie chciał przyjąć. A zapłata? Służący, ofiarny i świetny służący, jakiego ze świecą bym nie znalazł. Ale taką nagrodę dostaje się tylko wtedy, gdy się o niej nie myśli.

## W drodze do Penangu

Austriacki parowiec przybył bez opóźnienia. Miał niewielki ładunek i niewielu gości na pokładzie.

W każdym razie wraz ze mną zaokrętowała się pewna ich liczba, mianowicie Fang, ten Chińczyk, owych sześciu dżentelmenów, których w Point de Galle zrzuciliśmy ze schodów, a także większość tych Europejczyków, którzy w Kolombo tak stratowali tubylców. Płynęli w okolice, która z utęsknieniem oczekiwała na przybyszy umiejących polepszać i uszlachetniać. Dlaczego nie woleli płynąć jakimś niemieckim statkiem, łatwo się mogłem domyślić. Niestety byłem zmuszony siedzieć z nimi przy jednym stole. Rozpoznawszy mnie postanowili natychmiast zemścić się na nas. Jednak nie zaczęli ze mną tylko z Omarem. Był, według utartych zwyczajów, gościem trzeciej klasy, lecz jako mój służący przebywał dużo na pokładzie i w pomieszczeniach pierwszej klasy. Od razu poskarżyli się na to kapitanowi, dając mu energicznie do zrozumienia, że nie będą w swym otoczeniu tolerowali podróżnych trzeciej klasy. Udzielono mi informacji, że nic przeciwko temu nie będą mogli zrobić. Na wszystkich, także na angielskich liniach jest w zwyczaju, że podróżujący mogą mieć przy sobie służbę tylko w ciągu dnia, jeżeli zapłacą wyższą kwotę za podróż. Uczyniłem to. Omar, który zaprzyjaźnił się z obsługą statku, mówiącą głównie po włosku, aby jak najwięcej nauczyć się języka, dowiedział się o skardze i natychmiast powiadomił mnie o wszystkim.

– Ci ludzie są niedoświadczeni jak dzieci, – powiedział – które nie wiedzą nawet tego, jakie zwyczaje panują na statkach. Uważają się za lepszych od Arabów. Kiedyś złościłoby mnie to, ale teraz jestem Sejjid Omar i tylko im współczuję.

I na tym sprawa byłaby dla nas zakończona.

Z Fangiem nie spotkałem się do tej pory. Cierpiał na chorobę morską i nie wychylał nosa z kabiny. Także obawa przed owymi dżentelmenami przyczyniła się z pewnością do tego, że tak uporczywie pozostawał na dole. Przypuszczenie to okazało się całkowicie uzasadnione. Dowiedziałem się tego ostatniej nocy na statku. Jeśli o mnie chodzi, to ci panowie dopuszczali się niezliczonych złośliwości pod moim adresem, starali się na każdym kroku utrudniać mi życie, ale nie robiło to na mnie większego wrażenia.

Nasz parowiec potrzebował pięciu dni na dotarcie z Colombo do Penangu. Wyruszyliśmy w sobotę, a w czwartek byliśmy na miejscu. Ostatniej nocy nie poszedłem spać, lecz zostałem na pokładzie i pisałem. Kapitan z mego powodu wydał polecenie, aby nie gasić światła. Był wielkim przyjacielem ptaków i obok swojej kajuty umieścił znaczną liczbę tutejszych ptaków w pięknie wykonanych klatkach. Gdy tylko obowiązki mu na to pozwalały, kazał sobie ustawiać stół koło swoich pupilów, siadał tam i zajmował się nimi. Ja także kocham ptasi świat. Zauważył to i

wkrótce nie siedział samotnie przy stole. Stąd także ta uprzejmość, aby podczas ostatniej nocy zaopatrzyć mnie w światło do pisania.

Było to cudownie piękna, południowa, morska noc. Coś takiego trzeba przeżyć, bo opisać się nie da. Na południowym niebie gwiazdy są mniej widoczne niż na północnym, lecz wydają się większe i przez to bliższe ziemi. Morze rozbłyskuje jasnym blaskiem, a zagadki nocy przystępują do ludzi z prośbą o rozwiązanie, wyraźniej niż gdziekolwiek indziej. Lecz mimo jego całej, dumnej wiedzy i przenikliwego myślenia, człowiek jest wobec tych tajemnic niczym.

Jest w stanie tylko przeczuwać i mieć nadzieję. A gdy zdarzy mu się, że zstąpi ku niemu anioł wiary i szepnie, że to przeczucie może stać się prawdą, a nadzieja może się spełnić, to niech przyjmie ten głos z pokorą.

Północ już minęła, gdy za sobą usłyszałem szelest. Obejrzałem się i ujrzałem Fanga, który wchodził po schodach prowadzących do kabin. Spozrzegłszy, że go zauważyłem ukłonił się i czekał, czy zagadnę. Pozdrowiłem go po angielsku. Ukłonił się raz jeszcze i odpowiedział:

– To, że wybrał pan akurat ten język, stanowi dla mnie palec boży. Czy nie przeszkadza panu, że wyszedłem na górę i zażyłem trochę ruchu?

– Nie.

Ukłonił się po raz trzeci, odwrócił i znów zaczął spacerować. Trwało to może godzinę; potem skierował się ku schodom w dół. Musiał mnie minąć i uczynił to z takim ociąganiem, jakby chciał mi coś powiedzieć. Odłożyłem więc pióro i spojrzałem na niego pytająco. Wtedy odezwał się:

– Pan pracuje, a ja panu przeszkadzam. Prawda?

Wstałem z krzesła mówiąc:

– Tak pracuję, ale rozmowa z panem sprawi mi prawdziwą przyjemność.

– To uprzejmie z pana strony, ale poznaję po głosie, że to prawda. Wcześniej rano dopłyniemy do portu, a moje serce mówi mi, że najwyższy czas, abym panu wyznał, iż powstrzymał mnie pan od pochopnego wniosku na temat zachodnich narodów i ich form życia, jaki może zawarłbym w książkach, które mam zamiar napisać. To, co przeżyłem do tej pory, w żadnym razie nie nadało się do tego, aby się nimi zająć; pańskie zachowanie w Point de Galla ukazało mi, że w napływającej do nas mętnej, europejskiej wodzie znajduje się kilka przejrzystych, czystych kropeł pozwalających mieć nadzieję na coś lepszego niż do tej pory myślałem.

Taki wstęp pozwalał oczekiwać dłuższej rozmowy. Dlatego poprowadziłem go na ustronną ławeczkę przy balustradzie, gdzie nie dochodził ostry blask elektrycznego światła. Nie robiąc zbędnych ceremonii usiedliśmy i ja odpowiedziałem:

– Historia pańskiego kraju oczywiście nie predestynuje pana do tego, by głosił pan miłość do nas. Ale może być pan przekonany, że nie wszyscy z Zachodu, którzy odwiedzają pański kraj jedynie w tym celu, aby go wyeksploatować są *runner*, *loafer* czy *rowdiest*, czyli nierobami, awanturnikami i przemytnikami. Tutaj, na Wschodzie, narodziła się niegdyś chrześcijańska miłość. Niejeden z nas przybywa tu, aby badać jej ślady. A kto tak czyni, ten szanuje prawa każdego, jest uczciwy i sumienny nawet wobec najbardziej egzotycznych współziomków. Sądzę, że nie skłamię, jeśli zaliczę się do takich właśnie. Kocham pański naród, z pewnością nie mniej niż każdy inny. Mój zawód tak jak pański, polega na pisaniu książek. I zaręczam panu, że nigdy nie będę chwalił swojego narodu kosztem innych bez wcześniejszych badań.

– Pan kocha mój naród! – powtórzył moje słowa. – Czy może być prawdą, że ktoś, kto nie jest Chińczykiem wyrzekł te słowa? Każdy inny naród cieszy się jakimś szacunkiem, jedynie chiński nie. Czym na to zasłużyliśmy? Cóż złego uczyniliśmy innym? Barbarzyńcy dzisiaj wycinają się w pień, a jutro całują się serdecznie. Czy kiedykolwiek zwalczaliśmy ich bądź oszukali tak, jak oni siebie nawzajem? Nastawaliśmy na ich kruszce, na owoce ich pól, na zdobycie techniki? Nie!

Czy potrzebujemy w ogóle czegokolwiek od nich? Nie i jeszcze raz nie! Tak więc pytam: z jakiego powodu czują się w prawie wnikać jak bakcyle przez cielesne i duchowe pory w ciało i duszę naszego narodu i na tak zwanym „żółtym” człowieku dopuszczać się podobnego mordu, jakiego dopuścili się na „czerwonym”?

Mówił bez gniewu i półgłosem, jakby mówił sam do siebie. Czy i jego dusza była tak samo nieczuła i spokojna? Ponieważ nie odpowiadałem, ciągnął dalej:

– Wiem co pan powie: narody muszą jakoś ze sobą współżyć! To wielka prawda. Ale najbiedniejszy i najmniej znaczący człowiek posiada w pańskim kraju tak zwane prawo domu. Prawo broni go przed każdym, kto bez pozwolenia chce do niego wtargnąć. To prawo ma każdy człowiek, każda wieś, każde miasto, każdy kraj. Czyżbyśmy tylko my go nie mieli? Takim historycznym kłamstwem jest twierdzenie, że nadużyliśmy tego prawa. Przyjęliśmy do siebie azjatyckie narody, które mieszkają u nas po dziś dzień, chociaż mają inną religię i inną kulturę. Próbowaliśmy uczynić to także z barbarzyńcami. Byli u nas mile widziani i obdarowani wysokimi godnościami i urzędami. A jak nam podziękowali? Dziś przyjęliśmy ich do siebie, a już nazajutrz rzucili się chciwie na nasze serca, aby zadomowić się nie tylko w naszym kraju, lecz także w naszych duszach. Ci nieliczni obcy, którzy u siebie w domu nienawidzą się wzajemnie i zwalczają z powodów religijnych; oni, którzy od początku aż po dzień dzisiejszy zraszają swą wyrafinowaną cywilizację krwią swych własnych braci; oni, których podziwiana przez wszystkich mądrość nie doprowadziła dalej niż do stwierdzenia, że nie Bóg rządzi światem; roztrąbiony na cały świat humanitaryzm nie jest niczym innym jak zakamuflowanym egoizmem. Oni, których instytucje państwowe są tak przeżarte anarchizmem, nihilizmem i podobnymi chorobami, od których my jesteśmy wolni, że ledwie mogą się przed nimi obronić; przybywają do nas, którzy liczymy setki milionów i posiadamy pięcioletnią kulturę i chcą nas zmusić do ofiarowania naszej religii w zamian za ich, skłóconą w sobie. Burzą swymi działaniami nasze wieże, mury i domy, aby wpoić nam swoje lepsze wykształcenie i obyczaje. Żądają od nas, aby naszą wypróbowaną filozofię zastąpić ich filozofią, która nigdy nie stała się samodzielna, lecz jeszcze do dzisiaj wisi u wyschniętej piersi obcych mamek. Zarzucają nam naganne uprzedzenia, że nie wierzymy ich zapewnieniom, iż mając tylko na uwadze nasze dobro wynaleźli swe „sfery interesów” i „otwartych drzwi”. Przypisują nam nieposłuszeństwo poddanych wobec przełożonych i buntowniczą pogardę dla ich wysublimowanych, świętych zwyczajów, a całkiem zapominają o tym, że nie traktują nas z chrześcijańską miłością i według chrześcijańskiej nauki.

Znowu przerwał. Oczekiwał ode mnie odpowiedzi, podjęcia drażliwego tematu? Chrząknąłem niezdecydowany czy odezwać się czy nie, gdy wtęm on powiedział prędko:

– Proszę nic nie mówić! Nie oczekuję żadnej odpowiedzi. Studiowałem religię i kulturę chrześcijańską. Wiem zatem, że teraz czuje się pan niezręcznie, bo z jednej strony powinien pan, jako prawdziwy chrześcijanin, bronić owych pozornych chrześcijan, a z drugiej nie może pan tego zrobić, ponieważ nie ma takiej możliwości, żeby pozór przedstawić jako prawdę. Wyjaśnijmy to sobie! Prąd, który teraz rozbija się o brzegi Chin, ma podwójną siłę: mianowicie religijną i polityczną. A przygnał go do nas jeden i ten sam wiatr – egoizm. Proszę mi teraz nie przerywać z pańskimi „zadaniami kulturalnymi”, z „obowiązkami cywilizacyjnymi” i „chrześcijańskim posłannictwem”! Są to omamy, którymi nie da się zmylić badacza stosunków międzyludzkich. Kto twierdzi o jednej tylko kulturze, że wyłącznie ona jest tą jedyną prawdziwą, ten jest w najwyższym stopniu zadufany w sobie człowiekiem i polityka jest dla niego tylko środkiem do osiągnięcia prywatnych celów. Barbarzyńcy chcą mieć całą ziemię tylko dla siebie. Nie mówmy o „uszcześliwianiu Chińczyków”! To tylko dekoracja, która działa z daleka. Chińskie pytanie należy do kategorii religijnej i rasowej. Aby najpierw pomówić o religii, to jest ona już dla nas skończona. Powiedziałem już, że chrześcijanie, których jeszcze wczoraj tak serdecznie witaliśmy, już

dzisiaj popełnili to głupstwo, że zaczęli nam dawać dobre nauki w związku z naszą religią. Byli na tyle nieświadomi, że nie podejrzewali zupełnie, jakie znaczenie ma takie pogwałcenie zasad gościnności dla narodu, dla którego zachowanie uprzejmych form w obejściu jest wszystkim. Nieuprzejmy człowiek nie osiągnie u nas niczego. Chce się nas pouczać, a samemu nie jest się pouczonym o naszym sposobie myślenia i odczuwania. Tak, było u nas paru mądrych chrześcijańskich wysłanników, którzy nas studiowali i poznawali, i którzy przekonali się, że Chińczyk może wprawdzie stać się chrześcijaninem, jeśli pozwoli mu się na jego specyfikę, lecz nigdy nie zostanie Europejczykiem. Zgodnie z tym zatem działali, nasz cesarz obsypał ich wielkimi zaszczytami i mogli donosić o owocach swojej pracy do domu. A potem zabroniono im takiego postępowania, owoce pozostały nieruszone i zgniły. Przyznaję: nie jest całkowicie wykluczone, że Chińczyk stanie się chrześcijaninem, pod jednym wszakże warunkiem, że pozwoli mu się zostać Chińczykiem.

Przy ostatnich słowach uniósł dłoń jak do przysięgi. Słysząc było, jak ważne dla niego jest to wszystko, o czym mówił. Nie zostawił mi jednak czasu na argumenty, bo natychmiast podjął znowu:

– A teraz kwestia rasowa, którą właściwie już załatwiłem mówiąc, że Chińczyk chce pozostać Chińczykiem. Pewien uczony chrześcijanin, którego uważają za inteligentnego, odwiedził niedawno Chiny i napisał o nas książkę. Można w niej przeczytać następujące zdanie: „Poeta lub artysta powinien umrzeć w szczytowym punkcie swej twórczości. Gdy tego nie uczyni, jest z nim coraz gorzej i cień późniejszych lat kładzie się na całym jego dziele. Dotyczy to także narodów, a Chińczyk dopuścił się zaniedbania i nie umarł w stosownym czasie!” Może dla europejskich uszu brzmi to dowcipnie; lecz w rzeczywistości jest to z gruntu fałszywy wyrok człowieka, który sądzi, że w dwóch słowach może się z nami załatwić, tak jak sądzi, że podczas dwóch miesięcy zdołał zakończyć studia nad naszym krajem i narodem. Jeśli poeta nadmiernie przemęczył się pracą to nie powinien umierać, lecz solidnie zjeść, a potem spać tak długo jak może, aby nabrać nowych sił. Gdy to uczyni, to po przebudzeniu ze zdwojoną siłą zabierze się do pracy. Chińczyk był na tyle mądry, że nie umarł, lecz położył się spać. Może obudził się już wczoraj, a może obudzi się dziś albo jutro. I przeciwnie, teraz dla białej rasy nadszedł czas, aby odpoczęła po cywilizacyjnych wysiłkach. Jej ciało jest cierpiące, a członki odmawiają posłuszeństwa, jej myśli błędzą, straciła wrażliwość, oczy zmętniały, a uszy nie słyszą tego, czego wcześniej tak chętnie i ochoczo słuchały. Powinna zwrócić uwagę nie na to co zewnętrzne, lecz zwrócić się do wnętrza, aby wygoić rany i podnieść się ze słabości, która jest wynikiem wyczerpania. Gdy na zachodzie zapadła noc, na wschodzie wstaje słońce. Po tamtej stronie człowiek stoi wobec zmęczonego wieczoru, a tu wstaje świeży ranek. Jeśli wymagająca wypoczynku rasa uznaje pobudliwość swych przemęczonych nerwów za siłę, a sen innej rasy za oznakę słabości, to nie jest to jeszcze powód, aby gwałtownie budzić śpiącego. Pozwólmy obudzić mu się w spokoju. Zaczyna szarzeć. My, którzy czujemy się w obowiązku, badamy i poszukujemy, a kto szuka z miłością i zapalem, musi odnaleźć prawdę. Idziemy do zachodnich narodów, aby poznać je i ich siłę. Każdy z nas ma swój wybrany kraj i swój szczególny cel. Mój został osiągnięty. Gdy inni osiągną swój w podobny sposób, to prawdopodobnie chmury gromadzące się nad Wschodem zalśnią krwawo, lecz gdy znikną, na ziemi zapanuje pokój, przynajmniej u nas. Gdy wtedy Chrystus usłucha swego ojca i uzna nas za równych, to stanie się naszym przyjacielem. Niech przyjdzie wówczas, zamieszka u nas i udziela nam swych nauk. Nie odrzuca się wiary i miłości obcego.

Wstał z miejsca i po krótkiej chwili dodał:

– Tym samym dotarłem do użytego przez pana słowa: do miłości. Barbarzyńca poucza nas, że mamy go kochać. Musi jednak także przestać traktować siebie jako jedyne dobroczyńcę, a nas wyłącznie jako jałmużników. Wiemy, że nie jesteśmy biedniejsi od niego. Jeżeli jednak nadal



będzie uznawać się za bogacza, a nas Chińczyków za biednych jak Łazarz, to może dojść do tego, że to równanie doprowadzi do takiego końca, o którym kiedyś opowiadał Chrystus. A jak mu się nawet uda, wyjść z tej potyczki zwycięsko, to ze skutków tego zwycięstwa bardzo prędko wyniesie naukę, że dusza zwycięskiego narodu nie zawsze jest zwyciężczynią lecz często także ciężko ranną.

Cofnął się parę kroków i nisko się kłaniając, poprosił:

– Proszę o wybaczenie, że pozwoliłem sobie na takie wyznanie. Pan powinien poznać niezafałszowany pogląd mojego narodu, ponieważ mam przeczucie, że pisane jest nam spotkać się raz jeszcze. Jeśli nie dopuszczałem pana do słowa, nie czyniłem tego z nieuprzejmości. Chciałem oszczędzić panu usprawiedliwień, które choć zaczynają się niewinnie zawsze kończą się przeproszeniem. Barbarzyńca myli się podwójnie; sądzi, że nas zna i myśli, że my go nie znamy. Lecz Chiny i Chińczycy pozostali dla niego zagadką, mimo tych wszystkich na chińsko podfarbowanych ksiąg, które przeczytał. Nie podjął się tej właściwości ducha, który jak latawiec ze starych podań, krąży nad naszymi krainami. Oto ma pan znaczenie naszego narodowego symbolu. W pańskich oczach latawiec ten jest brzydki, lecz dla nas jest stróżem głęboko zagrzebanych skarbów, które skryte jeszcze pod osobliwą lawą, ukażą oczom obcego, swą właściwą postać, gdy nie przyjdzie on, aby je ukraść, ale rozumiejącą dłonią sięgnie po nie i wydobędzie na światło dzienne dla wspólnego dobra. Dopiero wtedy będzie można zacząć mówić o znajomości Chin. Zachód nie stanowi dla nas już żadnej zagadki.

Wysłaliśmy już tam swoje oczy, skierowaliśmy już na niego swój wzrok nieubłagalnie przenikliwy i bezstronny wzrok. Nie uszło mu nic, co musieliśmy zobaczyć, aby widzieć grożące nam niebezpieczeństwo w całej rozciągłości, a także słabości tych którzy chcą nas reformować. A ten, kto zna siły wroga nie ma potrzeby obawiać się niczego.

Teraz i ja wstałem z miejsca. Już wyciągałem rękę, aby mu ją podać na pożegnanie, lecz on ciągnął dalej:

– Chciałby mnie pan pożegnać na swój europejski serdeczny sposób. A czy wie pan, że uczynił pan to kiedyś bardziej serdecznie i to po chińsku? Było to w trakcie mojej porannej wizyty u pana w Point de Galle. Pewnie pan nie przypuszcza, jak bardzo mnie pan uszanował swoim milczeniem. Byłem ponad każdą skargę, a zarazem ponad jakąkolwiek wdzięcznością. Prawdziwa miłość do ludzi pozwala na wytworne zachowanie nawet w najbardziej nieznanych warunkach. Tak, proszę mi podać dłoń. Uścisnę ją po przyjacielsku.

Odszedł, a ja wróciłem do pracy, przy której strawiłem czas do rana. Byliśmy na drodze do Malaki. Na południowym horyzoncie pojawił się diamentowy wierzchołek Sumatry; zbliżaliśmy się do Penangu.

Podróżni wyszli na pokład. Sejjid Omar już wnosił nasz bagaż. Uwielbiał wszędzie być jako pierwszy i uważał za niemożliwość przegapienie czasu wyjazdu.

– Co za ludzie mieszkają w Penangu, sahib? – spytał mnie przybierając sprytną minę. Wyraźnie trzymał coś w zanadrzu.

– Europejczycy, ale niedużo, następnie Hindusi, Persowie, Chińczycy, tych bardzo wielu i Malajczycy.

– Naprawdę Malajczycy?

– Tak drażni cię to? Przecież potrafisz nawet z nimi rozmawiać?

– Ja? A czy mogę udawać Malajczyka i przyjść do ciebie?

– Tak.

– Dobrze! Ty jesteś krawcem i nazywasz się Kadaja. Uwaga! Udawał, że skrobie w drzwi i wchodzi do środka.

– *Salamt paga tuwan! Apa kowa ada tukang mendjahit namanja Kadaja.* Dzień dobry panie!  
Czy jest pan krawcem Kadaja?

– *Saja tuwan,* tak panie – odpowiedziałem.

– *Apa kowe bisa menjahit satu tjelana.* Czy może mi pan zrobić spodnie?

– *Saja tuwan,* tak, panie.

– *Brapa kowe minta terri satu tjelama!* Ile żąda pan za spodnie?

– *Tiga ratus rupiajah wolanda.* Trzysta guldenów holenderskich – odrzekłem powstrzymując się od śmiechu.

Nie odezwał się słowem zastanawiając się nad czymś głęboko, po czym mruczając półgłosem zaczął liczyć na palcach, aż w końcu wybuchnął gromkim śmiechem i wykrzyknął przeplatając malajski arabskim:

– Nie, sahib, takiej sumy nie możesz żądać! Nie dam ci za spodnie trzystu guldenów. To o wiele za drogo!

– Dobrze, a więc nie uszyję ci spodni. Skąd znasz malajski?

– Od dwóch Malajczyków, krawców, którzy mieli w Kolombo pracownię obok mojej gospody. Dużo z nimi rozmawiałem. Ale język malajski ma zwroty, których trzeba uczyć się na pamięć. Poza tym ci ludzie nie podobali mi się. Chętnie się kłóca.

W tej chwili z drugiej strony pokładu rozległ się przeraźliwy okrzyk.

– Człowiek za burtą! – wrzeszczał marynarz.

Pobiegliśmy w tamtą stronę i dowiedzieliśmy się, że chodzi o jednego z tych sześciu džentelmenów. Powyłazili ze swoich kajut, aby opuścić żaluzje przeciwsłoneczne. Każdy statek, który pływa po morzach południowych, zaopatrzone jest nie tylko w przeciwsłoneczny baldachim, lecz także w przeciwsłoneczne ekrany na dziobie i u steru spuszczone po tej stronie, gdzie znajduje się akurat słońce, aby się przed nim schronić. Ale teraz było na to jeszcze zbyt wcześnie, o upale nie było mowy, a poza tym od Penangu dzieliła nas niecała godzina drogi. Szkoda więc było zachodu, a zresztą marynarze mieli sporo roboty przed zawinięciem do portu i nie mieli zamiaru spełniać nadmiernych wymagań kapryśnych podróżnych i wspinać się na reling.

W obawie przed silnymi wiatrami ekrany te są mocno przyczepione i wymaga sporo czasu ich poluzowanie. Lecz gdy ci „cywilizowani” raz coś sobie wbiją do głowy, trudno ich od tego odwieść.

Uparłszy się, że ekran ma zostać spuszczone, a żaden marynarz ich nie usłuchał, przeprowadzili swą wolę w ten sposób, że wspięli się na reling, co było zabronione podróżnym i usiłovali poluzować zasłonę. Najgłośniejszy z nich, ten sam, który w Point de Galle wysunął propozycję, aby wciągnąć Chińczyka do pokoju, stracił równowagę i wpadł do morza. Usłyszawszy przeraźliwy wrzask, obsługa podskoczyła do najbliższego koła ratunkowego i rzuciła potrzebującemu.

Z mostku rozległ się dźwięk alarmu. Na pokładzie zapanował ruch i zostały podjęte zwyczajne w takim wypadku zdecydowane kroki. Oficer dyżurny wydał komendę maszynowni: „Stop! Cała wstecz!... Stop!”, aby zatrzymać statek, a na wodę została zrzucona spuszczone szalupa ratunkowa z załogą.

Akurat gdy przybiegliśmy na drugą stronę pokładu, wyrzucono za burtę koło ratunkowe. Lecz parowiec nie zatrzymał się natychmiast i zdążył odpłynąć kawałek dalej. Nieszczęśnik za burtą wynurzał się co chwila z wody, machał rękami i znowu się zanurzał.

– Nie umie pływać? – krzyknąłem do jego towarzyszy.

– Nie! Już po nim! – odpowiedzieli wszyscy naraz. Zrzuciłem kapelusz, surdut i...

– Nie, nie ty sahib, ja! Jeśli któryś z nas ma się utopić, to niech to będę ja!

Sejjid Omar wyśliznął się z pantofli, zdjął kaftan i już wspinał się na reling.

– A umiesz pły...

– Tak! – zawołał, zanim zdołałem skończyć pytanie.

– Uważaj na rekiny! – zdążyłem go ostrzec. Tutejsze wody przybrzeżne znane są z tych krwiożerczych zwierząt.

– *Labbehk, Allah, labbehk!* Jestem tu, o Boże, jestem tu!

Tak krzyczą muzułmańscy pielgrzymi na widok Mekki; tak krzyczy mahometanin w niebezpieczeństwie; tak krzychał teraz Sejjid Omar i rzucił się do wody. Jednym susem i ja znalazłem się przy relingu. Byłem zdecydowany w razie potrzeby skoczyć także.

Tymczasem Sejjid wynurzył się z wody. Obrócił się i płynął silnie i spokojnie zagarniając wodę. Nie potrzebowałem martwić się o niego. Obrócił się i spojrzał na mnie.

– Zostań na górze, sahib! – zabrzmiał jego głos. —Allah jest ze mną!

Sejjid był mądry. Płynął dokładnie w bruzdzie, jaką zostawiała za sobą śruba statku. Płynęło mu się wprawdzie trudniej niż po spokojnym lustrze wody, lecz bruzda ta dawała Omarowi jedyną możliwość kierowania się do wypadku.

Dotarł do koła ratunkowego i przyciągnął do siebie. Ale nie był w stanie dostrzec topielca. Ja także go nie widziałem. Czyżby już zniknął w głębinie? Wtem dostrzegł jakiś przedmiot, który poruszał się energiczniej niż rzecz poruszająca się swobodnie po wodzie. Miałem nadzieję, że był to nasz pasażer. On także musiał go zauważyć. Popłynął bowiem w kierunku tego miejsca i zdołał złapać człowieka, który wyraźnie opadał z sił i coraz częściej znajdował się pod wodą tak, że każde zanurzenie mogło być ostatnim.

Tymczasem do miejsca wypadku zbliżyła się szalupa ratunkowa. Omar wytknąwszy głowę przez linę koła umieścił go sobie na plecach i płynął teraz z twarzą zwróconą ku górze, pchając przed sobą leżącego w poprzek dżentelmena, który sprawiał wrażenie nieprzytomnego. Obaj wciągnięci zostali na łódź i już holowano ich na pokład. Statek podjął przerwana drogę. Wszyscy, którzy mieli wstęp na pokład, stali tam, aby powitać bohaterów zajścia. Topielca zniesiono na dół i pozostawiono pod opieką lekarza okrętowego, a wokół Sejjida pchali się wszyscy, lecz ten szybko się wycofał. Pobiegł po swój kaftan oraz pantofle i zniknął na przednim pokładzie, aby przebrać się w suche rzeczy. Potem wrócił. Kapitan i oficerowie uścisnęli mu dłoń. Fang także spieszył, aby uczynić to samo. Marynarze kiwali do niego głowami uśmiechając się z podziwem. A pięciu dżentelmenów, którym lekarz zabronił niepokojenie chorego stali z daleka, jak zresztą pozostali „cywilizowani”, nie pojmując, że można zadawać sobie fatygi dla tak nisko postawionej osoby.

– No, sahib, umiem pływać? – spytał Sejjid, gdy wreszcie dopuszczono mnie do niego.

– Znakomicie, Omar, znakomicie! – odpowiedziałem. – Nauczyłeś się tego w Nilu?

– Tak. Ale zawsze, gdy przyjechałem do Port Said wypływałem daleko poza Francuza. To takie cudowne wiedzieć, że się nie utonie.

Przez Francuza rozumiał ponadludzkiej wielkości pomnik, jaki wystawiono Lessepsowi, budowniczemu Kanału Sueskiego.

– Ale można zostać pożartym! Weź to później pod uwagę. Sam byłem świadkiem, jak w środku portu przepłynął koło mojej łodzi rekin.

– O sahib, jeśli Allah nie zechce, to sam rekin nic nie zdoła! Islam wierzy, że przy każdym człowieku stoi dwóch aniołów stróżów. On ich wprawdzie nie widzi, lecz one go strzegą w każdym niebezpieczeństwie, a ich moc kończy się, gdy człowiek przestaje być dobrym. Wiesz sahib, myślę, że to dwóch aniołów wyciągnęło tego dżentelmena z wody, nie ja. Zrobili to moimi rękami, ponieważ umiem pływać. Czy udało się go uratować, nie wiem. Gdy do niego dopłynąłem nie dawał znaków życia. Woda miotła nim jak kawałkiem drewna. Ale bardzo bym się cieszył, gdyby udało się go uratować.

– Nasz wróg! – zauważyłem.

– Już nie Zrzuciliśmy go co prawda ze schodów, ale to była kara. Ukarany czyn znika z rejestru występków. Już nie wolno o nich pamiętać. Po co byłaby kara, gdyby nie wymazywała złych postępów? Tak sędzę, sahib. Czy pan myśli inaczej? Czy człowiekowi, który poniósł karę, ciągle jeszcze zarzuca się występki? A teraz, gdy uratowałem tego człowieka mam wrażenie, że pamięć o jego braku wychowania utonęła w wodzie. Czy można oddać komuś przysługę, a potem jeszcze o nim źle myśleć?

Przyznaję otwarcie, że jego słowa Araba i mahometanina, zawstydziły mnie. I ten Afrykańczyk był tylko poganiaczem osłów!

Lekarz nie pojawił się wcześniej na górze, zanim nie zrzuciliśmy kotwicy w Penangu. Prawie godzina sztucznego oddychania była potrzebna, żeby powrócił nieszczęśnikowi oddech. A teraz dowiedzieliśmy się, że został uratowany. Na pytanie Sejjida, gdzie będziemy mieszkać, wskazałem mu widniejący na pobliskiej plaży, skryty w cieniu drzew o ściętych wierzchołkach hotel East Orient. Mimo tej pozornej bliskości musieliśmy udać się do niego rikszą robiąc objazd przez większą część miasta.

Moje pożegnanie z kapitanem było bardzo serdeczne. Mam po prostu słabość do Austriaków. Oczywiście, że gdyby mnie spytać do jakiego narodu nie czuję skłonności, popadłbym w zmieszanie, bo lubię wszystkie. Sądziłem, że Sejjid Omar nie zejdzie ze statku, dopóki nie ujrzy uratowanego Anglika. Zasłużył na podziękowanie i ludzką rzeczą byłoby zostać na pokładzie tak długo, aż w końcu by je otrzymał – przyjacielskie słowo uznania, nic poza tym. Ale mój Sejjid Omar zdawał się wcale o tym nie myśleć i był jednym z pierwszych pasażerów, którzy przywołali jedną z tych osobliwych, kolorowo pomalowanych łodzi transportujących podróżnych na brzeg. Sprawą honoru było, że uczynił to po malajsku. Nauczył się na pamięć koniecznych słów.

Tutejsi rikszarze nie byli Syngalezami czy Tamilami, lecz Indonezyjczykami, których powitał energicznym *tsching, tsching*, co powinien raczej wymawiać *tsing, tsing*, takie chińskie czołem. Byli to krępi kulisi w rozłożystych kapeluszach na głowach i podobnie jak ich cejlońscy odpowiednicy nie mieli więcej ubrania na sobie. Muszę wspomnieć, że w Kolombo warkoczyk był bardzo elegancko spięty grzebieniem, podczas gdy tutaj kołysał się swobodnie na plecach, przypominając bardziej wystrzępiony przez mole ogon koczkodana.

Hotel East Orient jest podzielony na dwie części: tubylczą i europejską. Do europejskiej, wyjąwszy jadalnię, w ogóle nie wchodziłem, bo nienawidzę obowiązków towarzyskich i lubię być swobodnym człowiekiem, także w podróży. Druga, nie tak oblegana część, leży trochę z boku wzdłuż wąskiego ogrodu otoczonego wspaniałymi drzewami. Tuż za nimi morze uderza w piaszczystą plażę i jest czymś cudownym trwać tam w półjawie, w półśnie słuchając bez ustanku nieprzerwanie potężnego szumu morza. Natura przemawia do nas niesłyszalnymi słowami, ponieważ to co mówi nie jest przeznaczone dla rozumu, lecz dla serca. Jej dźwięki prowadzą do głębi, ponieważ przybywają z wysokości. A ten kto zamyka przed nimi głębię swojego wnętrza, dla tego nie istnieją też wysokości, z których rozbrzmiewają.

Tubylcza część hotelu była obłożona tak niewielu gośćmi, że mogłem do woli przebierać w mieszkaniach i wybrać. Każde mieszkanie położone było w ten sposób, że zajmowało całą szerokość budynku i składało się z wielu pomieszczeń. Na froncie znajdował się ogród, z którego wchodziło się do urządzonego na wschodnią modłę przedsionka. Za nim następował przestronny, zawsze chłodny salon, z którego przechodziło się na tył do przedpokoju, w którym po jednej stronie znajdowała się łazienka, a po drugiej garderoba. Do przedpokoju przylegał wypielegnowany ogród kwiatowy. Wszystko to do dyspozycji każdego, mieszkającego gościa, oczywiście za stosowną cenę. Przecież w „Księdze zdrowego rozsądku” zaznaczono, że żaden właściciel hotelu nie będzie świadczył usług, za które nie każe zapłacić.

Budynek ten miał piętro z tak samo zaplanowanymi pomieszczeniami. Było ono całkowicie puste i, ponieważ nie miałem żadnych sąsiadów, mieszkalem sobie tak cicho i spokojnie, jak sobie życzyłem. Dla Sejjida Omara nie potrzebowalem szukać żadnego mieszkania, ponieważ oświadczył, że będzie spał w przedsionku. Pierwszy dowód, że nie traktowano mnie jako gościa pierwszej klasy, został mi dostarczony w czasie obiadu. Nie pofatygowano się, żeby mnie zawołać do stołu. Gongu, z powodu odległości, nie usłyszałem.

– Wszyscy panowie na dole są czarni, a na górze biali, z klinem z tyłu, – powiedział – a panie opróżniły swoje walizy i wszystko zawiesiły na sobie.

W Indiach mianowicie chętnie nosi się do śniadania czarne spodnie i krótką, białą kurtkę z lnu przylegającą ściśle do talii, zaopatrzoną z tyłu w klin wygląda się w tym bardzo chłopięco, lecz cudzoziemcy to naśladowają. Przykłada się dużo uwagi do takich drobiazgów i kto się wyłamuje, nie powinien oczekiwać, że będzie traktowany *fair*. Będą na niego patrzeć, jak na powietrze.

W jadalni nie było jednego, długiego, wąskiego stołu, lecz małe, pojedyncze stoliki. Każdy z nich obsługiwało dwóch tubylców, ubranych w długie, białe szaty przepasane na biodrach czerwonymi szarfami. Wyglądało to niesłychanie schludnie i wytwornie. Nie pomyślałem nawet o tym, aby zdjąć mój wygodny, biały strój podróżny. Nie dostrzegano mnie, więc było to całkowicie po mojej myśli. Zauważyłem dwa wolne stoliki i zająłem jeden z nich. Akurat zacząłem jeść, gdy do sali weszły cztery osoby i skierowały się do wolnego obok mnie stolika. Było to dwóch panów i dwie panie. Jeden z nich był kapitanem statku, na którym płynąłem. Miał na sobie mundur paradny, prawdopodobnie z powodu towarzyszących mu osób. Stanowiły one rodzinę: ojciec, matka i córka. Ojciec stary, prosty i po wojskowemu wyprężony, ubrany z wielką prostotą, lecz w każdym calu zdradzającą wytwornego człowieka. Znano go tutaj. Służba nadbiegła natychmiast z szacunkiem okazywanym wyłącznie wysoko postawionym osobistościom. Kapitan podszedł do mnie, podał mi rękę i śpiesznie szepnął:

– To generał we własnej osobie, przywozłem mu tajne dokumenty. Zaprosił mnie na obiad. Muszę więc przedłużyć mój pobyt o parę godzin.

Odszedł do swojego stołu, a ponieważ on przywitał się ze mną, to i jego towarzysze ukłonili mi się uprzejmie, po czym podjęli rozmowę owym swobodnym, acz przytłumionym tonem, tak, że nie słyszałem słów, lecz łatwo mogłem się ich domyśleć.

Niedługo po tym drzwi zostały gwałtownie otwarte i zgadnijcie kto, zachowując się nadmierne głośno, wpadł do środka? Owi cywilizatorzy i dżentelmeni, a więc i oni zaszczytli swą obecnością nasz hotel. Zamówili dla siebie parę stołów, które zsunięto razem i rzucili się na swoje miejsca tak gwałtownie, jakby natychmiast musieli wyładować rozpierającą ich podzwrotnikową gorączkę. Uratowany przez mojego Omara był z nimi. Nazywał się Dilke i zdawało się, że już całkowicie wrócił do sił, ponieważ dokładał wszelkich starań, by okazać się najbardziej ożywionym i dość krzykliwe namawiał swoich przyjaciół, aby dzisiejszą partię pływania uczcić na jego rachunek i, aby zacząć od równie wspianalego, mocnego grogu.

Kelnerzy przynieśli zamówiony trunek, który natychmiast wysuszono do ostatniej kropli i zamówiono następną kolejkę. Potem przyszła kolej na przeróżne rumy, araki, koniaki na „wzmocnienie apetytu”, a następnie, już przy zupie, pojawiły się ciężkie wina. Zachowywali się tak głośno i bez taktu, jakby byli sami. Widać było, że pozostali goście są tym bardzo oburzeni. Jednakże „elita Zachodu” zdawała się tym nie przejmować. Zajmowali się wyłącznie swoimi butelkami i szklankami, aż wzrok jednego z dżentelmenów łaskawie objął salę, dostrzegł mnie i rozpoznał. Zwrócił uwagę reszcie kompanii na moją osobę. Nastąpiły szepty i w końcu wydarzyło się to, co zostało mi oszczędzone na statku – atak na mnie. Padały głośne pytania, czy Niemcowi wolno, tutaj w Penangu mieszkać i jeść. Że jest tu ktoś, kto nawet nie wie, jakie ubrania nosi się do posiłku. Że należy to traktować jako obrazę obecnego towarzystwa. Jeden z nich silił się także na

uogólnienia na całe Niemcy. Wyrażał się w taki sposób o mojej ojczyźnie, że postanowiłem po posiłku zbesztać ich przy wszystkich. Lecz nie miało dojść do tego, bo ktoś inny wystąpił w moim imieniu, sam generał.

Siedział tak, że mógł wszystko dokładnie obserwować. Jego twarz poczerwieniała z gniewu. Zauważyłem, że powiedział coś do kapitana na ich temat. Ten długo coś opowiadał. Przypuszczałem to, jak ci panowie zachowywali się na statku i jak się mają sprawy z tą „dzisiejszą, wspaniałą partią pływania”. Tamci zaczęli teraz czepiać się Omara.

Załoga i oficerowie, a więc także i kapitan, dowiedzieli się już od Omara, że tych sześciu dżentelmenów zostało zrzuconych ze schodów. A teraz usłyszał o tym także i generał. Powiedział tak głośno, że i ja go usłyszałem:

– Zasłużyli na dużo więcej niż ta „wspaniała partia schodów”. Jeśli natychmiast nie wykonają tego, co im rozkażę, spadną jeszcze niżej.

Wstał z krzesła i wolno, wyprostowany jak struna podszedł do nich. Nie sposób było zlekceważyć tej wyniosłej postaci. A mimo to jeden z dżentelmenów krzyknął szyderczo:

– A któż to nadchodzi? W tak nędznym surducie! Aha, także jakiś Niemiec, który nie ma grosza na białą kurtkę do śniadania! Zdaje się, że chce z nami mówić! Wstać! Podnieście się z krzesel! Uznanie temu, kto na to zasługuje!

Wszyscy zerwali się na równe nogi i głośno śmiejąc patrzyli wprost na generała. Starszy pan zbliżył się do nich, sięgnął do kieszeni i powiedział:

– Oto moja karta!

I rzucił ją na stół. Jeden z nich wziął ją, przeczytał i podał sąsiadowi. A gdy tak krążyła z ręką do ręki, sytuacja zmieniła się diametralnie. Na twarzach każdego, kto przeczytał nazwisko ukazał się strach. Szyderczy początkowo szacunek został zastąpiony przez autentyczny. Generał ciągnął dalej obracając się i wskazując na mnie:

– Obraziliście tego oto tutaj dżentelmena i jego ojczyznę. Teraz więc pomaszerujecie do niego i poprosicie o wybaczenie! Kto nie wykona rozkazu, tego następnym statkiem wyślę do domu. W rzeczy samej potrzebujemy dżentelmenów, ale nie pyskaczy! Naprzód, marsz!

Żaden nie odważył się sprzeciwić. Generał nie zdążył jeszcze opuścić wyciągniętej ręki, a już ruszyli w moją stronę. Wtedy wstałem i powiedziałem:

– Dziękuję panu, sir! Rezygnuję z przeprosin i nie żądam więcej satysfakcji.

Skinął głową z niekłamanym podziwem.

– A więc to nie mnie powinien pan dziękować, lecz ja w imieniu tych nieobliczalnych ludzi. Czy pozwoli pan, aby pański służący spożył tu posiłek?

– Tak – odpowiedziałem siadając.

Odwrócił się do zdumionych dżentelmenów i spytał:

– Który z was nazywa się Dilke?

– Ja – odpowiedział zapytany.

– Poślcie z miejsca po Sejjida Omara, a gdy przyjdzie zaprosicie go do stołu, aby z wami zjadł obiad! Potraktujecie go z szacunkiem i wdzięcznością, które się jemu należą jako waszemu dobroczyńcy! To rozkaz, a ja jestem przyzwyczajony do posłuszeństwa.

Po tych słowach wrócił na swoje miejsce. Ujrzawszy, że podniosłem się raz jeszcze i kłaniam się z szacunkiem, podszedł do mnie i podał mi rękę.

– Proszę mi nie dziękować! To był mój obowiązek. Wie pan, że w każdym narodzie znajdzie się paru takich, z którymi nie da się po dobroci!

Powiedział to tak głośno, że słyhać było w całej sali. Następnie wrócił do swojego stołu. Można sobie wyobrazić, z jakim napięciem oczekiwano pojawienia się Omara. Siedział po drugiej stronie, w moim mieszkaniu i zajęło mu sporo czasu zanim nadszedł. Przyczyną ociągania

się była także jego niespożyta ciekawość i musiał natychmiast dowiedzieć się o zajściu już od posłańca. Znając go byłem pewny, że dżentelmeni muszą się przygotować na drugie poniżenie.

W końcu zjawił się w swej najlepszej arabskiej szacie, nałożonej na jedwabną koszulę, z turbanem zamiast tarbusza na głowie. Dilke zawołał do niego:

– Chodź do nas i siadaj! Masz z nami jeść!

Nie było to więc uprzejme zaproszenie, lecz bardziej rozkaz! Przeliczył się jednak. Omar przyjął jedną ze swych najbardziej godnych póz, ruszył wprawdzie z miejsca, lecz w połowie drogi zatrzymał się i spytał po angielsku:

– Co powiedziałaś? Ja mam z wami jeść? Ja mam? Ja jestem Sejjid Omar, który nic nie musi, a robi tylko to co chce!

– Ale taki był rozkaz! – Dilke usiłował pokryć zmieszanie.

– Rozkaz? Dla kogo? Może dla was! Bo wy robicie to, co się wam podoba. Dobrym ludziom nawet Allah nie wydaje rozkazów. A z takimi, którzy nie są dobrzy nie będę jadł z własnej woli. Dziękuję-

Odwrócił się na pięcie i już chciał odejść, gdy wtem generał zerwał się z miejsca i zawołał do niego:

– Sejjid Omar, dobrze powiedziane. Mój szacunek! Proszę pana, aby zjadł pan ze mną. Moja żona z przyjemnością ujrzy pana u swego boku. Czy zechce pan?

Omar skrzyżowawszy ręce na piersiach skłonił się i odpowiedział:

– Mój sahib nauczył mnie kochać starą Anglię, a gdy kocham nie odrzucam żadnego życzenia, które mogą spełnić.

Obie panie wzięły Omara między siebie. Ich miłe twarzyczki jaśniały radością z obecności szczególnego, lecz z pewnością miłe widzianego gościa. Już ujmując sztucce dowiódł, że nie potrzebują się go wstydzić. Zresztą muszę przyznać, że Omar najchętniej jadłby po arabsku, a więc samymi palcami, lecz odkąd był ze mną nauczył się obchodzić sztuczkami z taką wprawą, jakby od urodzenia nic innego nie robił. Z głębokim, pełnym powagi namaszczeniem, charakteryzującym każdy jego ruch siedział tam między wysoko urodzonymi i wydawać by się mogło, że to nie oni, lecz on ich zaprosił na obiad. Zachowywał się skromnie a zarazem godnie. Żadną miarą nie można go było traktować jako niższego od siebie. Każdemu niezezsutemu mieszkańcowi Orientu dany jest ów niewymuszony dystans, właściwy zresztą całemu krajowi.

Tylko ja, który dobrze go znałem, mogłem zauważyć, że było coś, co mu było nie w smak – była to moja obecność. Dlatego spieszyłem się, aby skończyć posiłek, po czym wstałem i zamierzałem opuścić jadalnię. Lecz przy drugim stole wstano także. Generał i kapitan podali mi ręce i uczciwie przyznają, że doznałem wzruszenia, gdy i obie panie także się ze mną pożegnały. Wszędzie można znaleźć dobrych ludzi.

Podróżny przybywający parowcem na Wschód, do Penangu, wystawiony jest na olbrzymią ilość nowych wrażeń. Chińczycy, ich ubiór i zwyczaje tworzą tak barwny obraz, że nie można od nich oderwać wzroku. Wszystko wydaje się niezwykle egzotyczne, odległe od codziennych doświadczeń, że chcąc nie chcąc opanowuje człowieka całkowicie. Nie ma w tym nic dziwnego, bo przecież każde zjawisko jest pełne życia, a narzucający się naturalnie i pogląd, że trafiło się do chorego ze starości kraju, wydaje się być zupełnie nieuzasadniony. Jednakże ktoś, kto przyjeżdża tutaj z nie dającym się podkopać uprzedzeniem, które jak jakiś potwór wsysa każdą próbę wyrobienia sobie bezstronnego, jasnego poglądu, ten tutaj, u wrót Wschodu, ulegnie jedynie powierzchownemu wrażeniu, że właśnie uczynił pierwszy krok w kierunku ekscentrycznego świata.

Od najwcześniejszych lat życia, we wszystkich szkołach, najpierw podstawowych, potem wyższych, nie słyszy się o Chińczykach nic innego ponad to, że to dziwaczni, ekscentryczni i śmieszni ludzie. Ten tani pogląd rozpowszechniono w niezliczonych pracach. Wszedł on tak bar-

dzo w krew, że uprzedzenie stało się częścią naszego duchowego bytu. Nie przyjdzie nam nawet do głowy spytać, czy jest on prawdziwy, czy nie. Uprzedzę nieco to, co chcę później powiedzieć i pozwolę sobie stwierdzić, że Chińczycy popełniają dokładnie ten sam błąd w stosunku do nas – od wczesnego dzieciństwa, aż do późnej starości powtarza się im jedno: ludzie Zachodu są dzwaczynymi szaleńcami, wobec których historia jest bezradna, bo żądają tego samego – uznania ich za jej wybrańców kosztem zaniedbania innych nacji. Innymi słowy – Chińczycy uważają nas za takich samych głupców, jak my ich.

Kto przyjeżdża na Wschód z takim nastawieniem, może być pewnym, że nieprędko go zmieni. Może latami przebywać w Chinach i ciągle będzie myślał to samo. Chyba to stanowi jedyne i proste wyjaśnienie tego niepojętego faktu, że ludzie, którzy spędzili tu połowę, ba, całe dorosłe życie i mają prawo twierdzić, że dobrze znają kraj i ludzi, popełniają wciąż ten sam błąd i wydają tak samo fałszywe sądy jak ktoś, kto nigdy w Chinach nie był. Ich znajomość jest zwykłą kliszą! Ich, z pewnością niezwykle obszerna wiedza składa się z bezdusznych fotografii zrobionych za pomocą przywiezionych z Europy aparatów. Powstałe z uprzedzeń barbarzyńskiej rasy filmy są sztucznie montowane i przykrajane, nieautentyczne i nie przedstawiają chińskiej duszy w jej najgłębszych i najbardziej tajemniczych poruszeniach. Czy ludziom jest naprawdę tak trudno przyznać, że inni także mają prawo do bycia odmiennymi? Czy każdy, kto sobie pozwoli być innym, musi zostać od razu uznany za mniej wartościowego? Przypatrzcie się Europejczykowi, który z zadartym do góry nosem rozgląda się po obcym kraju! Moja kochana, dobra babka mówiła mi, gdy nadszedł czas, abym ruszył w świat: „nie wyobrażaj sobie, że jesteś lepszy od innych! Za każdym człowiekiem, z którym rozmawiasz stoi jego anioł stróż. Nie możesz go ujrzeć, ale on tam jest. Zna wszystkie twoje myśli, a gdy są złe, ranisz go. I pamiętaj, że anioł Murzyna jest tak samo jasny, tak samo czysty, tak samo wdzięczny, jak twój!”

Tego rodzaju myśli zaprzętały moją głowę, gdy po posiłku poszedłem się przejść po Penangu. W uliczkach i zaułkach tłoczyły się małe sklepiki. Wiele z nich nie miało drzwi, ponieważ brakowało frontowej części domu, w zamian za to wisiała tam kotara. A przed sklepikami ciągnęły się po obu stronach ulicy długie rzędy kramów. Nie widać było ani policji, ani wojska, a mimo to wokół panował wzorowy porządek. A poza tym ludzie tworzyli tę samą mieszaninę, co w każdym innym wschodnim mieście portowym z tą różnicą, że tutaj Indonezyjczycy mieli przewagę.

Było bardzo gorąco i niebo nagle pociemniało. Zanosiło się na jedną z tych gwałtownych ulew, właściwych dla okolic równika.

Przystanąłem i zacząłem się rozglądać za schronieniem. W pobliżu nie było żadnego hotelu. Zauważył mnie jakiś kulis, przystanął i wskazał na ciągnący się w dół zaułek.

– *Sablah kirri, pilsen berr!*

*Sablah kirri*, to tyle co w lewo. Tak więc na lewo, w tej uliczce można się było napić pilznera. Ten człowiek prawidłowo mnie oszacował. Wcisnąłem mu z radości napiwek do ręki i pośpieszyłem w dół zaułka. Rzeczywiście stał tam po lewej stronie miły dom, o europejskim wyglądzie, na parterze którego znajdowała się gospoda. Szerokie odrzwia nie posiadały oczywiście skrzydeł, lecz jedynie lniane zasłony, a okno było aż po samą górę zastawione butelkami. Można tam było przeczytać po niemiecku: „Prawdziwy pilzner prosto z Hamburga”. Nie miałem czasu, aby zastanawiać się nad jego wyjątkową autentycznością, bo właśnie z góry lunęła z łoskotem taka ulewa, jakby zamiast nieba było tam potężne sito. Wskoczyłem prędko do wnętrza i uniknąłem wprawdzie zmoczenia, ale tylko z przodu, mój tył wyglądał natomiast jakbym wyszedł z kąpieli. Zupełnie suchy na „przodku”, a na „tyłku” z niemiłym uczuciem przemoczenia do suchej nitki, zostałem przywitany serdecznym uśmiechem dwóch kobiet, którym po chwili zawtórowałem. Siedziały przy oknie. Jedna z nich, matka, szydełkowała zawzięcie jakąś koronkę, córka mocowała



się z piórkiem przy kapeluszu. Ich twarze, a szczególnie ich śmiech tak pasowały do otoczenia, w którym człowiek dobrze się bawi, że ja zamiast się przywitać, spytałem prosto z mostu:

– Panie są Austriaczkami?

– Tak – odpowiedziała matka. – Znamy się?

– Nie.

– To skąd pan wie, że jesteśmy Austriaczkami?

– Ponieważ pani wygląda jak jej wysokość cesarzowa Maria Teresa i ma pani taki miły, wie-deński śmiech. Proszę mi podać pilznera! Czy jest autentyczny?

– Tak, prosto z Hamburga. Ten z Pilzna nie stoi zbyt długo. Skąd ja to znałem? Na całym Wschodzie pija się autentycznego Pilznera z Hamburga. Za butelkę płaci się dwie, trzy marki.

Kobieta była wdową. Opowiedziała mi historię swojego życia, ale przytoczę ją w innym miejscu. Matka i córka były bardzo muzykalne.

W sali stało pianino i po niedługim czasie już przy nim siedziałem, a one śpiewały ojczyste pieśni. Przestało padać, lecz my muzykowaliśmy dalej. Nagle zamilkły w środku strofy.

– Pan Tsi! – wykrzyknęła matka.

Co za nazwisko! Spojrzałem na drzwi. Mógł to być każdy inny Chińczyk, na którego tak samo wołano, ale to był on, naprawdę on! Ujrzawszy mnie zrobił kilka prędkich kroków, co nie lico-wało zupełnie z jego zwykłą godnością, po czym powitał mnie w sposób, który nie pozostawiał wątpliwości, że bardzo się ucieszył na mój widok. Panie wstały także i nie usiadły z powrotem. Ze sposobu, w jaki nas obserwowały promieniował szacunek jakiego zazwyczaj biali, a zwłaszcza kobiety, nie okazują żółtej rasie. Skierował do nich parę uprzejmych słów. A potem poprosił mnie, abym poszedł za nim.

Wyszliśmy z gospody i przez wąski korytarz dotarliśmy do czegoś w rodzaju ogrodu kwiatowego, gdzie znajdował się mały budynek z przeznaczeniem na małe mieszkanie. Salon był stosunkowo duży, urządzone na wpół po europejsku, na wpół po indyjsku. Pozostałych pokoi nie widziałem. W salonie rzucała się w oczy wielka ilość foteli, jakby Tsi przyjmował często i dużo gości. Na małym stoliku stała zastawa do herbaty. Woda kipiała na dużej maszynie spirytusowej, tak że można było przypuszczać iż cały dzień utrzymywana była w stanie wrzenia. Usiadłem, a on zabrał się do przygotowywania dwóch filiżanek herbaty mówiąc:

– Tutaj mieszkam. Niech pan zapamięta, drogi przyjacielu, co powiem! Nie będzie tego wiele, ale jest bardzo dla mnie ważne. Mój ojciec pojechał do Chin. Ja mam jeszcze parę spraw do za-łatwienia. Co za sprawy, proszę mnie nie pytać! Nie mogę tego powiedzieć, a właśnie pana nie chciałbym okłamywać. Uchodzę za lekarza, którym zresztą jestem. Określając mnie w ten sposób może pan to robić z czystym sumieniem. Muszę przyjąć wielu gości i dlatego wybrałem akurat to mieszkanie, ponieważ leży na uboczu i osoby przychodzące do mnie traktowane są przez przy-padkowych obserwatorów jako goście gospody. Jeśli ktoś by pytał, to przychodzą do mnie po poradę lekarską. Poza tym z pewnych względów każe się i tutaj, jak w Kairze, nazywać po prostu Tsi. Jestem szczęśliwy, że znowu się spotykamy i proszę pana, aby uczynił pan, co możliwe z jego strony, abyśmy się szybko nie rozstawali. Dzisiaj i jutro nie będę miał raczej czasu, lecz później jestem do pańskiej dyspozycji. Widzi pan, że postępuję uczciwie. Jeśli mogę uważać, że go dobrze znam, to właśnie dzięki temu bezpośrednio wyznaniu uzna pan, że moja przyjaźń dla pana nie jest podyktowana czystą uprzejmością, lecz jest prawdziwa. Czy panu to wystarczy?

– Ależ oczywiście! Tylko, że niestety i tak będziemy się musieli wkrótce rozstać. Jutro z Pa-nagu przy pływa parowiec „Coen” towarzystwa „Koninklijke Paketvaart Maatschappij”, którego kapitan Wilksen jest moim przyjacielem i popłynie do Singapuru. W drodze powrotnej zabierze mnie do Oleh-leh.

– Chce pan jechać do Sumatry? – spytał.

– Tak.

– I akurat do Oleh-leh? Niech pan będzie ostrożny! Dzieje się tam coś, co może być niebezpieczne dla każdego Europejczyka, który opuszcza granice miasta. Wiem o czym mówię, ale o tym porozmawiamy później. A teraz niech pan pije swoją herbatę i opowiada, co u pana słyhać i gdzie pan był po wyjeździe z Kairu!

– A może i to odłożymy na później? Pan nie ma czasu, a ja przecież odwiedzę pana pojutrze. Albo może odwiedzi mnie pan w hotelu „East Orient”, gdzie mieszkam z Sejjidem Omarem?

– Co? Omar jest jeszcze u pana?

– Tak. Okazał się bardzo przydatny. Ucieszy się bardzo na pański widok. Już w Kairze podziwiał pana i pańskiego ojca. Pójdę już, ale muszę jeszcze wspomnieć naszego wspólnego przyjaciela Wallera. Wie pan, że miał zamiar także odwiedzić Penang?

– Nie – odpowiedział prędko, a na jego twarzy pojawił się wyraz miłego zaskoczenia. – Czy jest już tutaj?

– Nie wiem. W moim hotelu nie mieszka z pewnością, w innym razie zobaczyłbym go w jadalni.

– To może mieszka gdzie indziej. Musimy się tego jak najprędzej dowiedzieć.

– Oczywiście – zgodziłem się. – Zaraz zapytam w hotelach „Crag”, „Sea View” i „de l'Europe”.

– I proszę przysłać natychmiast wiadomość! Czy miss Mary jest razem z nim?

– Tak. Przecież chciała mu towarzyszyć w podróży. Byli w Indiach i ze Wschodniego Wybrzeża przybyli do Penangu.

– Skąd pan to wie?

Młody człowiek wyglądał na bardzo przejętego. Uśmiechnąłem się.

– Proszę pozwolić, abym i ja miał tymczasem tajemnicę. To, czego się pan chce dowiedzieć, odkryłem w sposób, o którym jeszcze teraz nie mogę mówić. Niech mi pan wyświadczy przysługę i milczy na wypadek, gdybyśmy mieli spotkać ojca z córką! Nie mogą się dowiedzieć, że wiedziałem o ich zamiarze przybycia tutaj.

– Ale jak ich pan znajdzie, zawiadomi mnie natychmiast?

– Natychmiast!

– Dziękuję. A teraz proszę już iść! Nie chcę pana wstrzymywać w poszukiwaniach, a na dodatek oczekuję bardzo ważnej wizyty. A więc jestem doktor Tsi, lekarz i nic poza tym!

Uścisnęliśmy sobie ręce na pożegnanie i wyszedłem.

Gdy ponownie pojawiłem się w gospodzie, siedział tam stary Chińczyk przy filiżance herbaty. Spowity był w kosztowny chiński jedwab, bez żadnych oznak mówiących o jego randze i stanie. Lecz byłem pewny, że jest to człowiek szczególny i dobrze wykształcony. Ledwie wszedłem, on już się podniósł i nie dopijając herbaty podążył tą samą drogą, którą ja dopiero przyszedłem. To na niego czekał Tsi.

To czego dowiedziałem się od Tsi brzmiało naprawdę tajemniczo. W każdym razie chodziło o ważne sprawy. Cieszyłem się z tak nieoczekiwanego spotkania mojego młodego przyjaciela Tsi.

Przywołałem riksę i pojechałem do owych hoteli. Okazało się, że w żadnym z nich nie mieszkał misjonarz Waller z córką. Lecz, gdy wróciłem do domu dowiedziałem się w recepcji, że byli tu przedtem, ale wyjechali. Waller rozchorował się i to tak, że wezwał na konsylium dwóch lekarzy, którzy poradzili mu, aby jak najszybciej opuścił tę nisko położoną okolicę i pojechał w góry. Najbliższe znajdowały się na północ od Sumatry, więc wraz z córką oraz całym bagażem udał się do Oleh-leh, ponieważ stamtąd szybciej i łatwiej niż ze Wschodniego Wybrzeża można było dotrzeć do górskich miejscowości. Było to przed dwoma tygodniami.

Do tej pory nie przysłali żadnej wiadomości.

– W czasie ich nieobecności przyszedł do *mister* Wallera list z Cejlonu – ciągnął recepcjonista, który udzielał mi informacji. – Wysłaliśmy go najbliższym statkiem.

Oczywiście był to list od profesora Gardena z Ameryki.

– Dokąd go pan odesłał? – spytałem.

– Hotel Rosenberg w Kota Radjah, stolicy Atjeh. Oleh-leh jest tylko miasteczkiem portowym.

– Wiem. Do Kota Radjah można przepłynąć się rzeką Atjeh, albo koleją. Ale hotel Rosenberg? To chyba nie jest prawidłowa nazwa. Znam Rosenberga osobiście. To bardzo przedsiębiorczy kupiec i długi czas prowadził interesy w Kota Radjah, ale ze względu na zdrowie żony i dziecka musiał je przerwać i przenieść się do Wiednia, gdzie do tej pory mieszka.

– Zgadza się. Ale od czasu do czasu przyjeżdża tutaj i zazwyczaj mieszka u nas. Teraz jego szwagier prowadzi interes i założył hotel. Nazywamy go od nazwiska założyciela hotelem „Rosenberg”.

Chciałem się także dowiedzieć czegoś o charakterze choroby misjonarza, lecz powiedziano mi tylko, że był bardzo słaby. Recepcjonista wymienił także nazwisko jednego z lekarzy. Pojechałem do niego czym prędzej i na szczęście zastałem w domu. Zakomunikował mi, że chodziło o poważny przypadek dezynterii. Zastosował ipecacuanda i przepisał ścisłą dietę złożoną z kleiku ryżowego i napar z maranty i rycynusu. Były to dokładnie te same środki, jakie stosuje się nad Nilem przy tej niebezpiecznej chorobie. Uważa się, że ipecacuanda jest tak samo skuteczna przeciwko dezynterii jak chinina przeciw gorączce. Ale, że tak osłabionemu przez chorobę organizmowi, ma pomóc olej rycynowy, kleik ryżowy i napar z maranty to o tym, nie słyszałem. Zaczynałem się niepokoić o Wallera i zastanawiałem się, co można by zrobić. Mam zawiadomić Tsi? Obiecałem mu to, a poza tym był przecież lekarzem. Ale ten, kto chciał pomóc Wallerowi, musiał pojechać do Atjeh, a nie było nikogo innego, kto byłby tam przed kapitanem Wilkensem. Więc i tak trzeba było czekać.

Mój Sejjid Omar znajdował się w podniosłym nastroju; nic wprawdzie nie mówił, ale widziałem to po nim dokładnie. Miał zwyczaj, że o pewnych rzeczach nie mówił dotąd, aż był pewny, że dobrze je sobie przyswoił. Mogłem być przekonany, że zaraz potem przekaże mi informacje z właściwą mu komiczną powagą. Tak też się stało.

Wieczorem siedziałem w przewiewnym przedsionku. Niedalekie morze uderzało o brzeg. Rzeński podmuch poruszał wierzchołkami drzew, zza których błyskały gwiazdy. Nimfy południa obudziły się i wybrały na poszukiwania śniących na jawie kwiatów w ogrodach Penangu. Był jednakże ktoś, kto nie słyszał przyplitywu, nie widział drzew, nie zwracał uwagi na gwiazdy, a o nimfach nie miał żadnego pojęcia. Tym kimś był Omar, triumfator dzisiejszego *tissin*. W Indiach mówi się *tissin*, zamiast *lunch*. Jednakże to, czym się teraz zajmował nie miało nic wspólnego z południowym sukcesem. Wyniósł na zewnątrz lampę i usiadłszy na trawie niedaleko mnie zabrał się do czyszczenia moich jasnych, wysokich butów. Robił to z niezwykłą dokładnością. Szmatka fruwała tam i z powrotem aż skóra dosłownie jęczała. Za każdym razem, gdy już myślałem, że skończył sięgał znowu do puszki z żółtą pastą i zaczynał od nowa. Na jego twarzy malował się przy tym wyraz nieskończonego zadowolenia.

– Jeszcze nie jest w porządku, Omarze? – spytałem, gdy po raz szósty chciał dokonać zniszczenia na wyfroterowanym dopiero co dziele.

– Nie – odpowiedział z wielką energią.

– Ależ wetrzesz pastę na wylot i będę miał tłuste, żółte skarpetki.

– To włożysz sobie inne, a ja wypiorę ci tamte. Dzisiaj muszę wetrzeć cały tłuszcz!

– Oho!

– Tak jest! Sam jesteś sobie winny, sahib. Wiesz dlaczego? Potraktowałeś mnie jak dżentelmena, gdy nie mówiąc ani słowa, zezwoliłeś mi spożyć posiłek z tymi Anglikami. Jako służący

powiniennem ci wypastować buty tylko raz, lecz jako džentelmen będę je pastował tak długo dopóki starczy mi pasty. A może myślisz, że džentelmenowi nie wolno być wdzięcznym? Gdybym cię nie miał, byłbym wciąż tym samym starym Sejjidem Omarem, którym byłem wcześniej, żaden generał nie zaprosiłby mnie do stołu, abym z nim i z jego harem zjadł obiad. Tylko tobie to zawdzięczam!

– Mam nadzieję, że nie popełniłeś żadnej większej niezręczności.

– Niezręczności? Ja na pewno nie, bo jestem tylko biednym poganiaczem osłów. Ale harem generała popełnił.

– Jak to?

– Chciał mnie na służącego i ofiarował mi więcej niż ty. Odpowiedziałem, że jeszcze raz to powie, to będę musiał wstać i odejść, bo żaden służący nie miał takiego pana, jak ja, sahibie. Powiedziałem im, że tobie nie tylko służę, lecz także cię kocham i nie opuszczę cię za żadne skarby świata. Wtedy generał uściśnął mi rękę i polecił przekazać tobie, że bardzo żałuje, iż nie jesteś Anglikiem. Najbardziej podobał mi się jego harem. Powiedziałem mu to otwarcie. Chrześcijańskie kobiety są mądrzejsze niż nasze i myślę, że jest to powód, dla którego wasi mężczyźni wiedzą więcej niż nasi.

– A więc sądzisz, że mężczyźni mogą się uczyć od kobiet? Jeśli to prawda, to bardzo dziwnie to brzmi u muzułmanina.

– Mówiłem teraz nie jako muzułmani, lecz jako Sejjid Omar. Co prawda jestem obydwoma, lecz przecież od czasu do czasu mogę być raz jednym raz drugim. Kobiety u nas są tak niewykształcone, że dzieci nie mogą się od nich niczego nauczyć, także chłopcy. A skoro nie są w stanie uzyskać mądrości od matek, to ojcowie także im jej nie pokażą. Bo kto tworzy sobie harem bez duszy, ten sam ma tak mało rozumu, że dla dzieci nic już nie pozostaje. No, teraz skończyłem. Cała pasta wyszła. Mam nadzieję, że w Penangu jest jakiś sklep z pastami.

Pocziwiec odprężył się trochę przy robocie, zaniósł buty do pokoju i wyszedł wypalić swoją nargilę. To i mała filiżanka arabskiej kawy stanowiło jedyny luksusowy wydatek na jaki sobie pozwalał.

Następnego ranka wybraliśmy się na konną przejażdżkę i wróciliśmy do domu dopiero koło południa. Po *tissin* nie wychodziłem z domu. Gdy owładnie mną jakaś myśl, to tak długo trzymam mnie w swojej mocy, dopóki się z nią ostatecznie nie rozprawię. Czuję, jakby jakiś wewnętrzny głos żądał tego ode mnie i czekał aż się z tym załatwię, a gdy mi się uda, nagradzał mnie uczuciem zadowolenia.

Jestem wtedy, nawet po długiej wyczerpującej pracy, w trakcie której nic nie jem, tak rześki, że nie potrzebuję nic jeść ani pić. Gdy zajmie mnie jakiś problem, to przez parę dni mogę się bardzo dobrze obejść bez pożywienia i nie odczuwam ani głodu, ani pragnienia.

Wczorajsze zajęcie się sprawami związanymi z pobytem misjonarza w Penangu i jego chorobą spowodowało, że wszystko co było z nim związane stanęło przede mną znowu jak żywe i okazało się, że w tym przedmiocie pozostało jeszcze parę rzeczy do przemyślenia. Pewnie nie były zbyt ważne, skoro na pewien czas odsunąłem ją na bok. Lecz teraz narzuciły mi się ze zdwojoną siłą i ów wewnętrzny głos napominał mnie bezustannie, abym wypełnił zaistniałą lukę. Słyszałem go już wczoraj wieczór, parę razy zbudził mnie w nocy, a dzisiaj towarzyszył mi w czasie przejażdżki, aby w końcu zatrzymać mnie w domu. Chodziło o ten wiersz „Zabierzcie swoją ewangelię”, a ten kto nie zna uczucia niezaspokojenia z powodu niedokończonych myśli, ten nie pojmie, jak może być ono niepokojące. Czuję, że ten wiersz jest niezbywalną częścią mojego stosunku do Wallerów, że muszę go dokończyć, jeśli stosunek ten ma rozwiązać się tak, jak zapowiadał jego początek. Postanowiłem zatem, że dzisiaj napiszę drugą strofę.

Zaledwie zdążyłem rozłożyć przed sobą czystą kartkę papieru, a już mój wewnętrzny głos wyszeptał mi słowa i nie minęło dziesięć minut, a miałem przed sobą:

*Zabierzcie swoją Ewangelię,  
i głoście Słowo w każdym miejscu,  
a cały świat Domem Bożym się stanie,  
a wasze głosy głosami aniołów!  
Ponieście miłość, ale tylko miłość,  
niech płynie poprzez wszystkie kraje,  
a ziemia stanie się Kościołem,  
i przez Boga ukochanym rajem!*

Niedługo potem do portu wpłynął „Coen”. Kazałem się tam zawieźć, bo chciałem przywitać kapitana Wilkensa. Ucieszył się na wiadomość, że wrócę z nim do Oleh-leh i zaproponował, abym lepiej płynął z nim zaraz na Jawę. Ale wszystko potoczyło się inaczej niż zamierzałem.

Zszedłem właśnie na dół do messy, aby wypróbować wspaniałe organy, które Wilkens sprowadził z Ameryki, gdy wtem on sam przeszkodził mi w tym, krzyżąc do mnie przez otwarte, górne okienko:

– Jeśli chce pan obejrzeć coś pięknego, to niech się pan pospieszy! To wydarzenie, unikat!

Wyskoczyłem na górę. Stał na tylnym pokładzie i pełnym podziwu wzrokiem wpatrywał się w niezemski pojazd, który lekko i prędko, jakby woda nie stawiała mu żadnego oporu, płynął w naszym kierunku. Był to jacht parowy, śmigły i śmiało osadzony na kilu, jaki tylko Amerykanie umieją zbudować. Cała sylwetka była niesłychanie piękna i czysta. Linia pokładu wznosiła się z tyłu do przodu, lekko do góry, ponieważ – co godne uwagi – obydwie pokłady były uniesione tak, jak stosuje się to przy budowie dżonek. Statek miał w sobie coś egzotycznego i niemal baśniowego. Dziób, wyciągnięty chwacko na kształt klipra, ozdobiony został cudownie piękną kobiecą głową z białego marmuru, pod którą, wykonany dużymi, złotymi literami widniał napis „Nin”. Na rufie powiewała chińska flaga, słoneczna tarcza na czerwonym tle.

– Doprawdy unikat! – wykrzyknął zachwycony Wilkens. – Robi przynajmniej dwadzieścia węzłów na godzinę! Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Połączenie lekkości i ociążałości, szkunera i dżonki, a ta linia, która śpiesznie gna do przodu. Ten jacht to dzieło sztuki! Ale nie pojmę, że należy do jakiegoś Chińczyka. Co to znaczy Nin?

– To tyle co dobro – odrzekłem. – To z pewnością imię tej pięknej istoty, której rzeźbiona głowa zdobi dziób. Ma chińskie rysy, ale nie do końca. Ten jacht stanowi zagadkę, którą chciałbym rozwiązać.

Szkoda, że pokład osłonięty był przed słońcem, bo nie było nikogo widać, poza stojącym na mostku kapitanem, a ten miał na głowie tak szeroki kapelusz, że nie można było rozpoznać rysów jego twarzy, a na dodatek jacht przepływał w sporej odległości od „Coena”. Stanowił tak powabny, a zarazem pełen mocy widok, że tylko zatwardziały szczur lądowy mógł obserwować go bez rozkoszy.

Nie zamierzał zarzucić kotwicy, lecz zwrócił dziób pod wiatr i spuścił na wodę szalupę z jednym tylko człowiekiem, a sam odpłynął w stronę portu. Silnika prawie nie było słychać, a z kominu nie unosił się dym.

– Ile milionów może posiadać ten Chińczyk? – westchnął Wilkens. – W każdym razie sam nie dowodzi tym jachtem. Tak lekkie wykonanie ostrego zwrotu przy jednoczesnym, błyskawicznym spuszczeniu szalupy na wodę, a potem skręt z pełną parą – tego nie zrobi żaden Chińczyk. To

potrafi tylko ktoś, komu chciałbym uściskać dłoń za to, że mogłem to zobaczyć. Pojawił się i zniknął tak szybko, że jutro będę myślał, że ta marmurowa Nin tylko mi się przysniła.

Postój „Coena” był krótki. Kapitan miał coś do załatwienia na lądzie i poprosił mnie, abym mu towarzyszył. Dlatego byłem zmuszony odłożyć na później dowiedzenie się czegoś o Nin i o szalupie, którą spuściła na wodę. Wilkens załatwił swe sprawy i z jego parowca dano sygnał do odpłynięcia. Musiał się spieszyć, postanowiłem więc nie odprowadzać go na pokład, lecz tylko do trapu. Potem rikszą pojechałem do hotelu, tam Omar zakomunikował mi nowinę:

– Sahib, jestem zły, a nawet wściekły. Nie mają w ogóle względów dla ciebie. Chcesz mieszkać cicho i spokojnie, a właśnie te dwa pokoje nad nami oddano jakimś dwóm Angolom, przybyłym przed pół godziny. U nas, na dole słyhać każde stąpienie, a mówią tak głośno, jakby byli jedynymi ludźmi na ziemi. Mam iść do nich i pouczyć jak się mają zachowywać?

– Nie. Każdy ma prawo mieszkać, gdzie chce. Jeśli będą mi zbytnio dokuczać, poproszę o inny pokój; jest ich pod dostatkiem.

Wszedłszy do mieszkania usłyszałem rzeczywiście, że ktoś nade mną kaszle. Na dodatek ten ktoś chodził bez przerwy tam i z powrotem. Przesuwano stoły i krzesła. Coś się przewróciło z głośnym hałasem. Dostrzegłem kelnera z naręczem naczyń kuchennych przechodzącego spiesznie koło otwartych drzwi mego pokoju. Widocznie przybyli niedawno Anglicy chcieli coś zjeść. Wyszli teraz do przedsiionka, aby zrobić obsłudze miejsce i mogłem usłyszeć o czym mówią. Zauważyli stojącego w ogrodzie Sejjida Omara.

– Co za wspaniałe facet! – odezwał się jeden z nich. – Niech pan patrzy, sir, co za budowa ciała, co za wyraziste rysy! Żaden rzeźbiarz nie mógłby życzyć sobie lepszego modelu. To z pewnością jakiś muzułmanin z Himalajów!

– *No!* – zabrzmiała krótka i stanowcza odpowiedź.

– Nie? Myślę, że znam Indie i ich mieszkańców. Tylko w górach można znaleźć takie idealne postacie.

—*No!*

Gdy za drugim razem usłyszałem *no*, zacząłem słuchać uważniej. Brzmienie tego stanowczo wymówionego słowa miało dla mnie coś znajomego.

– I znowu sprzeciw! – skarżył się pierwszy mówca. —To skąd, pana zdaniem, jest ten człowiek?

– Z Egiptu.

– Czyżby pan go znał, sir?

– Nigdy go nie widziałem.

– A więc myli się pan! Co egipski fellach miałby do roboty na ulicach Malacca?

– Założymy się?

– O ile?

– O pięć funtów, dziesięć funtów, sto funtów! Wszystko jedno! Teraz, gdy doszło do zakładu zyskałem całkowitą pewność. Tak, ten Anglik, mówiący tak zwięźle i stanowczo, dla którego sto funtów miało taką samą wartość jak pięć, gdy tylko miał możliwość założenia się, to był człowiek, który chciał się ze mną zakładać nie pięć, i nie sto razy, ale nigdy nie zdołał mnie sprowokować. Był to mój serdeczny przyjaciel. Także głos jego towarzysza wydawał mi się znajomy.

– Niech stanie na pięciu funtach! – zgodził się ten drugi. – Wiem, że wygram i nie mogę pana naciągać.

Usłyszałem brzęk złota, a potem z góry zawołano do Omara po arabsku:

– *Chod mini, ia Ibn 'arab! Schu beledak?* Słuchaj Arabie, skąd jesteś?

Zdziwiony Omar spojrział w górę i odpowiedział:

– Z Kairu, z Egiptu.

– *Well!* Chodź tu! Blżej, bliżej! Sejjid posłusznie wykonał polecenie,

– Nadstaw połę swojej szaty, chcę ci coś zrzucić.

Omar zrobił co mu polecono, do fałdy szaty wpadło pięć funtów.

– Zarobiłeś to, bo jesteś z Egiptu!

Dał się słyszeć podwójny śmiech, zapewne z nieopisanie zdumionej miny Omara. Nie ruszył się z miejsca dopóki tamci nie odeszli od balustrady. Potem drgnął i z wolna ruszył w moją stronę. Wskazał na połę szaty, w której błyszczało złoto i odezwał się:

– Słyszałeś, sahib? Pięć angielskich funtów! To prawie tysiąc egipskich plastrów! Prezent, bo jestem z Kairu. Z jednej strony napawa mnie to dumą, ale z drugiej złości. Ten Angol ceni Egipt i to mnie cieszy. Ale nie traktuje mnie, jak dobrze sytuowanego służącego mojego sahiba, lecz jak biedaka, który nadstawia kieszeń. Pójdę na górę i oddam mu te pieniądze.

– Tak, pójdiesz na górę, ale zatrzymasz pieniądze, Omarze! Ten Angol jest nieskończenie bogaty i nie podarował ci tych pięciu funtów, aby cię obrazić. Zobaczył cię i założył się, że jesteś Egipcjaninem. A ponieważ jesteś, wygrał te pieniądze i dał tobie.

– *Maszallah!* A więc to ja jestem tym, który wygrał zakład. Bo gdybym nie był Sejjid Omar z Kairu, to on by przegrał. A to co wygrałem jest moje. Ale powiedziałeś, że mam iść na górę?

– Tak. Teraz jedzą obiad. Zakomunikujesz im bardzo uprzejmie, że chciałbym zjeść razem z nimi, ale w żadnym razie nie mów, jak się naprawdę nazywam, a także, że jestem Niemcem, który pisze książki!

– Dobrze! Zrobi się! Ale nie chcę przechowywać tych pięciu funtów. Lepiej ty to zrób za mnie! Bo wolę, jak pieniądze leżą u ciebie!

Dał mi pieniądze i poszedł. Nie trwało zbyt długo, jak wrócił, z wściekłą twarzą.

– No, co powiedzieli na twoją propozycję? – spytałem.

– Wyśmiali mnie i prawie wyrzucili za drzwi – złościł się. – Nie powiedziałem, jak się naprawdę nazywasz, tylko użyłem nazwiska, pod jakim zazwyczaj wpisujesz się do książki hotelowej. Nie powiedziałem też, że jesteś Niemcem, tylko, że jesteś moim sahibem. Nie powiedziałem, że piszesz książki, ale wiersze. Nie skłamałem, a to, że jesteś poetą, zapewnia ci nieśmiertelność, jak naszym poetom. A w końcu wyjaśniłem, że ten nieśmiertelny sahib, przyjdzie na górę, aby z nimi spożyć obiad.

Zamilkł. Cała sprawa bawiła mnie niepomiernie. On jednak kontynuował swym najbardziej wściekłym tonem:

– I śmiali się ze mnie. To mogę im wybaczyć. Ale oni śmiali się także z ciebie, a tego im nie wybaczę. Jeden, ten starszy, powiedział, że nieśmiertelni nie potrzebują jedzenia, bo przecież nie odczuwają głodu. A ten młodszy polecił cię zawiadomić, że zaraz rozkaże przygotować w kuchni jedzenie dla ciebie i przysłać na górę. Poczulem się tak urażony, że stałem się grubiański. Powiedziałem, że zaraz przyniosę im te pięć funtów. A oni kazali kelnerowi wyrzucić mnie. Ale wyszedłem sam. Daj mi te pieniądze, sahib! Zniosę je na górę!

– Nie! Zatrzymasz je i raz jeszcze pójdiesz na górę!

– Bardzo mi ciężko, ale skoro ty tego chcesz... Co mam powiedzieć?

– Zapamiętaj dobrze! Powiesz tak: Mój sahib kazał mi pozdrowić sir Johna Raffey'a i drogą *chair- and- umbrella -pipe!* Zrozumiałeś?

– Tak. Mój sahib kazał pozdrowić sir Johna Raffley'a i drogą *chair – and – umbrella – pipe!*

– A gdy cię pytają, skąd znam jego i ją, to odpowiesz: Mój sahib był przy tym jak zaginęła na Cejlonie i została odnaleziona na chińskim statku. Zapamiętasz?

Powtarzał oba zdania tak długo, aż wykuł je na pamięć. Potem spytał zafrasowany:

– A co mam zrobić, jeśli znowu zostaną wyśmiany albo, co gorsza, wyrzucony?

– Nic takiego się nie stanie, przeciwnie, sprawisz im wielką radość. Najważniejsze żebyś wszedł do środka i odegrał swoją rolę. Najlepiej będzie, jeśli nie będziesz się meldował, tylko z miejsca wkroczysz, bez zadawania się z kelnerem.

Pospieszył na górę. Nie patrzyłem za nim, ale byłem pewien, że po drodze zatrzyma się wielokrotnie i będzie powtarzał wyuczony tekst. Aby moje zachowanie nie wydało się wam, Drodzy Czytelnicy, dziwne, muszę wrócić do wspomnianej podróży. Zdarzyło się to u wód przybrzeżnych Cejlonu:

Obok mnie wspierał się sir John Raffley. Nie zauważał ani części z tych wszystkich wspaniałości, które ja podziwiałem. Ani pysznych kałamarnic, w których odbijało się i migotało niebo, ani przejrzystego kryształu morza, ani odświeżającego balsamu ochładzającego się powietrza, ani kolorowego, pociągającego ruchu rozpościerającego się przed nami wspaniałego kawałka bożego świata. Nie istniały dla niego; były mu obojętne; niechby tylko na moment zawładnęły jego zmysłami. A dlaczego dziwne? To całkiem zbyteczne pytanie! Czym właściwie był Cejlon w jego oczach? Wyspą zamieszkałą przez kilkoro ludzi, zwierząt, z nielicznymi roślinami i wodą, która nawet nie nadawała się do mycia czy do przygotowania filiżanki herbaty. A co poza tym? Z pewnością nic godnego uwagi czy zadziwiającego! Czym jest Point de Galle wobec Hull, Plymouth, Portsmouth nie mówiąc już o Londynie? Czym jest gubernator Kolombo, mimo, że jego krewny, w porównaniu z Wiktorią, królową starej Anglii, Irlandii i Szkocji? Czym jest Cejlon wobec Wielkiej Brytanii i jej kolonii? Czym jest w ogóle cały świat wobec zamku Raffley, gdzie urodził się sir John?

Szacowny, poczciwy sir John był Anglikiem doskonałym. Mimo, że posiadał niezmierzone bogactwa, nie pomyślał nawet o tym, aby się ożenić i stał się jednym z tych zamkniętych w sobie, milczących Anglików, którzy przemierzają każdy, nawet najodleglejszy zakątek ziemi, z niezrównaną obojętnością znoszą największe niebezpieczeństwa i najbardziej szalone przygody, by w końcu, zmęczeni i przesyleni, powrócić do ojczyzny i jako członkowie jakiegoś elitarnego klubu podróżników czynić jednosylabowe uwagi na temat swych przeżyć. Przejawiał spleen w takim stopniu, że tylko w rzadkich momentach jego długa, koścista postać ożywała pod wpływem przelotnego zainteresowania. Lecz miał dobre serce, które równoważyło stale gotowe jego większe i mniejsze dziwactwa.

Wydawało się, że nic nie jest go w stanie poruszyć, że nigdy nie przeżywa wewnętrznego napięcia. Jedynie w momentach, gdy nadarzała się okazja do zakładu przejawiał większą aktywność. Namietność zakładania się była mianowicie jego jedyną namietnością, jeśli w ogóle można mówić w jego przypadku o namietnościach i doprawdy graniczyłoby z cudem, gdyby przegapił jakąś możliwość do założenia się. Po tym, jak poznał już wszystkich możliwych tego świata, przyjechał na koniec do Indii, których gubernator był – podobnie jak gubernator Cejlonu – jego krewnym. Przemierzył je we wszystkich kierunkach, był już wiele razy na Cejlonie, a teraz przybywał tu ponownie na zlecenie generalnego gubernatora, aby przekazać namiestnikowi swe ważniejsze pełnomocnictwa. Poznaliśmy się w hotelu Madras i stopniowo przekonywaliśmy się do siebie i chociaż nie był w stanie sprowokować mnie do najniewinniejszego nawet zakładu, polubił mnie i traktował tak przyjaźnie, że mimo jego angielskiej flegmy, można mówić o prawdziwie braterskim przywiązaniu.

Tak więc wspierał się o balustradę obok mnie, nieporuszony wspaniałościami natury, którymi ja się upajałem, zezując przez złotą binoklę, tkwiącą na czubku nosa, z takim uporem jakby dokonywał na swym narzędziu wzroku jakiegoś odkrycia mogącego wstrząsnąć światem. Obok niego leżał parasol tak przemyślnie skonstruowany, że mógł służyć jako laska, szpada, krzesło, fajka i lornetka zarazem. Ten majstersztyk został mu подарowany przez członków klubu podróżników, Nearstreet – Londyn. Nigdy się z nim nie rozstawał i nie oddałby go nikomu za żadne



skarby świata. Ta *chair – and – umbrella – pipe*, jak go nazywał, był mu prawie tak samo drogi, jak jego wyśmienity jacht stojący na kotwicy w porcie, który kazał zbudować Greenock'owi na prywatne zamówienie, ponieważ i na morzu musiał znajdować się na własnym terytorium.

Tak przed laty napisałem o nim. Zostaliśmy przyjaciółmi bez składania żadnych deklaracji. Byliśmy zdolni do każdej ofiary na rzecz drugiego, nie uważając, że to co uczyniliśmy jest ofiarą. Po ostatnim rozstaniu pisaliśmy do siebie parę razy, a gdy w pewnym momencie, ja nie dostałem od niego listu, a on ode mnie, nie przyszło nam nawet do głowy, aby czuć się zapomnianym albo, że milczenie oznacza zerwanie przyjaźni. Wierność jest stanem duchowym i jeśli ktoś chciałby ją mierzyć ilością zapisanego papieru, ten sam do siebie nie ma zaufania.

A więc przed chwilą rozpoznałem po głosie mojego Johna Raffley'a i już wiedziałem kim jest jego towarzysz; jego krewnym, który wówczas piastował godność gubernatora Cejlonu. Jak się tutaj znaleźli? „Coen” był dzisiaj jedynym statkiem osobowym, który przybił do brzegu, a przecież wiedziałem, że ich na nim nie było. Wprawdzie przyszła mi do głowy „Nin” i jeśli dobrze znałem Raffley'a to posiadanie takiego jachtu bardzo by do niego pasowało, ale przecież miał on chińską banderę, a John, jeśli się nie myliłem, nie był wielbicielem Chin i ich mieszkańców.

Wtem z korytarza doszły moich uszu spieszne kroki i niecierpliwy głos:

– Gdzież on jest? Który numer?

– Trzydzieści dwa! – usłyszałem Omara.

– Trzydzieści dwa? *Well!* A więc w lewo, tutaj, zaraz! *Wonderful!*

Jeszcze dwa kroki i, już stał przede mną, dysząc po prędkim marszu, bez nakrycia głowy i z odwiecznymi, złotymi okularkami na nosie.

– Charley!

Tak zazwyczaj zwracał się do mnie. Z początku stał przede mną bez słowa i obserwując mnie wzrokiem pełnym przyjaźni. Następnie na jego twarzy pojawiła się znana mi praca mięśni, która spowodowała, że okularki bez dotknięcia ich rękami ześliznęły się na sam czubek nosa i pozostały tam tkwiąc tak zuchwale, jak dzoker przycupnięty na czubku ogona swego konia. W końcu pociągnął za sznurek przymocowany do oprawek i całkowicie strząsnął szkła z nosa, rozpostarł ramiona, przyciągnął mnie do siebie i cały czas nie mówiąc ani słowa, obejmował mnie mocno. Potem odsunął mnie na długość wyciągniętych ramion, jeszcze raz zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów i wykrzyknął:

– Tak, to on! Sahib, który chce z nami jeść! Człowiek, który pisze wiersze! Że też od razu tego nie odgadłem! Charley, chce się pan założyć?

– O co?

– Że nie ma pan pojęcia, kogo ze sobą mam!

– Nigdy się nie zakładam. Przecież pan wie.

– A więc cały czas nie? Straszne! Byczy z pana facet, który z niejednego pieca chleb jadł, wypróbowany na łądzie i wodzie, ale jednego panu brakuje: nie zakłada się pan i tak długo jak długo pan tego nie czyni, nie jest możliwe uznanie pana za doskonałego dżentelmena.

Słyszałem ten zarzut już wiele razy.

– Czy to uczciwe zakładać się, jeśli się wie, że się wygra – spytałem. – Pański krewny, ten gubernator, jest z panem!

Cofnął się o dwa kroki, nasadził szkła na nos, spojrzał na mnie ze zdumieniem i rzekł:

– Nie pojmuję! Ten niemiecki „sahib, który pisze wiersze” mógł ode mnie wygrać pięć funtów i nie chciał się założyć! Ale, co ja widzę! – wyciągnął obie ręce przed siebie i uważnie przyjrzał się rękawom koszuli – Jakże ja tu przyszedłem? Jak ja wyglądam? Straszny człowiek ze mnie! Ale było tak duszno, a byliśmy z gubernatorem sami. On także jest w koszuli z krótkim ręką-

wem. Muszę go ostrzec. Niech pan przyjdzie na górę, Charley, ale bez zwłoki! Z radości zapomniałem surduta. *Pardon!*

Dosłownie był czerwony ze wstydu, drogi, poczciwy sir John. Wybiegł prędko z pokoju. Sejjid stał cały czas na zewnątrz, teraz wszedł do środka i powiedział:

– Ten Angol i tak mnie wyrzucił!

– Tak, ale nie ze złości, tylko z radości. Gdy wspomniałem tylko tę *chair – and – umbrella – pipe*, spytał tak, jak przewidywałeś, skąd ją znasz. Dowiedziawszy się, że byłeś na Cejlonie i na tym chińskim statku, podskoczył do góry i krzyknął: „To może być wyłącznie mój stary, drogi Charley!”. Potem złapał mnie i wyrzucił na schody, ale siebie również i pobiegł ku schodom. Ten drugi Angol krzyczał za nim, że najpierw powinien włożyć surdut, ale on wcale tego nie słuchał. O sahib, Ci Angole muszą być dobrymi ludźmi, skoro cię tak lubią! Cieszę się, że nie oddałem im tych pięciu funtów. Mogłoby to ich urazić.

– To Anglicy pochodzący z najstarszej szlachty, Omarze. Bądź dla nich uprzejmy!

– Niepotrzebnie się martwisz, sahib. Mnie szlachectwo nadał Mahomet, a więc liczy już grubo ponad tysiąc lat; a być szlachetnym znaczy u nas być uprzejmym. Nie wiem, jak jest u innych narodów.

Gdy pojawiłem się na górze, krzątało się tam siedmiu albo ośmiu kelnerów. Było to oznaką wielkiego szacunku, jakim obdarzano tu moich przyjaciół. Zostałem przyjęty z tak niekłamaną serdecznością, że od razu poczułem się jak członek rodziny. Nie zarzucano mnie pytaniami, od razu przystąpiliśmy do jedzenia. Obaj zresztą nie mieli w zwyczaju marnować słów. Jeśli się czegoś nie powiedziało niepytanym, to dla nich nie istniało. Spytałem się, jakim statkiem przyплыли.

– Statkiem? – odpowiedział pytaniem Raffley. – Ach, przecież Charley nie ma o niczym pojęcia! Niech pan prędko przejdzie z nami do pokoju frontowego. Tam go pan zobaczy.

Wyciągnął mnie na zewnątrz, skąd pomiędzy koronami drzew widać było port. Ręką wskazał kierunek, gdzie ujrzałem zakotwiconą „Nin”.

– A więc jednak „Nin”! —wykrzyknąłem zadowolony. – Tak sobie pomyślałem.

– Wie pan jak się nazywa?

– Tak. Widziałem jak wpływa do portu, lekko i pięknie, jak nimfa.

– Miło mi to słyszeć, gdyż zbudowano go według mojego projektu.

– Spuściliście na łodzi tylko jednego człowieka, a potem odpłynęliście.

– Ponieważ nie znałem miejsca zakotwiczenia. Musiałem się najpierw dowiedzieć, w którym miejscu mogłem spuścić łańcuch. Odpłynąłem więc i zaraz wróciłem. Chodźmy do środka! Musimy opróżnić szklaneczki za moją „Nin”.

Wróciliśmy do gubernatora i stuknęliśmy się z nim za zdrowie jachtu. Chętnie spełnił toast. Raffley nappełnił kieliszki ponownie i powiedział:

– A teraz musimy wypić za zdrowie innej Nin, która jest mi od tej, tysiąc razy droższa! Proszę, do ostatniej kropli!

Spełniłem toast, lecz gubernator rzucił Raffley'owi znaczące spojrzenie i nawet nie dotknął kieliszka.

– *Well!* Jak pan sobie życzy! – odezwał się ten dobrodusznie, usprawiedliwiającym tonem. – A ja i tak wygram zakład!

Co to była ta druga „Nin”? I co to był za zakład? Był to punkt, w którym obaj najwyraźniej się nie zgadzali. Musiało chodzić o coś więcej niż tylko zwykły zakład. Nad jednym i drugim unosił się niewidzialny znak zapytania, najwyraźniej pochodzenia chińskiego. Jasne było, że wkrótce, my stojący u bram Chin, poruszymy ich temat wielokrotnie w rozmowie. Tak się stało, lecz gubernator nie odzywał się ani słowem, a ton Raffley'a zdradzał, że starannie dobierał słowa. Ja sam

znajdowałem się w niezręcznej sytuacji. Gubernator nie był przyjacielem ludów Wschodu, było to oczywiste. Raffley kiedyś też nie był, lecz teraz chyba zmienił zdanie. W każdym razie istniał jakiś powód, że wyrażał się z widoczną oględnością. Dlatego też w czasie rozmowy zapadały od czasu do czasu dłuższe przerwy, których nawet prawnie sobie grzeczności, nie mogło przezwyciężyć.

Stwierdziłem, że Raffley zmienił się bardzo od ostatniego razu. Nawet wyglądał inaczej. Jego sucha, długa sylwetka zaokrągliła się wyraźnie. Ostre rysy twarzy złagodniały. Nos nie sterczał z twarzy już tak bardzo. W ogóle, cały sprawiał wrażenie okrągłego, łagodniejszego i bardziej przystępnego niż wcześniej. Był, jeśli można tak powiedzieć znacznie „ładniejszy”. Niegdyś jawił się otoczeniu jako bystry myśliciel o mocnym charakterze, który z pewnością siebie i nie oglądając się na nic szedł swoją drogą. Teraz jego duch zespolił się jakby z uczuciem i cieszyło mnie to niezmiernie. Spleen zniknął, a wraz z nim owa nieskończona obojętność na wszystko, co nie dotyczyło Starej Anglii i sportu. Objawił żywe zainteresowanie do wszystkiego, co ludzkie i niegdyśszy sztywny, nie znoszący sprzeciwu dogmatyczny sąd nabrał innego kształtu. Wówczas nie był nikim innym jak tylko Anglikiem z krwi i kości, dżentelmenem od kapelusza aż po zelówki. Teraz jednak był kimś więcej. Mianowicie harmonijnie myślącym człowiekiem. Znajdowałem się wobec psychologicznej zagadki, rozwiązanie której musiałem zostawić przyszłości.

A przyszłość, zwłaszcza ta najbliższa, jawiła się od dzisiejszego spotkania zupełnie inaczej niż mogłbym mniemać. Powiedziałem mu, że widziałem „Nin” z pokładu „Coena” i wspomniałem przy tym, że mam zamiar odbyć dalszą część mojej podróży właśnie na „Coenie”.

– Dalszą podróż? – spytał. – Na statku nazywającym się „Coen”? Nie, Charley! Dalszą podróż odbędzie pan na mojej „Nin” i *basta!*

– Serdecznie dziękuję, sir! – odpowiedziałem. – Ale na „Coenie” muszę płynąć do Oleh-leh.

– To miasto portowe w Atejh. Co pan ma tam do roboty?

– Muszę uporządkować pewne interesy, albo lepiej powiedziawszy sprawy finansowe. Wprawdzie nie moje, a przyjaciela, który mnie o to prosił.

– Czy to konieczne?

– Nawet bardzo. Nie chodzi wprawdzie o żadne większe sumy, ale dla niego i taka strata byłaby wystarczająco duża i mogłaby doprowadzić do bankructwa.

– A więc musi pan tam rzeczywiście jechać, skoro pan obiecał. Ale dlaczego akurat na tym „Coenie”? Moja „Nin” też może tam płynąć, kiedy tylko pan zechce. Musi mi pan przyrzec, że zostanie pan z nami.

– przyrzekać nie znając celu pańskiej podróży, sir?

– Celu podróży? Hm! Płyniemy do Chin.

– Ale dokąd?

– Niech pan słucha, Charley, czy uważa się pan za mojego przyjaciela?

– Z całego serca!

– *Well!* A więc niech pan teraz o to nie pyta! Wie pan, że jestem panem mojego czasu i że każdego dnia mogę zmienić swoje plany, tak jak dowiodłem panu z Oleh-leh. Skoro panu się tak spieszy, to możemy wypłynąć jeszcze dzisiejszej nocy. Mówił pan, że chodzi o pieniądze.

– Dokładnie o zabezpieczenie w Atejh należności pewnego Niemca. Dostałem do Kolombo jego pisemną prośbę, łącznie ze wszystkimi załącznikami.

– Mogę zobaczyć ten list?

Znałem Raffley'a bardzo dobrze. Nie miało sensu sprzeciwiać się, jeśli nie chodziło akurat o kwestie osobiste. Musiałem zejść na dół i przynieść pismo. Przeczytał, po czym wsadził wszystko razem do kieszeni i rzekł z uśmiechem:

– Tak właśnie myślałem! Nie popłyniemy dzisiaj do Oleh-leh, lecz jutro z samego rana pójdziemy do tutejszego banku, powiedzmy do „Hongkong and Ssanghai Banking Corporation”. Znają tam Johna Raffley'a i w dziesięć minut będzie po sprawie. *Basta!* Proszę, ani słowa! Wie pan, że jeżeli czegoś chcę, to tak będzie! Oto moja dłoń: niech pan ją uściśnie na znak, że popłyniemy pan z nami do Chin na mojej „Nin”!

Wyciągnął do mnie rękę. Była to wprawdzie bardzo kusząca propozycja, ale przedtem musiałem jeszcze przemyśleć coś ważnego. Nagle poczułem pod stołem czyjeś dotknięcie. To gubernator dotknął mnie stopą i, gdy spojrzałem na niego, skinął ukradkiem głową z prośbą w oczach. Raffley nie mógł go widzieć i na jego twarzy wypisane było wyraźne życzenie, abym powiedział „tak”. Zrezygnowałem więc z przemyśleń i uściśniłem dłoń przyjaciela zauważając przy tym pół żartem, pół serio:

– Lecz sir, nie jestem sam. Czy na „Nin” znajdzie się także miejsce dla mojego służącego?

– Dla tego znakomitego faceta, który – dobrze to widziałem – gotów jest na wszystko dla swojego sahiba? Co za pytanie! Oczywiście, że mam dla niego miejsce, bo przecież wierniejszy od niego może być tylko mój stary Tom, albo Bill.

– To oni jeszcze żyją? Są tutaj?

– Tak jest! Odkąd posiadam nowy jacht, awansowali. Tom ze sternika został przemianowany na kapitana, z czego jest niesamowicie dumny, a Bill został sternikiem. I panu spodoba się na „Nin”. Mam przy sobie jej przeźrocza, pokażę je panu. Zaraz wracam.

Wyszedł z pokoju, gubernator natychmiast skorzystał z okazji i wyciągając do mnie rękę powiedział serdecznym tonem:

– Dziękuję, że się pan zgodził. Między mną a Johnem pojawił się upiór noszący to samo co jacht imię. Unikamy rozmowy o niej i przez to powstało między nami bolesne niedomówienie, które jest mniej odczuwalne dzięki pańskiej obecności. John bardzo pana ceni. Mam nadzieję, że pańska obecność będzie wsparciem dla mnie i zdołam wygrać nasz wielki zakład, o przedmiocie którego nie rozmawiamy od czasu, gdy go zawarliśmy.

A więc znowu zakład! „Nin” odgrywa w nim niepoślednią rolę. Raffley przyniósł zdjęcia. Z radosnym podnieceniem opowiadał o swojej „Nin” i gubernator zgadzał się z każdym jego słowem, dopóki była mowa wyłącznie o jachcie.

Pojawił się obraz marmurowej głowy. Oczy Raffley'a zabłyśły. Malował się w nich wyraz najbardziej wzruszającej miłości, gdy spoglądał na nią. Jeszcze nigdy nie widziałem takich rysów twarzy jak u tej kobiety. Oczy były migdałowe lub raczej skośne oczy? Każdy rys tej osobliwie pięknej twarzy stanowił zagadkę i żaden pędzel czy dłuto nie było w stanie na nią odpowiedzieć. Z tego właśnie powodu nasunęła mi się następująca uwaga:

– To portret, czy fantazja?

Gubernator spojrzał na mnie znacząco i z jego niedosłyszalnie poruszających się warg odczytałem:

– To upiór!

Raffley nie zwrócił na to uwagi. Zdawało się, że nie może oderwać oczu od fotografii, po chwili jednak dołączył ją do pozostałych i powiedział nagle, w zamyśleniu splatając ręce:

– To Nin, dobro! Czy pan, Charley, wie co to jest dobro? Nie. Nikt tego nie wie. Albo czy jest pan go na tyle świadomy, aby nie podawać jego naukowej definicji, lecz złożyć w ofierze całą swoją osobę, aby się objawiło?

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów stając przede mną wyprostowany jak struna. Potem spojrzał przez otwarte drzwi na niebo, na którym błyszczały gwiazdy srebrząc swym blaskiem wodę pod sobą. W końcu dodał, mówiąc z naciskiem:

– Doznałem takiego objawienia! Mój boże, dzięki ci!

Gubernator szarpał nerwowo końce swoich gęstych, siwych wąsów. Taki zwrot w rozmowie nie oznaczał dla niego niczego przyjemnego. Możliwe, że miał na końcu języka jakąś ostrą uwagę, ale nie zdołał jej wymówić, bo do pokoju weszli kelnerzy. Spędziliśmy godzinę jedząc, a potem siedzieliśmy jeszcze przy stole przez ponad trzy godziny. Nadszedł więc czas, abym się pożegnał. Gubernator odprowadził mnie aż do schodów, a Raffley jeszcze dalej, bo aż do ogrodu.

– Jeszcze moment, Charley! – powiedział prowadząc mnie w stronę ławki. – Usiądźmy!

Przypuszczałem, że chce mi powiedzieć coś szczególnego, lecz on nie odzywał się przez dłuższy czas. Wreszcie zwrócił się do mnie:

– Coś leży panu na sercu? Prawda?

– Uczciwie mówiąc, nie!

– *Well!* Nie można sobie życzyć lepszego przyjaciela. Niech pan powie, Charley, zawsze się pan modlił. Modli się pan i teraz, prawda?

– Tak.

– Także za innych?

– Kto nie potrafi modlić się za innych, to lepiej żeby wcale się nie modlił.

– Tak! A więc proszę pana, aby i za mnie posłał do Boga dobre słowo. Niech pan nie wątpi, że bardzo tego potrzebuję! Tak chciałbym wygrać nasz zakład. Nie złamię słowa, gdy w zaufaniu powiem panu, że postawiłem mój zamek ze wszystkim co należy do niego i nazwisko.

– Niemożliwe!

– Możliwe, a także prawdziwe!

– Ależ sir, nie mogę w to uwierzyć! Wiem, jak chętnie się pan zakłada. Przy pana niesamowitym bogactwie, w zwyczajnych okolicznościach nie ma w tym nic niepokojącego...

– Pst! – przerwał mi. – Nie myślę o tym. Właśnie postawiłem to niesamowite bogactwo na jedną kartę. Jeśli przegram, to stanę się nędzarzem w sensie finansowym, ale poza tym być może, będę bogatszy niż kiedykolwiek. Tylko ze względu na innych chciałbym wygrać! Dlatego niech się pan za mnie pomodli, Charley! Niech się pan pomodli nie o moje bogactwa, lecz o coś innego, wyższego. Zrobi to pan?

– Tak, sir John.

– Dziękuję panu! Niech pan nie myśli, że między mną a gubernatorem zaszło coś niedobrego! To zwykłe sprawy rodzinne, o których on ma inne zdanie niż ja. A jeśli uważa mnie pan teraz za nieco zmienionego, to niech pan wie, że właśnie dzięki temu wygram. Tak, to wszystko co miałem do powiedzenia. Niech po tym pierwszym „dobranoc”, którego będziemy sobie zaraz życzyć, nastąpią równie dobre dni podczas których John Raffley nadrobi jako człowiek wszystko to, co zaniedbał jako obywatel brytyjski!

Uściskał mi dłoń i odszedł. Patrzyłem za nim, jak powoli, głęboko zamyślony wstępował na schody.

Ile racji było w tym, co mówił, że się zmienił! Nigdy przedtem nie wiedziałem go mówiącego tak długo i tak składnie, jak dziś. Zawsze robił wrażenie na ludziach swoją małomównością i zwięzłością. A jak nauczył się nie tylko inaczej mówić, ale także inaczej czuć! Obudziło się w nim coś, co wcześniej spało. Chwała ręce, która nim potrzęsła!

Następnego dnia przyszli do mnie razem z gubernatorem i wypiliśmy filiżankę kawy. Nie wiedziałem jaki stopień pokrewieństwa ich łączy, ale nie byłem wystarczająco ciekawski, aby się o to pytać. Mówili do siebie per *sir*, a gdy czasami odzywali się do siebie cieplejszym tonem, to per *dear uncle* i *dear nephew*. Gdy tak siedzieliśmy nadszedł Tom „kapitan” meldując, że na „Nin” wszystko jest *all right*. Był to jego ulubiony zwrot. Był wysoki, chudy, przygarbiony i posuwał się powłócząc nogami, jak zazwyczaj tego rodzaju ludzie. Nad wydatnym, ostrym nosem, błyszczały bystre, dwa cudownie mądre, małe oczka, patrzące żywo i bez lęku na świat.

Raffley przyzwyczał go wyrażać się jak najzwyczajniej. Poznał mnie natychmiast i na wiadomość, że płynę z nimi plasnął pięścią w otwartą, lewą dłoń i wykrzyknął:

– Co za słowa! Co za radość!

Jego wylewność pozwoliła tylko na tyle, ale wyglądało to bardzo szczerze. Po kawie poszliśmy do „Honghong and Shanghai Banking Corporation”.

Gdy Raffley powiedział jak się nazywa, wywołało to wielkie wrażenie na wszystkich obecnych. Raffley zachowywał się tak, jakby był dyrektorem oddziału i stało się dokładnie tak, jak wczoraj powiedział: w ciągu dziesięciu minut sprawa została załatwiona. Mój zleceniodawca mógł być zadowolony.

Zbliżyliśmy się właśnie do wyjścia, gdy w drzwiach pojawiła się jakaś dama – rozpoznawszy ją nie mogłem powstrzymać okrzyku radości. Była to Mary Waller, bardzo blada, napięta. Sprawiała wrażenie jakby znalazła się w niezwykle dla siebie trudnej sytuacji. Jej strój był w nieładzie, co u takiej jak ona kobiety, sprawiało nieco dziwne wrażenie. Na jej twarzy malowało się wielkie skupienie i była tak zaabsorbowana, że nie zwróciła uwagi na mój okrzyk, lecz prędkim krokiem podeszła do urzędnika przy okienku i spytała nerwowym głosem:

– Poznaje mnie pan?

Spojrzał na nią. Widać było, że jej jedwabny wprawdzie, tylko bardzo wymięty płaszcz nie wzbudził jego zaufania. Lecz Mary była osobą, której się szybko nie zapomina. Zastanowił się przez moment, po czym odrzekł uprzejmie:

– Tak poznaje panią. Pani jest tą Amerykanką, która jakiś czas temu podjęła u nas dwa tysiące guldenów. Chyba pani ojciec był wtedy z panią.

– Właśnie! Dzisiaj potrzebuję nieco ponad pięćdziesiąt tysięcy.

– Proszę bardzo. Mogę prosić!

Oczywiście oczekiwał, że przedłoży jakiś papier kredytowy i wyciągnął po niego rękę. Ale ona, na wpół zmieszana, na wpół rozgniewana sytuacją, w jakiej się znajduje, wyrzuciła tylko z siebie:

– Proszę wypłacić mi tę sumę na moje osobiste poręczenie. Nie mam nic innego.

– Bardzo mi przykro, przepisy mi na to nie pozwalają!

– O mój Boże! Ale ja muszę je mieć! Mój ojciec znajduje się w malajskiej niewoli w Atjeh, na Sumatrze. Napadli na nas i zabrali nam wszystko, także papiery kredytowe. A teraz żądają pięćdziesięciu tysięcy guldenów okupu i dzisiejszej nocy wyprawili mnie tutaj na *prau*, malajskim czółnie, po pieniądze. Ale papierów nie chcieli mi oddać.

Mówiła zacinając się i wyraźnie czegoś się bojąc. Urzędnik potrząsnął głową i ze współczuciem wprawdzie, lecz z zawodowym zdecydowaniem, odpowiedział:

– Bez poręczeń życzenie pani nie zostanie spełnione w żadnym banku. Niestety, które panią spotkało...

Nie skończył, bo Raffley, który choć nie miał pojęcia, że znam proszącą, szybkim krokiem podszedł do niej i zwrócił się do urzędnika:

– Otwieram u państwa kredyt dla tej pani w wysokości sześćdziesięciu tysięcy guldenów holenderskich. Proszę jej natychmiast wypłacić tyle, ile zażąda!

I skłaniając się przed nią przedstawił się z właściwą mu swobodą, która, gdy tylko chciał była bardzo ujmująca. Następnie dodał ciepłym tonem:

– Mylady, proszę podpisać się na kwicie, który pani przedłożę i który odzyska pani tak szybko, albo tak wolno, jak sobie pani życzy.

Zwróciła ku niemu twarz i spojrzała bez słowa na jego dobrodusznie uśmiechnięte oblicze. Niepomniernie zdziwiona, a zarazem szczęśliwa, nie mogła znaleźć słów. A gdy odwróciła się, musiała dostrzec także i mnie. Poznała mnie natychmiast, lecz jej reakcja była zupełnie inna niż

mogłem oczekiwać. Nagłe przejście od straszliwego zmartwienia do uczucia, że wszystko, być może dobrze się skończy było tak gwałtowne, że puściły nadmiernie napięte nerwy. Opuściły ją siły, krzyknęła głośno, przymknęła oczy, wyciągnęła ramiona szukając oparcia i byłaby upadła, gdyby Raffley jej nie podtrzymał. Podbiegłem do nich. Mary straciła przytomność. Urzędnik wyszedł pospiesznie i po minucie wrócił z paroma Malajkami, które ułożyły ją na lekkiej bambusowej ławce.

– Czy ta pani zna pana, Charley? – zapytał Raffley nie zwracając uwagi na panujące wśród urzędników zamieszanie. – Tak mi się przynajmniej zdawało!

– Tak, znamy się – odpowiedziałem. – Wyjdźmy stąd, muszę panu to wyjaśnić!

Wyszliśmy do położonej obok, pustej w tej chwili poczekalni i pokrótce opowiedziałem mu o moich przeżyciach z Wallerami. Powiedziałem także, że oni znają mnie pod innym nazwiskiem i poprosiłem, aby się z tym nie zdradzał.

– *Well!* Jest w tym coś romantycznego i nie zamierzam panu tego rabować – roześmiał się. – Jest pan przecież „sahibem, który pisze wiersze”, a takich ludzi powinno się...

– Nie! – przerwałem mu. – Właśnie tego, że piszę wiersze Wallerowie nie powinni wiedzieć. Tak więc proszę nie mówić szczególnie o tym.

Nadeszła jedna z Malajek i zawiadomiła nas, że mylady przyszła do siebie i chętnie by z nami pomówiła. Poprowadziła nas na leżącą na dziedzińcu werandę, gdzie Mary odpoczywała na wygodnie rozłożonym fotelu.

Przez pierwszy kwadrans nie mogliśmy się nacieszyć ponownym spotkaniem, po czym ja i Raffley staraliśmy się Mary uspokoić i przekonać, że zrobimy wszystko, co będzie w naszej mocy, aby pomóc jej i jej ojcu. Następnie chciała opowiedzieć nam wszystko, co im się przydarzyło, lecz Raffley w delikatny sposób poprosił, aby się oszczędzała i wytłumaczyła nam na razie, gdzie mieszka. Wymieniła ten sam, co nasz, hotel i gdy poczuła się lepiej, Raffley sprowadził powóz. Mary spytała, czy może mnie zawiadomić, gdy odpocznie.

Odjechała, a Raffley polecił wypłacić sobie żadaną sumę i zamówiliśmy riksę. W hotelu poinformowałem Sejjida Omara, że Mary Waller jest tutaj i kazałem mu dyskretnie wypytać o jej pokój.

– Ta miss z Ameryki? – zapytał ucieszony. – Kocham ją! Zaraz wszystkiego się dowiem.

Rzeczywiście po chwili wrócił z następującymi informacjami:

– Dzisiaj w nocy pojawiła się w hotelu sama, na piechotę i musiała długo dzwonić zanim jej otworzono. Była bardzo słaba i wynędzniała, nic nie jadła, ani nie piła, tylko od razu rzuciła się na łóżko i, zmęczona przespała cały dzień. Potem poszła do miasta i przed paroma minutami wróciła powozem. Mieszka po drugiej stronie, w wielkim domu, teraz posłała po lekarza. Jej pokój ma numer dwadzieścia.

– Dobrze! Idź tam i czekaj dopóki lekarz nie wyjdzie od niej. Potem przyprowadź go do mnie! Ale ona nic nie może o tym wiedzieć.

Sądziłem, że będzie to jeden z tych lekarzy, którzy zajmowali się jej ojcem i wysłali go do Atjeh. I miałem rację, bo gdy przyszedł do mnie, poznałem go. Mary kazała go przywołać, aby wypytać o stan ojca, który w Atjeh jeszcze się pogorszył, a my chcieliśmy z nim rozmawiać o obecnej sytuacji ojca, nie niepokojąc córki.

Wiedział tylko tyle, ile zdołał się dowiedzieć od niej i nie było to niestety nic konkretnego. Wallerowie pojechali najpierw do Oleh-leh, a stamtąd w górę do Kota Radjah, gdzie gubernator, dzięki listowi polecającemu, oddał im w użytkowanie mieszkanie w Kratong, byłej cytadeli dla tubylców. Ale ponieważ stacjonują tam także wojskowe oddziały holenderskie, chory nie miał, niezbędnej mu w jego stanie, ciszy i spokoju. To i położenie Kota Radjah, leżące jeszcze zbyt blisko wywołującego gorączkę, położonego w depresji wybrzeża spowodowało, że Waller nie

zważając na żadne ostrzeżenia udał się jeszcze wyżej. Z córką i paroma tragarzami wyruszył na dzikie wyżyny Gór Barissan.

Co się działo po drodze i w górze między od wieków zbuntowanymi góralami malajskimi, tego Mary nie chciała powiedzieć, prawdopodobnie także dlatego, aby nie musieć mówić, jak bez wycucia zachowywał się ojciec wobec tych ludzi, którzy każdego białego postrzegają jako zaborcę ich kraju i prześladowcę ich wiary, i z tego to powodu żywią do niego nieprzepartą wrogość. Ale musieli przeżyć wiele złego zanim doszło do katastrofy, w wyniku której Waller z córką popadli w niewolę. Miał zostać uśmiercony, lecz, wskutek próśb i łez Mary, *bitjara*, czyli rada starszych, dała się namówić i zwrócić mu wolność w zamian za okup w wysokości pięćdziesięciu tysięcy guldenów. Jej zlecili przyniesienie pieniędzy i w tym celu wlekli ją przez góry aż do wschodniego wybrzeża, skąd następnie przetransportowano ją malajską łodzią przez cieśninę Mallacca. Przy nocnym lądowaniu musiała jeszcze raz przyrzec, że nie zdradzi żadnego nazwiska, bo zemstą będzie śmierć ojca.

– Ale i tak już po nim – dodał lekarz. – Myślę bowiem, że zabiją go zaraz po otrzymaniu okupu. Ci Malaje nawet w normalnych czasach byli nieuczciwymi i okrutnymi ludźmi, a teraz, gdy jak wiadomo, szykują się do krwawego powstania przeciwko wszystkim Europejczykom, to nie będą mieli żadnych skrupułów. A gdyby nawet postąpili uczciwie, co według mojego przekonania jest niemożliwe, to życia Wallera i tak nie da się uratować. Złamią go choroba i sytuacja, którą tak nierozważnie sprowokował.

– Przecież pan sam go tam wysłał! – wtrąciłem się.

– Mówiłem o górskiej okolicy, a nie o samotnych górach i kanionach Gór Barissa, gdzie żaden Malajczyk nie przyjmie go do siebie i nie będzie go pielęgnował – odrzekł lekarz. – Był tak słaby, że trzeba go było nieść. Niech pan sobie pomyśli, taka droga przez dzikie góry! Żadnych wygód, odpowiedniego pożywienia, spokoju, troski! Jeśli jeszcze żyje, to byłby cud!

– Ten pan ma niespotykane silną wolę i zdaje się, że nie ma pojęcia o niebezpieczeństwie jakiego niesie dezynteria – odrzekłem.

Wyszedł. Krótco po tej rozmowie Mary przysłała z pytaniem, czy nie będzie mi przeszkadzać i nie czekając na odpowiedź pojawiła się zaraz w ślad za posłańcem. Rafflej ujął ją za rękę, zaprowadził na fotel i zanim zaczęła mówić, odezwał się:

– Mylady, proszę się oszczędzać! Musimy wiedzieć tylko parę rzeczy i proszę panią, aby pani odpowiadała tylko na pytania! Czy Malajczycy wyznaczyli pani jakiś termin?

– Tak – odpowiedziała. – Muszę wrócić najpóźniej statkiem „Coen” kapitana Wilkensa, a jeśli będzie to możliwe, to jeszcze wcześniej.

– *Well!* Wróci pani wcześniej! Dokąd ma pani zawieźć pieniądze?

– Powiedziano mi, że będę obserwowana od momentu przybycia do portu. Wtedy podejdzie do mnie jakiś tubylec i wręczy mi wyciętą w żabki połówkę skorupy orzecha betelu, którego drugą połowę dostałam w górach i mam w torbie. Gdy się przekonam, że obydwie połówki pasują do siebie, mam mu oddać pieniądze i powiedzieć dokąd ma zostać dostarczony mój ojciec. Ale mam postępować uczciwie i nie planować żadnego podstępu, bo tylko wtedy wódz, któremu zostanie przekazany ojciec, dotrzyma słowa.

– To nam na razie wystarczy, mylady. Więcej nie potrzebujemy wiedzieć. Posiadam uroczy, mały jacht, a na nim urocze mieszkanie dla młodej damy. Za, powiedzmy trzy godziny popłynę do Oleh-leh. Nasz przyjaciel płynie z nami wraz ze swym służącym Sejjidem Omarem.

– Wspaniale! – wykrzyknęła z radością zapominając na chwilę o swym smutnym położeniu.

– Tym jednym słowem dała nam pani do zrozumienia, że zamierza się do nas przyłączyć – rozeszmiał się zadowolony. – Mam nadzieję, że te krótkie trzy godziny wystarczą pani, aby się przygotować do podróży. Pójdę teraz wydać rozkazy na jachcie, a poza tym muszę sprowadzić



mojego krewnego, którego pani nie zna, a który także płynie z nami i musi zostać pani przedstawiony.

Gdy wyszedł Mary spozrzała na mnie zmieszana z niepokojem w oczach. Odgadłem co miała na myśli. Była zupełnie bez środków do życia, a on mówił o przygotowaniach i była to z pewnością aluzja do jej zniszczonych sukien.

– Miss Mary, proszę się nie martwić! – prosiłem. – Ten dżentelmen zawsze wie, co mówi. A to co robi, pozostaje zawsze w zgodzie ze słowami. Pieniądze na okup ma już przygotowane, a w razie potrzeby dostanie pani resztę.

– Co za człowiek! Kiedy tak nagle podszedł do mnie w tym banku, czułam, że Bóg mi go zesłał.

– Bóg objawia się tylko przez takich ludzi, ponieważ nigdy nie mógłby się objawić przez zło. Wykorzystałem nasze krótkie sam na sam, aby tymczasem opowiedzieć jej tyle o Raffley'u, ile na początek uznałem za konieczne. Ten zresztą wkrótce wrócił prowadząc ze sobą gubernatora, który okazał Mary tyle serdeczności, ile to było możliwe u gubernatora Cejlonu. Jak się później dowiedziałem, Raffley, mimo, że miał tak niewiele czasu znalazł go jednak trochę, aby wsadzić w kopertę pewną ilość papierowych banknotów i położyć ją na stole w pokoju Mary. Nie miała o tym oczywiście pojęcia i, gdy wstała zamierzając wyjść, uczyniła to być może z ciężkim sercem, bo nie padło ani słowo o tym, o czym niezręcznie jest mówić, chociaż jest to ważne i konieczne. Ledwie wyszła, Raffley i gubernator byli jeszcze u mnie, zjawił się Omar i zaanonsował Chińczyka Tsi. Był dzisiaj wolny, a ponieważ nie przychodziłem do niego, okazał na tyle rozsądku, że sam przyszedł mnie odwiedzić. Właśnie wczoraj przy kolacji opowiadałem obydwu Anglikom o nim i jego ojcu. Wiedzieli jak doszło do naszego poznania się w Kairze i, przynajmniej przez Raffley'a, został potraktowany jak ktoś znajomy, gdy tymczasem drogi wujaszek zachowywał się z wyraźną rezerwą. Chińczycy bowiem, w jego oczach, nie przedstawiali żadnej wartości.

Od razu wyjaśniłem młodemu człowiekowi sytuację, w jakiej znajdowali się Walterowie. Przeraził się.

– Dezynteria? – zawołał. – Tak długo? Możliwe, że już w Indiach! A tam na Sumatrze bez pożywienia, które mogłoby go wzmocnić, a zamiast niego, taki wysiłek fizyczny i duchowy! Moi panowie, muszę jechać razem z wami!

– Muszę? Muszę? – z naganą w głosie powtórzył gubernator.

– Tak! Może to słowo nie brzmi jak prośba, ani nie jest zbyt uprzejme, ale teraz to się nie liczy. Jeśli chcecie panowie ratować Wallera, musicie mnie zabrać ze sobą! Tylko ja mogę pomóc.

– Tylko pan? Dlaczego?

– Bo tylko ja znam niezawodny środek przeciwko aniołowi śmierci. Wie pan co to jest *ko-su*?

– Nie – odpowiedział gubernator.

– A pan? – zwrócił się do mnie.

– *Ko-su* to *brucea sumatrana*, specyfik przeciwko dezynterii – powiedziałem.

– A wie pan, jak należy podawać ten środek w tak ciężkim przypadku? Zna pan w ogóle tę roślinę? Widział ją pan?

– Nie.

– Rośnie po drugiej stronie, w Atjeh, miejscami nawet w skupiskach. Ale pan przeszedłby obok niej nie mając pojęcia, że mogłaby uratować życie pańskiego przyjaciela. Tak więc proszę mnie ze sobą zabrać! Jeśli pan tego nie zrobi, to będę musiał wynająć specjalny parowiec, bo nawet Chińczyk zdolny jest do ofiar. Ale „Nin” jest szybsza niż każdy inny statek, który stoi w porcie i jeśli tylko wpuści mnie pan na pokład, to zadowolę się byle kącikiem i nie ujrzycie mnie wcześniej aż w Oleh-leh. Gdy chodzi o ludzkie życie, nie ma się nad czym zastanawiać.

Mówił to stojąc przed gubernatorem, który patrzył na niego bez sympatii.

– No to go bierzcie! – odezwał się wreszcie do Raffley'a tonem, w którym było słycać, jak ciężko mu wyrazić zgodę.

– Ależ to rozumie się samo przez się! – wykrzyknął Raffley. – Będzie nam bardzo miło, mi-ster Tsi. Za trzy godziny wypływamy. Zdaży się pan przygotować?

– Jeśli chodzi o ratowanie przyjaciela, nie ma mowy o żadnych przygotowaniach. Popłynął-  
bym tak, jak stoję. Dziękuję panu, milordzie!

Skłonił się nisko. Mnie podał rękę. Następnie odwrócił się do gubernatora. Wykonał sztywny i  
oficjalny ukłon i nie mówiąc ani słowa powtórzył go trzykrotnie, a potem poszedł.

– Niesamowicie żółty facet! – powiedział wuj. – Zachowuje się jak syn księżęcej mości!

Być może był nim, przynajmniej jego ojciec, ale nie wolno mi było tego zdradzić. Raffley  
zsunął swój monokl na koniec nosa, roześmiał się pogodnie i zapytał:

– Założymy się?

– O co? Czyżby o tego obywatela państwa środka?

– *Yes*. Założę się, że zostanieie wielkimi przyjaciółmi.

– Nigdy!

– *Well!* A więc zakład stoi?

– Oczywiście!

– O ile się zakładamy?

– O dwadzieścia funtów. Ale wyznaczmy termin!

– Świetnie! Dopóki ostatecznie nie opuści naszego jachtu.

– Słowo się rzekło! Wygram!

– Dobrze, a więc dokładam jeszcze dwadzieścia funtów, że pan nie wygra.

– Nie! Podwajanie zakładów jest niedozwolone. Inaczej znając pana, mógłby pan w nieskoń-  
czoność podnosić stawkę. Dwadzieścia funtów i *basta!*

## NA POKŁADZIE „NIN”

Nietrudno zgadnąć, jak bardzo byłem ciekaw jachtu. Jeśli dla znawcy radością jest samo ujście takiego statku, to co dopiero powiedzieć o przyjemności, gdy można nim płynąć, ponieważ jest własnością przyjaciela. Już „Swallow”, wcześniejszy jacht Raffleya, był uosobieniem wdzięku i usprawiedliwione zatem były moje wygórowane wyobrażenia na temat wyposażenia „Nin”. Ale rzeczywistość przekroczyła wszelkie wyobrażenia.

Gdy weszliśmy na pokład, załoga na czele z Tomem, „kapitanem”, stała wyprężona w szeregu i powitała nas trzykrotnym „hip, hip, hura!”. Rafflej osobiście wskazał mi moją kajutę. Leżała pod tylnym pokładem, była wysoka, przestronna, jasna i wesoła oraz wyposażona we wszelkie nowoczesne wygody, w światło elektryczne naturalnie także. Prądu dostarczał silnik.

Potem pokazał mi swoje mieszkanie znajdujące się na środku pod mostkiem kapitańskim. Było urządzone z wielką prostotą. Widać było, że mieszkaniowiec nie kocha się w luksusie i korzysta z tych pomieszczeń tylko do pracy i koniecznego wypoczynku. Nie stały tu żadne drogie meble, ale półki stojące pod ścianami wypełnione były kosztownymi książkami. Na ciężko obciążonym stojaku leżały najlepsze mapy wszystkich krajów i mórz, a na olbrzymim stole spoczywały wszelkie konieczne instrumenty nautyczne. Jedyłą ozdobę stanowił obraz, dzieło pierwszej klasy, piękny jeśli chodzi o przedmiot, zachwycający w wykonaniu.

Był to portret owej Nin, której marmurowe popiersie zdobiło dziób statku. To, co rzeźba przedstawiała plastycznie, zostało oddane tutaj z wielkim artyzmem za pomocą koloru. Mówi się tak arbitralnie o urodzie wschodniej i zachodniej, włoskiej, angielskiej, francuskiej, hiszpańskiej, polskiej, niemieckiej, nordyckiej czy amerykańskiej. Ta młoda kobieta tutaj była bez wątpienia piękną i bez wątpienia była Chinką. Skąd się więc brało, że nie można było uznać jej wyłącznie za chińską piękność? Czy powód leżał w samych rysach modelki, czy w sposobie oddania ich przez artystę? Czy ten artysta był Chińczykiem, czy Europejczykiem? Z pewnością miał talent, być może jeszcze coś więcej. Rama obrazu była prosta, wykonana ze zwykłego drzewa, bez żadnych ozdób. Ginęła prawie pod masą żywych kwiatów i pąków. Później pokazano mi na statku pomieszczenie, w którym hodowano kwiaty specjalnie w tym celu. Obraz przyciągał mój wzrok z niezwykłą siłą. Miałem uczucie, że każde słowo na jego temat stanowiłoby profanację. Gdy w końcu się odwróciłem, spojrzałem przypadkiem na Raffleya – patrzył prosto na portret z wyrazem nieopisanego szczęścia w oczach. Spojrzeliśmy na siebie w milczeniu, następnie kiwnął na mnie głową. Zrozumieliśmy się bez słowa.

Kiedy wróciliśmy na pokład, do jachtu przybiła właśnie szalupa, która przywiozła Mary Waller, Rafflej przywitał ją i poprowadził do jej kajuty zajmującej całą szerokość uniesionego do góry przedniego pokładu. Mary zdażyła uzupełnić garderobę. Mówiąca po angielsku Chinka, która dotychczas pracowała w kuchni, została jej przydzielona jako służąca.

Gubernator wyciągnął się wygodnie na leżaku. Palił krótką fajeczkę z rodzaju tych jakie cieszą się dużą popularnością w kręgach angielskich *traveller* i wydawało się, że zajęciu temu poświęcił całą swoją uwagę.

Tsi pojawił się na pokładzie jeszcze przed nami. Mijając jego kabinę, wskazaną mu przez Toma, ujrzałem go siedzącego za zasłoniętą zasłoną. Wyszedł i zapytał, kiedy podnosimy kotwicę, gdy do naszych uszu doszedł odgłos wciąganego na górę łańcucha. Nie było więc potrzeby, aby odpowiadać na to pytanie, ale uznałem za stosowne powiedzieć zupełnie coś innego.

– Mam wrażenie, że unika pan pokładu, ale nie ma pan przecież powodu, aby całkowicie rezygnować z tej przyjemności.

– Nie chcę przeszkadzać gubernatorowi – odpowiedział.

– Proszę! On i tak nie dopuści do tego, aby mu ktokolwiek przeszkodził. Niech pan będzie uczciwy; to on panu przeszkadza. I nie chce się pan do tego przyznać. Mam rację?

Na jego ustach pojawił się nieśmiały uśmiech, lecz w końcu przyznał uczciwie:

– Tak, to prawda. Miałem mu za złe jego zachowanie, a więc nie okazałem się tak szlachetny, jak tego wymaga nasza religia. Proszę mi wybaczyć! Jak mogłem mścić się na kimś tylko za to, że myśli tak samo jak większość jego rodaków? Muszę go przeprosić.

– Przeprosić? Nie uważam, aby było to...

– Nie tak, jak pan to pojmuje – przerwał. – Aby prosić kogoś o wybaczenie, nie trzeba ujmować tego w słowa. Mogę spytać, co pan powiedział tym dżentelmenom o mnie?

– Że jest pan doktorem medycyny i studiował pan w Niemczech oraz Francji. Pański ojciec przyjechał tam do pana, ale wrócił już do Chin, ponieważ pana zatrzymały tutaj sprawy zawodowe. Jego i pana poznałem w Kairze. Mam nadzieję, że jest pan zadowolony?

– Nic dodać, nic ująć. Młody lekarz to człowiek, którego towarzystwa szuka się dopiero wtedy, gdy się go potrzebuje. Tak więc będę mógł żyć sobie tutaj na uboczu. A właśnie, widziałem Mary Waller, jak wchodziła na pokład. Wie, że i ja tu jestem?

– Nie.

– Nic jej pan... nic jej pan nie mówił? – prawie się zająknął.

– Ani słowa.

– Ależ proszę pana! Co sobie pomyśli, gdy zobaczy, że ja... ja... Nie dokończył zdania. Uśmiech, którego nie byłem w stanie powstrzymać, trochę go zmieszał. Nawet się zaczerwienił.

– Co ma sobie pomyśleć? – spytałem. – Że winna jest panu podziękowanie, nic więcej. Nie zastanawiał się pan ani chwili i rzucił wszystko, aby ratować jej ojca. Czyżby pan sądził, że będzie się gniewać?

– Nie, nie to. Ale powinienem się najpierw spytać, czy się na to zgadza.

– Każdy dobry uczynek jest dozwolony, tak, a nawet należy go spełniać bez pozwolenia. Poza tym nie było czasu na pytania. Kiedy zjawił się pan w hotelu, miss Mary właśnie wyszła i ujrzeliśmy ją dopiero na pokładzie. Nie było więc możliwości powiedzieć jej, że spotka oprócz mnie, jeszcze jednego towarzysza z Kairu. Czy życzy pan sobie, abym przygotował ją na tę niespodziankę?

– Proszę o to. Byłoby mi bardzo przykro, gdyby natykając się na mnie, była zaskoczona. Mam także obawy związane z moim nazwiskiem i stanem. Ona nie wie z kim ma do czynienia.

– Nie? A więc powinna się tego natychmiast dowiedzieć. Mary wyszła ze swojej kajuty, aby rzucić ostatecznie spojrzenie na Penag, ponieważ „Nin” właśnie odpływała. Odwróciłem się w jej stronę i oczywiście moje ostatnie słowa były tylko żartem, lecz Tsi pochwycił mnie za ramię i powiedział z obawą w głosie:

– Co pan zamierza? Iść do niej i...

– Powiem jej wszystko – wpadłem mu w słowo uwalniając się z uścisku.

– Ale proszę pana o...

Więcej nie zdołałem usłyszeć, ponieważ prędkim krokiem oddaliłem się od niego. Mary wysłała mi na spotkanie. Już otwierała usta, aby coś powiedzieć, ale uprzedziłem ją.

– Chyba akurat ma pani niesłychanie wiele do zrobienia, miss Waller?

– Właśnie, że nic – uśmiechnęła się.

– Chciałbym pani przedstawić pewnego pana. Proszę iść za mną!

Zaprowadziłem ją do kabiny Tsi, w której on już zdążył się schować. Ujrawszy, że nadchodzimy, wyszedł z niej znowu. Ależ Amerykanka była zaskoczona!

– To pan doktor Tsi, który studiował medycynę i zna niezawodny środek przeciw dezynterii – powiedziałem uroczyście, jakby tych dwoje nigdy się nie widziało. – Ten młody lekarz – ciągnąłem – jest znany naszym gospodarzom także tylko jako doktor Tsi. Więcej nie muszą wiedzieć.

Powiedziawszy to ukloniłem się i odszedłem. Wiedziałem, że wprowadziłem Tsi w ogromne zakłopotanie, ale byłem na tyle bezwzględny, aby nic sobie z tego nie robić. Specjalnie uczyniłem ostatnią uwagę, aby wiedziała za kogo chciał uchodzić na statku nasz przyjaciel. Teraz wreszcie mogłem poświęcić całą uwagę jachtowi.

Raffley osobiście przejął dowodzenie. To on był właśnie tym człowiekiem, który miał wówczas na głowie wielki słomkowy kapelusz, gdy „Nin” zawijała do portu. Teraz znowu go włożył, by ochronić oczy przed zachodzącym słońcem. Niepowtarzalnym przeżyciem było obserwowanie, jak ten piękny statek posłusznie wykonywał każdy rozkaz wydany przez tubę. Morze było dzisiaj niespokojne, ale „Nin” nic sobie z tego nie robiła. Pokonywała fale z taką lekkością, że nie czuć było ani jednego drgnięcia.

Zazwyczaj po przekroczeniu w Edi cieśniny Malacca statki zawijają do Telok Semawe i Kroengraja. Są to porty wojenne założone u zięjącego gorącym wybrzeża w celu odpierania ataków władców Atjeh i powstrzymujące ich wtargnięcie do wnętrza kraju. Wskutek tego trzykrotnego zawijania do portu potrzeba aż dwóch dni, aby z Penang dostać się do Oleh-leh. Lecz nasza mała „Nin” nie musiała tego robić i mogła płynąć do celu w linii prostej, a poza tym robiła dziesięć węzłów na godzinę więcej niż „Coen”, tak więc podróż nie zajęła nam więcej niż jeden dzień.

Pogoda była wspaniała, wiał spokojny wiaterek, morze rozpościerało się przed nami jak tafla. Nasza „Nin”, lekko przechylona na bok, pruła fale lekko i swobodnie.

W okolicach równika krótko po szóstej zapada zmrok. Gdy po dwóch godzinach podróży słońce poczęło chylić się ku zachodowi, Mary Waller pojawiła się na schodach prowadzących na pokład nad jej salonem. Zauważyła mnie i dała znak ręką przywołując mnie do siebie. Na górze, przy marmurowej rzeźbie Nin, można było najlepiej obserwować przejście dnia w noc.

Z początku rozmawialiśmy o radości, jaką sprawiało jej tak niespodziewane spotkanie z Tsi. Była wzruszona jego gotowością do pomocy i natychmiastowym wyruszeniem do Oleh-leh, ale nie chciała dużo o tym mówić. Następnie opisała mi swoje obecne mieszkanie na jachcie. Była nim wyraźnie oczarowana i twierdziła, że nigdy jeszcze nie widziała czegoś podobnego. Urządzone było od początku do końca w stylu chińskim, bogato i pięknie, z wieloma cennymi przedmiotami. Było, jak wiersz napisany bez wątpienia przez chińską kobietę, jasny w wyrazie, czysty w ramach, bez jednej sylaby, z każdym przedmiotem pasującym do otoczenia jak doskonale dobrane słowo, każdy fotel był jak bez zarzutu skomponowany wers, każda rzecz wyrazem najlepszego smaku.

– Chciałabym poznać tę kobietę, która skomponowała tak cudowne mieszkanie! – rzekła Mary. – Musi być rozkoszną, żyjącą w harmonii, a zarazem przenikliwą istotą.

– Tapicer! – wtrąciłem. – Takie rzeczy w Chinach wykonują mężczyźni, którzy nawet czyszczą i prasują!

– Tapicerzy? – powtórzyła moje słowa. – Rozumiem naturalnie, co pan ma na myśli. Ale proszę przyjść i zobaczyć! Zmieni pan zdanie. Nie uważam wprowadzić za niemożliwe, że tapicer potrafi wyczarować poezję z aksamitu czy jedwabiu, lecz ten wiersz jest tak wyraźnie odczuwalnym dziełem prawdziwej, szlachetnej kobiecości, że prawie sprawia ból myśleć, że mógłby zostać napisany przez mężczyznę.

Słońce dotknęło powierzchni morza i załało nas złote światło, jakby tarcza słoneczna zachodząc, pławiła się w miłości.

– Przypomina sobie pan ten zachód słońca na Dżebel Mokattam? – spytała Mary.

– Którego pani wcale nie widziała – odpowiedziałem. – Za wcześniej państwo odjechaliście. Jest zawsze taki, gdy wiatr wieje z pustyni.

– O nie! Przyczyna musi być inna! W ogóle nie czułam wiatru.

Spojrzała w zamyśleniu na diamentowo-złoty pożar obejmujący całe niebo na zachodzie. Potem spojrzała mi prosto w twarz swymi dobrymi, uczciwymi oczami i rzekła:

– Czy spełni pan moją prośbę?

– Chętnie!

– Proszę wyjąć cygaro z etui, które wystaje z pańskiej kieszeni! Proszę zapalić!

Prośba ta wywołana była wspomnieniem zachowania się jej ojca wtedy, w Egipcie. Czuła potrzebę jego zadośćuczynienia. Mimo to odmówiłem.

– Zachód słońca jest tak płomienny! Nie myślmymy o żarzeniu się tytoniu!

– A jednak! Właśnie teraz! Proszę. Obiecał mi to pan. W mojej prośbie nie ma sprzeczności z zalewającym nas pięknem.

Tak rzeczywiście nie. Miała rację. Jak łatwo, a zarazem trudno, zrozumieć kobiece serce! Co my, mężczyźni, odczuwamy jako sprzeczność, może oznaczać najpiękniejszą harmonię, a co my uważamy za powierzchowne, pochodzić może z najgłębszych zakamarków duszy. Sama kobieta nie zdaje sobie z tego sprawy. Skąd więc mężczyzna ma o tym wiedzieć?

– Pali się – uśmiechnęła się z wdzięcznością, gdy w końcu spełniłem jej życzenie. – A teraz proszę opowiedzieć mi, jak dotarliście tutaj wraz z pańskim pocziwym Sejjidem Omarem! A ja będę spoglądać przy tym w tą stronę, gdzie leży Egipt. Gdy pan będzie opowiadał, słońce zajdzie całkowicie i wyobrażę sobie, jak zza piramid wschodzi księżyc i w jego blasku ukazują się pięć postaci, które siedzą przy stole na skraju pustyni i rozmawiają o tym, który prowadzi słońce i księżyc ponad morzami i pustyniami.

Zacząłem opowieść, a ona nie patrzyła na mnie, lecz czułem, jak chłonie każde moje słowo. Opisałem daleką drogę, jaką przebyliśmy z Omarem, a z której na tych kartach przedstawiłem tylko Egipt i Cejlon, ponieważ pozostałe miejsca i osoby nie pozostają w żadnym związku z moim opowiadaniem. Jej jednak nie opowiedziałem o Cejlonie ze względu na profesora Gardena i mój wiersz. Czułem, że to nadal musi pozostać tajemnicą. Opowieść akurat dobiegała końca, gdy usłyszeliśmy gong wzywający na kolację. Mieliliśmy ją spożyć na jasno oświetlonym pokładzie. Mary była jedyną kobietą przy stole. Tsi w ogóle się nie pojawił. Chciałem wstać i iść po niego, gdy gubernator spytał, dlaczego odchodzę od stołu, wyjaśniłem.

– Czy powiedziano mu, że je razem z nami? – spytał się Raffley'a.

– Nie – ten odpowiedział. – O rzeczach oczywistych się nie mówi.

– Tak więc to moja wina, że nie uznaje tego za oczywiste. Moim obowiązkiem, a nikogo innego jest przyprowadzić go.

Gdy wyszedł, Raffley spojrzał na mnie znacząco. Miał oczywiście na myśli zakład z *dear uncle*, którego ukryte dobre cechy znał z pewnością bardzo dobrze. Po chwili wrócił wuj uroczysto prowadząc Chińczyka, któremu nawet osobiście wskazał jego krzesło. Prawdziwe szlachectwo, gdy zachodzi potrzeba przebiję każdą, najbardziej nawet twardą skorupę. Nad menu nie

będę się rozwodził. Ponad wszelkimi smakami górował ton towarzyszący całej rozprawie. Szczególnie cieszył mnie widok Tsi. Jadł niewiele, ale ze smakiem i odzywał się także rzadko, ale wszystko co mówił miało ręce i nogi. Na temat Chin nie padło ani jedno słowo, jakby zawarto cichą umowę. Gubernator miał prawo oczekiwać, że Tsi nie posiada wystarczających podstaw intelektualnych do prowadzenia rozmowy w naszym stylu. Lecz wkrótce nastąpiło to, co język potoczny nazywa „gwoździem programu”. Za chwilę jeszcze raz i jeszcze raz. Zdumienie wuja nie miało granic. Nie miał pojęcia, że wiedza tego młodego człowieka wykracza daleko poza jego własną. Nie zdawał sobie z tego sprawy, ale zachowywał się wobec Tsi z coraz większym szacunkiem. Zauważyłem, że Mary sprawia to wielką radość. W po kobiecemu mądry sposób, dokładała starań, aby przez stawianie zręcznych pytań i zmianę tematu rozmowy stworzyć dla Tsi sposobność pokazania, że nie jest intelektualnie gorszy od innych; a on, skromnie lecz z godnością, wykorzystał to tak dobrze, jak tylko mogłem sobie życzyć, aby mógł tu być jego ojciec i cieszyć się wraz ze mną ze znakomitych efektów swego wychowania.

Po kolacji gubernator napchał tytoniem fajkę i paląc ją spacerował po pokładzie. Gdy na parę minut przyłączyłem się do niego, spytał:

– Czy ten Tsi jest naprawdę tylko lekarzem?

– Nie wiem nic ponad to – odpowiedziałem wymijająco.

– Straszni ludzie, ci Mongołowie! Fałszywi, podstępni, niewierni, wykształceni, a przy tym skryci w najwyższym stopniu! Ale nie mogę uwierzyć, że jest byle kim! Przejrzałem go! Oczy tylko trochę skośne, kości policzkowe wystające bardzo mało. A do tego ta szeroka wiedza i ta zręczność wyrażania myśli! Z tego powodu ta rasa tak mnie oszałamia. Postaram się dowiedzieć, kim jest. Musi mieć parę kropel europejskiej krwi. Czuje się je dokładnie. I – ach, chciałbym spytać pana na osobności; widział pan tego upiora?

– Jakiego upiora? – spytałem, chociaż wiedziałem dokładnie o czym mówi.

– Obraz, w kajucie.

– Tak.

– Jaki jest?

– Wzruszająco piękny. Ale przecież już nieraz pan mu się przyglądał.

– Jeszcze nie! Nigdy tam nie wchodzę, bo wiem, że tam wisi. Nie chcę go widzieć. To znaczy; w towarzystwie świadków. Hm! Wprawdzie raz miałem już zamiar...! Może także go zobaczę...! Ale Raffley nie może nic o tym wiedzieć. Hm! Wiem, że potrafi pan dochować tajemnicy. Niech pan nic nie mówi! Ani słowa! A także, że ten Chińczyk mi się podoba! Raffley od razu sądziłby, że wygrał zakład. Ale o tym nie ma mowy. Jestem Brytyjczykiem, sir!

Z tymi słowami odwrócił się i podszedł do leżaka. Zarówno on, jak i Raffley mówili raz po niemiecku, raz po angielsku i stąd wynikały różne formy zwracania się do ludzi. Po angielsku, w przeciwieństwie do niemieckiego, nie ma formy „pan” i do wszystkich mówi się „ty”. Zdarzało się często, że w prowadzonych żywo dyskusjach, przechodzili często z jednego języka na drugi. Po pewnym czasie stało się to tak naturalne, że nie wzbudzało niczyjej wesołości. Być może Raffley liczył na to, że wydarzy się coś, co zmieni nastawienie jego wuja do Chińczyka. Ale obecnie, po tym co usłyszałem, nie wydawało mi się to konieczne. Znajdowaliśmy się dopiero od paru godzin na morzu, a gubernator już mówił o nim w sposób, jaki jeszcze do niedawna uważał za niemożliwy.

Raffley i Tsi siedzieli zatopieni w rozmowie i nie chciałem im przeszkadzać. Mary znowu pojawiła się na pokładzie. Nie cierpiała na chorobę morską. Zamierzałem ją spytać, czy pozwoli mi sobie towarzyszyć, lecz ona sama ujrawszy mnie wskazała mi miejsce koło siebie.

– Chciałabym panu coś powiedzieć – zwróciła się do mnie – coś, czego nie chcę mówić przy innych, bo jeszcze mogliby fałszywie ocenić mojego ojca.

– Z pewnością o przyczynie jego niewoli? – spytałem, aby ułatwić jej sprawę.

– Tak. Stał się taki dobry, taki kochany, taki sam prawie, jak wtedy gdy żyła matka. Potem zachorował i zrobił się posepny, przewrażliwiony i nic go nie cieszyła. Im bardziej słabł na ciele, tym więcej dokładał wysiłków, aby wyglądać na silnego duchowo. Nie chcę go osądzać – był przecież chory. Znowu zaczął mówić o pogańskich świątyniach. Tych czterech indonezyjskich tragarzy, których wynajęliśmy na wyprawę w góry, nie wyznawało jego zdaniem, żadnej religii. Słuchali go i przyznawali mu rację, byli przecież przez niego opłacani. Próbowałam go ostrzec, ale on mnie nie słuchał. Był całkowicie przekonany, że w krótkim czasie dokona ich całkowitego nawrócenia. Natomiast górale malajscy od samego początku traktowali nas wrogo. Nikt nie chciał nas przyjąć do siebie. Nie znaleźliśmy żadnego schronienia, aż dopiero w Kampong, wiosce malajskiej, której mieszkańcy nie mieli do tej pory zbyt częstych kontaktów z białymi i wobec tego byli przyjaźnie do nas nastawieni. Przyjęli nas do wioski i zaofiarowali wszystko co mieli i to nie za pieniądze, lecz z czystej gościnności. Ale radość nie trwała długo, tylko jeden jedyny dzień.

– Malaje z Sumatry zamieszkujący wybrzeża i głąb kraju są w większości mahometanami – zauważyłem. – Jaką religię wyznawali mieszkańcy tego regionu?

– Konfucjonizm. Stała tam świątynia, zbudowana z samego drewna, ale ozdobiona kunsztownymi rzeźbami i bogato złocona wewnątrz, co sprawiało dziwne wrażenie, zważywszy na biedę, w jakiej żyli mieszkańcy.

– W rzeczywistości wcale nie są biedni, lecz tylko nie mają żadnych potrzeb. Szczodra natura daje im wszystko czego potrzebują i to w nadmiarze. A co się tyczy tych złociń, to na Sumatrze znajdują się spore pokłady tego kruszcu. Góry w głębi kraju zbudowane są z lupków prekambryjskich poprzecinanych obficie złotymi żyłami. Ale proszę, nich pani opowiada dalej!

– Słyszałam, że w chińskich miejscowościach, gdzie nie ma szczególnych miejsc dla gości, oddaje się im na mieszkanie świątynie. Tak też stało się i w naszym przypadku. Zaprowadzono nas do świątyni, która składała się jakby z dwóch części – jednej do składania ofiar i drugiej dla zwiedzających. Właśnie w tej drugiej mieliśmy zamieszkać. Wolałabym, aby umieszczono nas w najędźniejszej chatce!

– Ach, domyślałam się! Pogańska świątynia!

– Tak. Pańskie przypuszczenia są niestety prawdziwe. Ci poczciwcy przywlekli do świątyni wszystko, abyśmy mieli wszelkie możliwe wygody. Przynieśli niesamowite ilości jedzenia i picia i widać było, że nas polubili. Wprawdzie nie mogliśmy się porozumieć, bo nie znamy malajskiego, ale nasi tragarze służyli nam za tłumaczy i robili to bardzo dobrze. Jednak od chwili, gdy znaleźliśmy się w świątyni, mój ojciec stał się nadmiernie ożywiony i znowu zaczęłam odczuwać lęk. Nie mówił o niczym innym, tylko o burzeniu, zniszczeniu, a w końcu nawet o spaleniu tej świątyni. Płomień buchający ku niebu z tego domu bałwanów, miał według niego spodobać się Bogu, jako ofiara. Robiłam wszystko, aby go uspokoić. Błagałam i zaklinałam, aby nie odpłacał nienawiścią za miłość, zniszczeniem za gościnność. Ale on miał w głowie tylko jedno i zdołałam jedynie doprowadzić do tego, że wobec mnie zachował milczenie. Jednak w jego wnętrzu odzywały się coraz częściej złe, niechrześcijańskie głosy, a on był wobec nich taki bezradny.

– Był chory – uspokajałam ją.

– Tak. Tylko chory może wierzyć, że Bóg żąda zniszczenia wszystkiego, co dla innych jest święte. Zawsze tak uważałam i wszystkimi możliwymi metodami, jakich wolno użyć córce w stosunku do ojca, starałam się mu to powiedzieć. Aż w końcu prawdziwość mojego poglądu została potwierdzona. Nie odważyłam się opuszczać go ani na krok. Następnego dnia był świętem konfucjańskim. Na krótko wstąpił we mnie optymizm. Jak okiem sięgnąć widziało się masy pielgrzymów, którzy nieśli ze sobą ofiary: wypieki, owoce i nieprawdopodobne ilości kwiatów.



Kapłan także nas szczerze obdarował. Było to bardzo wzruszające: on niosący dary temu wrogo nastawionemu misjonarzowi. Tragarze opowiedzieli mu o ojcu wszystko. Ojciec także wydawał się być tym poruszony. Był taki cichy, a ja taka szczęśliwa. Po południu zasnął, co zdarzyło mu się po raz pierwszy od paru dni. Myślałam więc, że mogę się przejść po wiosce, gdzie mieszkańcy wraz z gośćmi oddawali się wesołym obrzędom. Zewsząd pozdrawiano mnie serdecznie i każdy wręczał mi owoce i kwiaty. Nagle powstało wielkie zamieszanie. Słyszałam wykrzykiwane bez przerwy dwa słowa: *panas*, ogień i *klinting*, świątynia, a potem ujrzałam, jak wszyscy biegną w stronę świątyni. Wydawało mi się, że zemdleję z przerażenia, ale wzięłam się w garść i pobiegłam za nimi. Świątynia stała w płomieniach. Buchał od niej taki żar, że nie można było podejść zbyt blisko. Niedaleko od niej paliło się małe ognisko, ponad którym wiatr unosił w powietrzu nadpalone kawałki materiału i papieru. To mój ojciec ułożył w stos i podpalił szaty ofiarne kapłana i święte księgi ze świątyni. On sam był otoczony przez wielką i wrzeszczącą gromadę ludzi. Jak im się udało przedostać do niego, tego nie umiem powiedzieć. Ale śmiertelny strach dodaje siłę, nawet słabemu. Dobiegłam do niego akurat w chwili, gdy go chwycono i rzucono na ziemię. Wtedy straciłam przytomność i padłam obok niego.

Zamilkła. Jeszcze teraz, na wspomnienie tych strasznych chwil drżała na całym ciele.

– Gdy przyszedłam do siebie – podjęła po chwili – leżałam na jakiejś macie. Koło mnie siedział kapłan i jeden z naszych tragarzy, który miał służyć za tłumacza. Nieco dalej siedzieli i stali inni. Śwąd spalenizny czuć był nawet tutaj. Ojca nie widziałam. Pełna najgorszych przeczuć spytałam o niego. Kapłan odpowiedział tak łagodnym tonem, że nigdy tego nie zapomnę, a tragarz przetłumaczył:

– Uspokój się! Czuje się dobrze i do tej pory nic mu się nie stało. Co wam uczynił nasz Bóg, co wam uczynił nasz kraj, co wam uczynił nasz naród? Nasz Bóg jest waszym Bogiem! Nasz kraj wam zaufał i przywitał was serdecznie! A my sami, my oddaliśmy wam wszystko, co mogliśmy, chociaż wiedzieliśmy, że jesteście przeciwko naszemu niebu. I taka jest wasza wdzięczność? Pycha, pogarda, zniszczenie! Daliśmy wam kwiaty, a wy? O, głupcy! Nie wiecie, że to co czynicie innym, powróci do was w przyszłości? Nie bój się mnie! Jestem kapłanem, a z waszej chrześcijańskiej religii wyniosłem naukę, że kapłan nie sędzi, lecz przebacza. Zadałem o to, aby twojemu ojcu nic się tymczasem nie stało. A ciebie nakazałem sprowadzić tutaj, abyś miała spokój i gdy się ockniesz powiedz ci, że jesteś wolna.

Nastąpiła cisza, ale on jeszcze poruszał ustami modląc się. Od tragarzy dowiedziałam się, że przybyli na uroczystość wodzowie zebrali się, aby odbyć sąd nad moim ojcem. W oczekiwaniu na wyrok przeżyłam najstraszliwsze chwile w życiu, bo czułam, że...

– Proszę miss Mary, – przerwałam jej – niech się pani nie zadrecza! Proszę opowiedzieć mi jak najkrócej się da to, co ma pani do powiedzenia! To wystarczy.

Czyniła wysiłki, aby się opanować. A potem podjęła:

– Ojciec został skazany na śmierć. Poprosiłam, aby zaprowadzono mnie przed oblicze wodzów. Kapłan zgodził się na to, ale ojca nie wolno mi było ujrzeć. Wodzowie wysłuchali mnie ze spokojem. Byli dobrymi ludźmi. Jakież fałszywe wyobrażenie ma się o tych, tak zwanych, „dzikich”! Ale ich prawa wymagały kary śmierci. Co za szczęście, że moje łzy okazały się silniejsze od praw! Ułaskawiono go i zamieniono karę śmierci na wyrównanie szkód w wysokości pięćdziesięciu tysięcy guldenów: za świątynię, szaty, książki i koszty mojego transportu do Penangu. Musiałam wyjechać nie mogąc go ani razu zobaczyć. Jeden z tragarzy towarzyszył nam jako tłumacz. Konno dojechaliśmy do następnej rzeki, wzdłuż której płynęliśmy później czołnem aż do wybrzeża, gdzie przesiedliśmy się następnie do większej *prau*e i przepawiliśmy się przez Cieśninę Malacca. Resztę już pan zna. To, co wycierpiałam i co jeszcze mnie czeka jest teraz nie-

ważne. Bez lorda Raffley'a i bez pana mój ojciec musiałby umrzeć. A tak mam radosną pewność, że zostanie mi zachowany, jeśli... jeśli do tego czasu nie zmoże go ta choroba.

– Będzie żył do naszego przyjazdu – pocieszyłem ją. – Mam mocne przecucie, a dobrze znam ten głos. A potem Tsi zastosuje swój środek, który uważa za tak niezawodny. Jestem przekonany, że *mr.* Waller zostanie wyzwolony nie tylko od wyroku malajskich sędziów, nie tylko od wyniszczającej choroby, lecz także od jej psychicznych konsekwencji, które doprowadziły do obecnej sytuacji. Proszę odrzucić wszystkie troski i spróbować zasnąć! To pani bardziej potrzebne niż cokolwiek innego.

Powiedzieliśmy sobie, „dobranoc”, a z dołu już mi dawał znaki Raffley, abym zszedł do niego, do kajuty. Obserwował nas słusznie przypuszczając, że Mary rozwiązał się przy mnie język. Opowiedziałem mu tylko to, co uważałem za stosowne. Nic na to nie odrzekł, lecz otworzył szufladę, z której po krótkich poszukiwaniach, wyjął kawałek starej gazety. Usadowiwszy się na przeciwko mnie zaczął czytać:

Mam tutaj stary numer „Handelsblad Pandangu”, w którym napisano krótko i zwięźle, a jednak wyraźnie:

*Do tej pory wojna Holandii z sultanem Atjeh kosztowała czterdzieści pięć i pół miliona guldenów. Zginęło ponad czterdzieści tysięcy tubylców, co rząd Holandii kosztowało tysiąc sto czterdzieści guldenów za każdego. Do tego należy dodać żołnierzy holenderskich, którzy padli w boju, zostali kalekami albo zmarli wskutek chorób tropikalnych. Gdybyśmy za te pieniądze kupili ziemię po tysiąc sto czterdzieści za hektar, to w pokojowy sposób doszlibyśmy do posiadania przynajmniej czterdziestu tysięcy hektarów najlepszych gruntów i nie bylibyśmy winni śmierci z pewnością ponad sześćdziesięciu tysięcy ludzi.*

Raffley odłożył gazetę z powrotem na miejsce i ciągnął:

– Napisano to przed dwudziestoma siedmioma laty, w holenderskiej gazecie wydawanej na Sumatrze. Lepiej nie liczymy jaka to teraz byłaby suma! Czy już pan wie, co my Europejczycy rozumiemy przez słowo „cywilizowanie”? Nie mam zamiaru oskarżać pojedynczych krajów czy narodów, ale oskarżam całą tę „cywilizowaną” ludzkość, która mimo całej religijności i historii trwającej osiem tysięcy lat, do dziś nie przyjmuje do wiadomości, że owo „cywilizowanie” nie jest niczym innym jak „terroryzowaniem”. Jak ja, John Raffley, wyobrażam sobie „cywilizowanie”, zobaczy pan, gdy przyjedziemy do Chin.

To, co w wielkim świecie wydarza się w dużym wymiarze, to w małym Atjeh, jak w przypadku pańskiego przyjaciela Wallera: to ten niecywilizowany ucywilizował się w najwyższym stopniu, a ten wysoko cywilizowany podziękował mu za to w najwyższym stopniu niecywilizowanie. Tak, jak byłoby po nim, gdybyśmy nie popłynęli go ratować, to i dla naszej cywilizacji przyjdzie kiedyś moment, kiedy znalazłszy się w niebezpieczeństwie będzie wołała wielkim głosem o pomoc. A winę za to będzie ponosić ona sama. I jeszcze więcej: dokładnie tak, jak tu, na mojej dobrej „Nin”, zebrało się doborowe towarzystwo niosące pomoc: Anglik, Niemiec, Arab, Chińczyk; tak kiedyś będą się musieli się zebrać ludzie wszystkich nacji, którzy mają otwarte głowy, aby naprawiać niechybne skutki tego co zepsuł nasz „cywilizowany” terror. Ponieważ naprawione muszą zostać wszystkie szkody, wszystko co złe musi zostać odpokutowane i spłacone do ostatniego grosika. Tego chce boska sprawiedliwość. To pozornie surowe, a jednak tak poruszające prawo, dotyczy tak samo narodów, jak i pojedynczych ludzi i kto nie zrobi tego już teraz, dla tego przyszłość będzie wysoce niepewna. Dla winnych istnieje straszne, przerażające słowo, które brzmi: „Nie grzesz licząc na boską pobłażliwość, bo zostaniesz rozliczony co do grosza!” A

teraz mój drogi Charley, chodźmy położyć się spać. Nie wiemy co nas jutro czeka. Mój stary Tom będzie miał dzisiaj w nocy za nas oczy szeroko otwarte i możemy na nim polegać.

Noc minęła spokojnie i spałem dobrze i długo. Gdy wczesnie rano wyszedłem na pokład, dowiedziałem się, że minęliśmy już wierzchołek Tanjong Perlak i znajdujemy się na wodach Sumatry. Potem przepłynęliśmy z boku Goldberga leżącego w błękitnej dali. Minęliśmy Segli i nie minęło dużo czasu, jak Rafflej zameldował, że zbliżamy się do celu podróży.

## **SPIS TREŚCI**

1. Fanatyk
2. U stóp piramid
3. Na Cejlonie
4. W drodze do Penangu
5. Na pokładzie „Nin”